



ADAMS KELLY
UDRĘKA MILCZENIA
Tytuł oryginału Released into Dawn

Przełożył Leszek Gregorczyk



UDREKA MILCZENIA

Annie przyglądała się mężczyźnie przez dłuższą chwilę, ale wcale nie była pewna tego, co widzi.

Esteban stał w pobliżu drzwi, w miejscu, do którego ledwo docierało światło; łagodne cienie wygładzały rysy jego twarzy. Z jakiegoś powodu Annie nagle przypomniała sobie pewien wieczór w Chicago, kiedy poszli we trójkę do kina. Grano wtedy komedię i Annie oraz Estebana ogarnął jakiś głupawy nastrój. Film się skończył i wyszli z budynku. Wtedy Esteban nagle chwycił ją za rękę i oboje pobiegli ulicą. Biegli i chichotali. Biegli, biegli, biegli... A Pete krzyczał za nimi zdziwionym głosem. Dopiero po dłuższej chwili otrzeźwieli, zatrzymali się i poczekali na niego.

Rozdział 1

— Nie cierpię rozpakowywania! — powiedziała zrozpaczonym głosem Annie Maguire, wyciągając z walizki stos ubrań, które cisnęła ze złością na łóżko. Po chwili, gdy dziewczyna zobaczyła, że jeden z pantofli zaplątał się w nocną koszulę i wąski obcas przedziurawił delikatną koronkę, jej rozpacz przerodziła się we wściekłość. Zakłęła pod nosem, zamknęła oczy i zaczęła powoli liczyć do dziesięciu. Dłońmi odgarnęła włosy z karku i próbowała wsunąć w nie srebrną szpilkę. Kiedy otworzyła oczy, spostrzegła, że Gracie obserwuje ją ukradkiem, w charakterystyczny dla niej, podejrzliwy sposób. Zawsze tak patrzyła, gdy myślała, że Annie tego nie widzi. Przyłapaną, szybko odwróciła wzrok.

Annie usiadła na łóżku i ostrożnie wyplątywała pantofel z koszuli.

— Wybacz, Gracie — przeprosiła po chwili — ostatnio warczę na wszystkich. Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy kiedy indziej.

— Uhm — odparła, schylając się, by podnieść z podłogi bluzkę, która wypadła z wypchanej po brzegi walizki.

Ta odpowiedź, znana Annie równie dobrze jak cykanie świerszczy w letnią noc, nie wróżyła niczego dobrego. Znaczyła: „Lepiej uważaj, co mówisz, jeśli nie chcesz mieć ze mną do czynienia”. Była to jedyna groźba, którą posługiwała się Gracie, by utrzymać w ryzach swe liczne potomstwo.

Rodzina. Czasami Annie czuła się jak jagniątko przygarnięte przez stado groźnie pomrukujących, ale w rzeczywistości dobrodusznym niedźwiedzi. Zawsze była zamkniętym w sobie, załęczonym dzieckiem. Nie dziwiło to nikogo, gdyż nie знаła nawet swojego ojca, a bezrobotna matka nigdy się nią nie zajmowała. W końcu sąd odebrał jej prawa rodzicielskie. Później Annie wychowywała się w rodzinach zastępczych, ale nigdzie nie czuła się kochana. „Zbyt wiele z nią kłopotów” — mówili kolejni przybrani rodzice. Ostatecznie znalazła się w domu dziecka.

Późniejszy bieg wydarzeń sprawił, że zaczęła wierzyć w istnienie Opatrzności. W sierocińcu spotkała Devina O'Neilla, chłopca starszego od niej o kilka lat, który jakiś czas potem wstąpił do piechoty morskiej. Zapamiętał małą Annie i opowiedział o niej Spudowi, odchodzącemu na emeryturę kucharzowi okrętowemu. Wkrótce potem Spud wraz ze swą żoną Elmira zabrali ją stamtąd i obdarzyli takim ciepłem, jakiego gorzko doświadczona Annie nie oczekiwała już od nikogo. Zamieszkała z nimi w Chicago, a latem zawsze przyjeżdżali do Simpson, niewielkiej miejsciny położonej w zachodniej części Illinois. Spud wybudował tu przed laty nieduży, ale piękny domek.

Gracie, siostra Spuda, ich najbliższa sąsiadka w Simpson, wyglądem przypominała rzepeę. Była przysadzistą, tęgą kobietą o nieproporcjonalnie małej ptasiej głowie. Miała pulchne dłonie zakończone krótkimi, grubymi palcami, które wspaniale nadawały się i do ugniatania chleba, i do przytulania.

Annie uwielbiała sposób, w jaki ciotka robiła obie te rzeczy.

— Wiele przeszłaś przez ostatnie półtora roku. — Gracie wpatrywała się w nią intensywnie. — To musi być ciężkie przeżycie, stracić męża. A ty przecież jesteś jeszcze taka młoda!

— Już nie tak bardzo, ciociu Gracie — Annie westchnęła. — Mam dwadzieścia osiem lat, a chwilami czuję, jakbym miała drugie tyle.

— Jesteś dzieckiem — Gracie nie dawała za wygraną. Powoli przebierała palcami po bluzce, którą trzymała w dłoniach. — Zresztą nieważne, czy jesteś młoda, czy stara. Martwi mnie fakt, że porzuciłaś przyjemną, dobrze płatną pracę w Chicago i doprowadziłaś się niemal do obłędu, walcząc przez cały rok o uwolnienie z więzienia starego szkolnego przyjaciela, którego zamknęli gdzieś, w jakimś tam południowoamerykańskim kraju.

— On był też przyjacielem Pete'a — odpowiedziała znużona Annie. Nie była zła na ciotkę, ale po dwunastu miesiącach użerania się z waszyngtońską biurokracją, Departamentem Stanu, dziennikarzami i reporterami miała, jak powiedziałby Spud, wszelkich rozmów powyżej uszu.

— Nie o przyjaźń pytam — ciągnęła dalej Gracie — tylko o to, dlaczego nie jesteś zadowolona, Anastazjo Joleno Maguire. — Annie wzdrygnęła się, słysząc, że ciotka nazwała ją pełnym imieniem i nazwiskiem. — Twojego przyjaciela zwolniono i jest już w drodze powrotnej do Stanów. Dlaczego więc, u licha, nie cieszysz się?

Annie sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Może dlatego, że teraz, gdy jej ciężka praca dobiegła końca, czuła się po prostu zmęczona. A może miało to coś wspólnego z tym trudnym do określenia uczuciem, które budziło ją w nocy...

Obie podskoczyły, gdy ktoś nagle zastukał do frontowych drzwi.

— W porządku, kochanie, ja otworzę — odezwała się szybko Gracie, widząc zaniepokojoną minę siostrzenicy. Ruszyła ku drzwiom, oglądając się jeszcze po drodze przez ramię, jak gdyby ciągle nie mogąc uwierzyć w to, że Annie daleka jest od radości.

Po chwili usłyszała męski głos:

— Dzień dobry. Czy nie wie pani, gdzie mógłbym znaleźć panią Annie Maguire? Jestem reporterem i chciałbym się dowiedzieć, jak zareagowała na wiadomość o uwolnieniu Estebana Ramireza.

— Przykro mi, ale nie wiem, gdzie ona jest — odparła Gracie.

Annie uśmiechnęła się, wiedząc, z jakim trudem przychodzi ciotce wypowiedzieć nawet najdrobniejsze kłamstwo.

— Co mówiła? Czy była przejęta? Kto ją powiadomił?

— Przykro mi — powtórzyła Gracie i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi.

Wzburzona, szybkim krokiem wróciła do sypialni.

— Nic dziwnego, że teraz jesteś zmordowana, jeśli przez cały rok musiaś znosić takich natrętów.

Annie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Przypominało to obleżenie — przyznała — ale byliśmy sobie nawzajem potrzebni. Kampania nikomu nie znanej, przeciętnej kobiety na rzecz uwolnienia starego przyjaciela przysporzyła gazetom wielu nowych czytelników. Dzięki opinii publicznej rząd nie mógł pozostać bierny w tej sprawie.

— Dlaczego nie przejdziesz się trochę? Wyglądasz koszmarnie! — Annie chciała zaprotestować, ale Gracie była stanowcza. — Żadnych sprzeciwów. Zrób, co powiedziałam, ubranie poukładasz później. Zresztą ja mogę się tym zająć. O jedzenie też się nie martw. Zostawiłam ci trochę zapasów w lodówce. Boże, jesteś blada jak ściana! — Rozpaczy ciotki nie było końca. — Wyjdź tylnymi drzwiami. Jeśli pokaże się jeszcze jakiś reporter, to przegonię go miotłą.

„Tak, z Gracie nie ma żartów” — pomyślała Annie, gdy znalazła się już na dworze. Wszystko tonęło w oślepiających promieniach słońca. Przymknęła na moment oczy, by przyzwyczać się do tego niezwykłego blasku i poczuła, że ogarnia ją gwałtowna fala ciepła, niczym z uchylonych drzwiczek rozgrzanego piekarnika. Po chwili Annie zaczęła wolno okrążyć dom, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Odetchnęła z ulgą, gdy przekonała się, że nie widać w pobliżu żadnego reportera. Miała serdecznie dosyć ich nieustannej obecności, bezczelnej poufałości i lawiny pytań. „To już przeszłość. Moja misja dobiegła końca” — uspokajała samą siebie.

Uśmiechnęła się na myśl o swojej apodyktycznej ciotce. Skłonność Gracie do wtrącania się w każdą sprawę była powszechnie znana i stanowiła ulubiony przedmiot rodzinnych dowcipów. Annie była pewna tego, że ciocia już dawno ustaliła plan jej pobytu w Simpson.

Przeszła przez porośniętą gęstą trawą podwórko i powędrowała ścieżką wiodącą do stóp wzgórza. Tego ranka ubierała się w wielkim pośpiechu, chcąc jak najszybciej opuścić Chicago.

Miała na sobie różową koszulkę na ramiączkach i białą trykotową spódniczkę, która doskonale chroniła ją przed słońcem i była bardzo wygodna. Przebiegła drogę, znajdując schronienie w cieniu olbrzymiego klonu. Przed nią rozciągała się potężna i okazała Missisipi. Jednostajny, spokojny szmer wody kojąco wpływał na stargane nerwy dziewczyny. Promienie słońca wpadały do rzeki i rozpryskiwały się na miliony migoczących, wielobarwnych iskierek. Lustro wody przypominało suknię wieczorową ozdobioną cekinami. Annie usiadła na ławce przy jednym z przydrożnych stołów i rozkoszowała się pięknym widokiem. Jakże była wdzięczna rodzinie Spuda za to, że wpadła na ten wspaniały pomysł, by kupić kawałek ziemi nad rzeką. Z kuchni domu Spuda, położonego na samym szczycie wzgórza, rzeka wydawała się jeszcze piękniejsza. Dopiero w tej chwili Annie w pełni uświadomiła sobie, jak bardzo tęskniła za tym miejscem przez ostatnie lata. Niestety, nigdy nie znajdowała dość czasu, aby tu przyjechać, zwłaszcza po ślubie z Pete'em. Wiedziała, że Spud chciał podarować jej ten dom, ale nie wspominał o tym głośno. Zdawał sobie sprawę, że Pete bardziej lubi zgiełk Chicago niż cichą małomiasteczkową atmosferę.

„Teraz to i tak nie ma już żadnego znaczenia — pomyślała smutno. — Wdowa Maguire może mieszkać tam, gdzie zechce”. Wiedziała, że musi otrząsnąć się z tego przygniatającego znużenia i pomyśleć o swojej przyszłości. Niestety, ostatnie miesiące nie dały jej takiej szansy. Jak dotąd, nie mogła nawet przyzwoicie się wyspać. Przenikliwy dźwięk telefonu rozlegał się nawet w środku nocy. Gratulacje, pytania o samopoczucie — i tak bez końca. Gdyby mogła choć przez pewien czas być sama...

— Annie?

Zamyśliła się tak głęboko, że aż podskoczyła, słysząc dźwięk swojego imienia. Odwróciła się gwałtownie w stronę nadchodzącego człowieka, ale oślepiąca blaskiem słońca nie mogła dostrzec jego twarzy. Zdawało jej się, że rozpoznaje głos reportera, którego niedawno Gracie odprawiła z kwitkiem.

— Proszę! — krzyknęła. — Nie możesz mnie zostawić w spokoju? Powiedziałam już wszystko! Nie wiem, kiedy przybył do Stanów ani dokąd pojechał! Proszę, odejź!

— Annie — mężczyzna odezwał się ponownie i przysunął nieco w jej stronę. Było coś takiego w tym głosie, że minęła jej cała złość. Stała nieruchomo i powoli podniosła rękę, by osłonić oczy przed słońcem. Twarz przybysza zdradzała ślady ciężkich przeżyć. Był blady i wychudzony. Miał na sobie bawełnianą, błękitną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami i nowe dżinsy. Koszula wisiała na nim, a spodnie były zbyt obszerne w pasie. Ubiorom przypominał stracha na wróble. Gdyby nie to, że ogolił się i przystrzygł kędzierzawe ciemnobrązowe włosy, wyglądałby zapewne jeszcze gorzej.

— Esteban? — zdołała wykrztusić wreszcie. Oszołomiona, nie mogła ruszyć się z miejsca. Przyglądała mu się uważnie i czuła, że ogarnia ją rozrzewnienie. „Mój Boże — rozpaczała w duchu — co oni z nim zrobili?” Całym wysiłkiem woli powstrzymywała się od płaczu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Po prostu stała i patrzyła. Miała wrażenie, że za chwilę serce wyrwie się jej z piersi. „Na pewno zerwałam się zbyt gwałtownie” — pomyślała, bo choć słońce prażyło wciąż tak samo, fala gorąca ogarnęła ją nagle ze zdwojoną mocą. Czuła w żołądku taki żar, jak gdyby łąpczywie połknęła gorące ciastko prosto z piekarnika.

Kiedyś Annie potrafiła rozmawiać z Estebanem całymi godzinami. Ale to było wtedy, gdy żył jeszcze Pete. Teraz stała przed nim oniemiała.

Przez chwilę łudziła się, że widzi tęsknotę w jego oczach, ale w końcu zorientowała się, że to tylko słońce odbija się tak zwodniczo.

— Niech skonam, jeśli nie jesteś najchudszy stworzeniem na tej planecie, wróbelku — powiedział Esteban poważnym tonem. Obserwował ją uważnie, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową. „Nic się nie zmienił” — pomyślała Annie. Tymi docinkami potrafił doprowadzić ją do wściekłości niemal na zawołanie.

— Ja jestem chuda? — odparła zirytowana. — Lepiej spójrz w lustro, kochasiu. — Odwróciła się i wskazała ręką na przejrzystą toń rzeki. — I nie nazywaj mnie tak.

— To znaczy jak? — zażartował ponownie. Dziewczyna zacisnęła zęby ze złości. Wiedziała, że mógł tak bez końca, ale ona ciągle dawała się nabierać.

— Wróbelku — powtórzył przekornie. — Byłaś przecież chudzielcem, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz w dziewiątej klasie. Miałaś na sobie wtedy różową sukienkę. Nie pamiętasz? Przypominałaś mi flaminga odlatującego na południe.

Tak, pamiętała. Pierwszy dzień w nowej szkole był koszmarem przeżyciem. Stara, znoszona przez córkę Gracie sukienka źle na niej leżała. Pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń i uszczypliwych uwag dzieciaków spacerujących wokół niej czerwieniła się jak burak.

Później leniwym krokiem podszedł do niej Esteban i szczerząc w uśmiechu zęby, przedstawił się. Oczywiście, natychmiast nazwał ją wróbelkiem. Jak zawsze, Pete od razu podążył jego śladem.

— To nie było dla mnie zbyt pochlebne — powiedziała z nutką gorczy w głosie.

— Co, wróbelek? — udawał zdziwionego. — Przecież ptaki są piękne.

— Nogi jak patyczki i cała reszta? — upierała się.

— Później przytyłaś — przyznał z podziwem. — Ale teraz, do licha! Jesteś może na diecie?

Czuła się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem, zwłaszcza że szczególnie dużo uwagi poświęcał piersiom. „To prawda, schudłam ostatnio, ale nikomu nic do tego. Lepiej niech pilnuje własnego nosa” — złościła się.

— Przestań się tak gapić na... na mnie!

Niespodziewanie roześmiał się i spojrzał głęboko w jej oczy. Szybko uciekła wzrokiem. Nawet po roku spędzonym w więzieniu był ciągle najprzyjstojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się, co miało oznaczać to spojrzenie, czując przy tym, że serce znowu zaczyna jej bić szybciej. „Co się ze mną dzieje?” — pomyślała zaniepokojona.

— Annie? — zawiesił głos i uśmiechnął się delikatnie. — Dziękuję za to, iż w przeciwieństwie do rządu nie potraktowałaś mnie tak beztrosko.

— Beztrosko?

— Tak. Dla żadnego z nich nie znaczyłem więcej niż byle śmieć. Ty jed-
na walczyłaś o mnie.

— Nie sądziłeś chyba, że postąpię inaczej?

— Miałem nadzieję, że mnie tak nie zostawisz.

Nagle chwycił się ręką za kark i wpatrując się w nią, zaczął zabawnie trząść głową.

— Jak sądzisz, czy faceta można w ten sposób przytulić? Rozśmieszył ją.

— Musisz pójść do Gracie, ona uwielbia przytulanie — zakpiła. — Wie-
lebnny ojciec Johnson też nieźle to robi, jeśli go zaprosić na niedzielną kolację.

— Mam na myśli ciebie! — Rozpostarł ramiona i Annie wpadła w jego
objęcia. „Boże, jak on zmizerniał!” — zmartwiła się. Żelazny uścisk świadczył
jednak o tym, że nie utracił dawnej siły.

— Witaj w domu, Esteban — wyszeptała mu do ucha. — Tak się bałam.

— Ja również — odparł grobowym tonem i... roześmiał się.

Ledwo powstrzymała się od płaczu i złożenia głowy na jego piersi. Po
chwili mężczyzna rozluźnił nieco uścisk i zaczął delikatnie głaskać ją po ple-
cach. Poczwała przyjemny dreszcz przeszywający ciało. Odruchowo uniosła
dłonie ku jego głowie, chcąc zatopić je w gęstwinie włosów. Odchyliła się
lekko w tył i wtedy ich spojrzenia się spotkały. Nie mogła znieść wielkiego
napięcia, panującego między nimi, więc zawstydzona cofnęła rękę.

Gdy wreszcie Esteban odsunął ją od siebie, drżał na całym ciele.

— Cieszę się, że znowu cię widzę, Maguire — powiedział cicho.

Annie zarumieniła się.

— Nie wiedziałam, kiedy przybyłeś do Stanów — odparła, próbując
ukryć zakłopotanie. — Jak mnie tu znalazłeś?

— Usiądźmy na chwilę — zaproponował. Przyjrzała mu się uważniej. Miał zmarszczki wokół oczu, świadczące o wyczerpaniu.

Podeszli do stołu i usiedli naprzeciw siebie. Zaczął się intensywnie w nią wpatrywać, jak gdyby szukał czegoś, co utracił dawno temu.

— Przyleciałem na Florydę przedwczoraj — przerwał milczenie. — Później musiałem spędzić jeden dzień w szpitalu. To nic, po prostu zwykłe badania — dodał szybko, widząc niepokój w jej oczach. — Właściwie to chcieli, żebym został tam trochę dłużej, ale miałem już dosyć zastrzyków. Poza tym pokój był za mały i zbyt jasno oświetlony. — Przez ułamek sekundy dziwny grymas wykrzywił mu twarz. — Krótko mówiąc, zwiąłem stamtąd. Pytałaś, jak cię tu znalazłem. To nie było trudne. Pomyślałem, że jeśli chciałaś ukryć się gdzieś przed światem, to tylko w Simpson.

— Przecież nigdy tu nie byłeś — zaprotestowała. Wzruszył ramionami.

— Opowiadałaś mi wiele o tym miejscu. Mowiłaś, że daje ci poczucie bezpieczeństwa. — Oparł łokcie na stole i nachylił się w jej stronę. — Annie, tylko tobie zawdzięczam wolność. Jeździłaś nawet do Waszyngtonu i rozmawiałaś z senatorami w mojej sprawie. Dowiedziałem się tego wszystkiego od jednego faceta z Departamentu Stanu.

— Mieli mnie tam serdecznie dosyć — przyznała uśmiechając się. — Ścisłałam dłonie tak wielu kongresmenom, że aż nabawiłam się odcisków.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować.

— Nie trzeba — odpowiedziała nerwowo, nie mogąc znieść pełnego powagi tonu, jakim to mówił. — Przecież byłeś... jesteś moim przyjacielem.

Zerknęła na rzekę. Promienie słoneczne nieustannie tańczyły na lśniącej powierzchni wody.

— Daniel Lloyd z Departamentu Stanu nie chciał robić cyrku z mojego powrotu, dlatego nikomu nie powiedział, kiedy przylatuję do kraju. Przykro mi, że cię nie uprzedził.

Pokręciła przecząco głową.

— W porządku. Przywykłam do niespodzianek. Ubiegły rok był dla mnie jednym wielkim cyrkiem.

Znała dobrze Daniela Lloyd'a.

„Dostałem przez ciebie wrzodów żołądka” — miał pretensje do Annie.

W gruncie rzeczy był sympatycznym facetem. Lloyd nie powiadomił jej o przyjeździe Estebana, gdyż nie wiedział, że opuściła Chicago. Zresztą nie

miałoby to sensu. Kłębiły się w niej tak różne uczucia, że nie wiadomo, czy zgodziłaby się na spotkanie z przyjacielem z dawnych lat. Nawet w tej chwili nie była pewna, czy chce go zobaczyć.

Nie bardzo rozumiała, co się z nią dzieje. Czuła podniecenie, a jednocześnie ogarniało ją przygnębienie i apatia. Widok Estebana wywoływał w niej wiele pięknych, ale i bolesnych wspomnień.

— Annie? — Przyjaciel odezwał się łagodnie. Spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zamyśliła się tak głęboko. Ciagle wpatrywał się w nią swoimi pięknymi brązowymi oczami.

— Przykro mi z powodu Pete'a. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero w Maraqua. Próbowałem wrócić na pogrzeb, ale po trzęsieniu ziemi zostaliśmy odcięci od świata. A potem, jak już wiesz, władzę przejęli rewolucjonści.

— Martwiłam się o ciebie — westchnęła. — Było mnóstwo ofiar. Nikt nie wiedział, czy ocalałeś. Dowiedziałam się, że jednak przeżyłeś, dopiero wtedy, gdy prasa doniosła o twoim uwięzieniu przez juntę.

— Mój paszport zginął w tym kataklizmie — powiedział. — Przynajmniej taka była oficjalna wersja — dodał z goryczą. Znowu spojrzał jej prosto w oczy. — Naprawdę martwiłaś się o mnie?

— Do licha, Ramirez! Oczywiście! — Odpowiedziała z takim zapałem, że aż się roześmiał. Pamiętała, jak Daniel Lloyd grzecznie, ale stanowczo odmówił jej odpowiedzi na pytanie o los Estebana Ramireza Davilii, gdy przyznała się, że nie jest członkiem jego rodziny. Niestety, Esteban miał tylko babcię w Stanach. Jego rodzice już dawno wyemigrowali z Ameryki. Następnym razem Annie uderzyła we właściwą strunę. Opowiedziała Lloydowi o przyjaźni łączącej Pete'a z Estebanem i odtąd polityk stał się jej sprzymierzeńcem.

— Podoba mi się to — stwierdził Ramirez, zdejmując łokcie ze stołu. — Mam na myśli twoją troskę.

— Wielkie dzięki — odparła cierpko.

— Wiesz, co chciałem powiedzieć. — Dotknął lekko palcem jej ramienia. — Hej, Maguire. Zgadnij, czego mi teraz potrzeba?

— Nowego krawca? — spojrzała znacząco na jego ubranie.

Parsknął śmiechem.

— Nie. No, może później. Teraz mam ochotę na filiżankę tej mętnej cieczy, którą wy, Amerykanie, nazywacie kawą.

— Ty też jesteś Amerykaninem — stwierdziła, wstając od stołu.

— Tak, ale mam latynoski żołądek — odpowiedział, podążając za nią.

Kiedy zaczęli piąć się w górę, na twarzy dziewczyny pojawił się niepokój.

— Dasz sobie radę? — zapytała, oglądając się przez ramię.

— Nie jestem inwalidą, Annie — odparł chłodno.

Odwróciła się z powrotem, zagryzając z wściekłością wargi. „Musiał być czarującym pacjentem w szpitalu” — pomyślała.

Gdy doszli na szczyt, mężczyzna dyszał ciężko, lecz rozzłoszczona Annie nie zwolniła kroku. Weszła do kuchni tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą z hukiem. Zdażyła już nasypać kawy do ekspresu, gdy drzwi znowu trzasnęły. Usłyszała za sobą oddech Estebana. Sama nie wiedziała, dlaczego tak ją irytował. Może dlatego, że czuła się dorosła i odpowiedzialna, czego on zdawał się nie przyjmować do wiadomości. Miała dosyć tego lekceważącego traktowania i wyśmiewania się z niej. Nadzieje okazały się złudne. Rok spędzony w południowoamerykańskim więzieniu nie zmienił pewnego siebie lekkoducha w poważnego człowieka.

Zanim zaparzyła się kawa, Annie wyjęła z lodówki zamrożone truskawkowe placki, które zostawiła Gracie, i podgrzała je w mikrofalowej kuchence. Po chwili postawiła wszystko na stole i usiadła możliwie najdalej od Ramirez. Esteban wypił łyk, obserwując ją znad filiżanki. Tym razem była czujna.

— Nie próbuj nawet krytykować mojej kawy — ostrzegła. Odstawił naczynie i zaczął kasłać, próbując w ten sposób ukryć śmiech.

— Ramirez! — ostrzegła go ponownie.

— Przecież nie powiedziałem ani słowa, Annie!

— Ale miałeś zamiar. — Opuściła głowę i prędko zajęła się plackiem.

Ciągle czuła na sobie wzrok mężczyzny.

— Nie wiedziałem, że ludzie w Stanach umierają jeszcze na grype — przerwał milczenie.

Taki już był Esteban. Zawsze poruszał bolesne sprawy.

— Później zrobiło się z tego zapalenie płuc — odpowiedziała cicho. — Pete żył bardzo intensywnie. Nie oszczędzał się nawet w czasie choroby. — „Dokładnie tak jak ty” — dodała w myślach. — Ciągle nie dosypiał, a przy

tym za dużo pił. To się musiało źle skończyć. — Westchnęła ciężko i spojrzała przez okno na rzekę, którą tak bardzo kochała. — Lekarz powiedział, że organizm Pete'a w ogóle się nie bronił.

— Kto by przypuszczał... — Ramirez pokręcił z niedowierzaniem głową. — Do diabła, wydawał się niezwyciężony. Był najsilniejszym chłopakiem w szkole; najszybciej biegał i najgłośniej wrzeszczał.

Pete i Esteban. Nierozłączni i niepokonani. Pierwszy zakończył już zmagania ze sobą, a drugiego nieustanne poszukiwanie przygód zaprowadziło do więzienia.

— Spud nazywał nas „Trzema Muszkieterami” — powiedziała nagle dziewczyna. — Mówił, że zanim jedno z nas kichnęło, pozostała dwójka krzychała: „na zdrowie!” — Bawiła się ugniataniem kulek z okruchów placka. — Byliśmy świetną paczką, prawda?

— Trójka rozrabiaków o niewinnych twarzyczkach — odpowiedział śmiejąc się. — Z pewnością szkoły w Chicago wyglądają teraz zupełnie inaczej.

— Pamiętam ten dzień, już po maturze, kiedy przyjąłeś amerykańskie obywatelstwo. — Annie uśmiechnęła się leciutko, chociaż smutek jej nie opuszczał. — Pete zabrał cię natychmiast do najbliższego McDonalda, by uczcić to święto.

— Powiedział: „Teraz jesteś prawdziwym Jankesem” — Esteban dokończył za nią ze śmiechem. — Świętowaliśmy tak długo, że niewiele brakowało, a wylecielibyśmy z roboty.

— Dopiero Spud zdołał nas uspokoić. Pamiętam, że Pete jadł wtedy prażoną kukurydzę! — wyrzuciła z siebie jednym tchem. Roześmieli się głośno, ale Annie czuła łzy napływające do oczu. — Jeszcze nie tak dawno — powiedziała po chwili z zadumą — studiowaliśmy, chodziliśmy razem na mecze hokejowe, zaczynaliśmy pracować. Przypominam sobie, jak się bałam, gdy poszłicie z Pete'em do wojska! A później ślub. Oboje pragnęliśmy, abyś został naszym świadkiem, ale ty właśnie wtedy musiałeś wyjechać do Ameryki Południowej...

Ogarnęła ją tęsknota za tamtymi czasami. Zdecydowanie wolała być jednym z Trzech Muszkieterów niż wdową, którą dręczą wyrzuty sumienia, bo chce się przytulić do najlepszego przyjaciela swojego zmarłego męża.

— Co się stało z twoim bratem? — nagle zmieniła temat.

— Nie wiem — pokręcił głową Esteban. — Zniknął po rewolucji.

Esteban nie wspomniał jeszcze ani słowem o swoich więziennych przeżyciach. Zaś Annie, nie chcąc go ranić niedelikatnymi pytaniami, również unikała tego tematu. Kiedyś wystarczyło, że tylko spojrzała mu w oczy i już wiedziała, w jakim jest nastroju. Ale nie teraz. Mężczyzna siedzący przed nią nie był tym Estebanem, którego znała dawniej. Ten człowiek był ostrożny. Miał nieprzeniknioną twarz. Pomyślała, że żyjąc za murami, musiał nauczyć się ukrywania emocji. Inaczej zapewne nie ocalałby.

Nagle spojrzenie przyjaciela nabrało ostrości i Annie uświadomiła sobie, iż przez cały czas myślami przebywał gdzie indziej.

— Co u ciebie? — zapytał tak, jakby właśnie wrócił z dalekiej podróży.

— No, cóż. Jeszcze nie zdążyłam się rozpakować, mój ogród kwiatowy zarósł chwastami, ale poza tym... — wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się promiennie — ...nie mogłoby być lepiej.

— Annie, zawsze gdy kłamiesz, twój nos się czerwieni. — Szybko opuściła głowę, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Rozzłoszczona wpatrywała się w talerzyk z plackiem. „Co ten facet sobie wyobraża? — rozmyślała ponuro. — Zjawia się jak duch i po tym wszystkim, przez co oboje przeszliśmy, traktuje mnie jak małą, nieudolną kłamczuchę”.

— W lipcu mój nos jest zawsze czerwony — odparła zirytowana. — Poza tym ostatnio nie miałam czasu na zastanawianie się nad sobą. Wszyscy martwili się o ciebie.

— Wszyscy? — zapytał kpiąco i Annie niechętnie uniosła głowę.

— Dziennikarze — zaczęła wyliczać na palcach — reporterzy z telewizji, koledzy ze szkoły, których nawet nie pamiętam, sąsiedzi tutaj i w Chicago... — chrząknęła nerwowo — ...no i ja.

Esteban uśmiechnął się.

— Tak naprawdę martwiła się o mnie tylko jedna osoba. Ta z czerwonym nosem.

— Powiedziałam ci już...

— Tak, wiem. To ten lipcowy upał. Kiedyś nie wstydziałaś się swoich rumieńców. — Spojrzał na nią znacząco.

— Ja się nie... — Nie dokończyła zdania, zdając sobie sprawę, że upór tylko potwierdzi słuszność zarzutu. Nie miała pojęcia, dlaczego nie potrafiła

się przyznać. Nie wiedziała także, czemu starzy przyjaciele, którymi przecież byli, tak źle się czują w swoim towarzystwie.

Ktoś w pobliżu trzasnął drzwiami samochodu. Ramirez odruchowo odwrócił głowę w tę stronę, skąd dobiegł dźwięk, i niespodziewanie zaczął głaszczyć Annie po rękach. Dziewczyna natychmiast poczuła ciepło rozchodzące się po całym ciele, jak gdyby słońce rozpałało ją od środka. Pomyślała, że Esteban głaszczy ją tylko dlatego, by uniknąć rozmowy o swoich ciężkich przeżyciach. Kiedy uniosła głowę i zobaczyła pełną bólu twarz przyjaciela, była już tego niemal pewna.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest ciągle małą dziewczynką, którą Esteban znał tak dobrze. Dziewczynką pragnącą, by ktoś się nią zaopiekował. Jego najlepszą przyjaciółką...

— Hej, ptaszyno — powiedział mężczyzna i uśmiechnął się. — Muszę już iść.

— Już? — Annie zapytała pełnym żalu tonem. Ramirez skinął twierdząco głową.

— Chciałem zobaczyć tylko, co porabiasz i... podziękować za to, że nie pozwoliłaś facetom z rządu zapomnieć o mojej sprawie.

Jego sprawie. Wymówił te słowa jak doświadczony pracownik socjalny.

— Bez przesady — dziewczyna zaprotestowała. — Nie przykułam się przecież łańcuchami do drzwi ministerstwa. — Mówiąc te słowa, starała się jednocześnie wyciągnąć rękę spod pieszczących palców Estebana. Bała się, że za chwilę może całkiem stracić kontrolę nad sobą.

— Tak czy inaczej, jestem ci naprawdę głęboko wdzięczny, Annie.

„Chyba oszaleję, jeśli jeszcze raz mi podziękuję” — pomyślała. Czowała, że za chwilę się rozpłaczę. Na szczęście Esteban wreszcie wstał.

— Myślę, że się jeszcze kiedyś zobaczymy — wypowiedział zwyczajową formułkę.

— Oczywiście — Annie odparła cicho. — Do zobaczenia — dodała, nie patrząc na Estebana. Udawała, że wyciera ze stołu palcem plamę po kawie. Po chwili, nie będąc w stanie wytrzymać pełnego napięcia milczenia, podniosła głowę i chciała zaprosić przyjaciela na jeszcze jedną filiżankę napoju. Spóźniła się jednak, gdyż Esteban właśnie otwierał drzwi. Jeszcze tylko uśmiechnął się i wyszedł.

Rozdział 2

Annie siedziała przy stole i dopijała kawę, uparcie unikając spoglądania na oddalającego się Estebana. Dopiero dobiegające z oddali głosy poderwały ją z krzesła. Zaniepokojona uchyliła ciężką, zakurzoną zasłonę i wyrzła przez okno.

U stóp wzgórza stał sznur furgonetek oznaczonych kolorowymi symbolami stacji telewizyjnych i pretensjonalnymi napisami w rodzaju „Wiadomości To My”. Przy samochodach kręciła się grupa kobiet i mężczyzn. Rozmawiali dość głośno, żywo przy tym gestykulując. Po chwili zajęli się wypakowywaniem kabli, mikrofonów i przenośnych kamer. W końcu objuczony tłum rozpoczął wspinaczkę na szczyt wzgórza.

— O, nie — Annie wyszeptała bezradnie, widząc Estebana stojącego kilkanaście metrów od domu. Wydawał się taki mały w obliczu nadciągającej armii. W mgnieniu oka wybiegła na dwór.

— Wracaj do środka — krzyknęła rozpaczliwie. Esteban spojrzał na nią zdziwiony.

— Dlaczego, Annie?

— Ponieważ nie jesteś na to przygotowany — odpowiedziała szczerze, gdyż w tak krótkim czasie nie zdążyła wymyślić żadnego rozsądnie brzmiącego pretekstu. Ramirez był oszołomiony. Przyglądał się przyjaciółce, próbując zrozumieć sytuację. Annie miała wrażenie, że jego oczy przez moment rozpałił błysk pożądania. Nie czekając dłużej, aż Esteban ochłonie, obróciła go i pchnęła w kierunku drzwi. Pod jego cienką koszulą wyczuła palcami sterczące łopatki. Stała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się, dlaczego dotykanie Estebana sprawia jej taką przyjemność. Był bardzo przystojnym mężczyzną, chociaż po rocznym pobycie w więzieniu wyglądał mizernie. Annie miała wielką ochotę objąć go, lecz, niestety, okoliczności temu nie sprzyjały. Poza tym postanowiła zadbać o to, by dobrze się odżywił.

Tak, musi to zrobić, zdecydowała i odwróciła się w stronę nadchodzących ludzi. Była zupełnie nieświadoma tego, że jej plany wybiegają poza następną godzinę, czy dwie.

Obserwowała z kamienną twarzą, jak siedmiu reporterów — sześciu mężczyzn i kobieta — wlokło się w żółtym tempie pod górę. Nagle kobieta

zahaczyła wysokim obcasem o kamień, zachwiała się i o mało co nie upadła na ziemię. Zaklęła tak głośno, że nawet Annie to usłyszała.

— Bez redakcyjnych komentarzy, Beth! — krzyknął jeden z mężczyzn i wszyscy roześmieli się głośno. Annie, mówiąc delikatnie, nie przepadała za Beth Hoagland. Miały nauczyć się pływać i Beth, chociaż silniejsza i wyższa o głowę od pozostałych dziewczyn, śmiertelnie bała się wody, zaś cicha, nieśmiała Annie już po dwóch dniach obozu pływała jak ryba. Beth uznała to za plamę na honorze, chciała bowiem koniecznie być we wszystkim najlepsza. Odtąd znenawidziła Annie. Jak to Spud powiedział wtedy: „Nadepnęłaś Beth na odcisk, więc tak łatwo ci tego nie przebaczy”.

Annie skrzyżowała ramiona i westchnęła. „Robię to dla Estebana” — dodawała sobie otuchy.

Ciężko dysząc, reporterzy dotarli w końcu na szczyt, a gdy unieśli głowy, zobaczyli stojącą nieruchomo dziewczynę. Usłyszała chór męskich głosów wykrzykujących jej imię. Próbowwała uśmiechnąć się. Dziennikarze postawili kamery, wyciągnęli notesy i podłączyli mikrofony. Beth Hoagland przyglądała swoje już i tak idealnie ułożone jasne włosy. Nagle Annie uświadomiła sobie, że swoje ma brzydko spięte na karku. Zdjęła szybkim ruchem spinkę dokładnie wtedy, gdy kamiera zaczęła warczeć. „Cholera” — zaklęła w duchu. Próbowwała niby przypadkowo odgarnąć zabłąkane kosmyki z policzka.

— Czy miałaś jakieś wieści o Estebanie Ramirezie od czasu jego wyjścia z więzienia? — zapytał jeden z reporterów, podczas gdy operator stojący z boku filmował wywiad.

— Kontaktował się ze mną — odpowiedziała ostrożnie Annie. — Bardzo się cieszył z powrotu do kraju.

— Czy wiesz, gdzie on teraz jest? — padło kolejne pytanie.

— O ile mi wiadomo, najpierw zatrzymał się na Florydzie — odparła trochę niepewnie. Po tylu godzinach podobnych wywiadów, bez większych trudów tłumiała w sobie wpojona przez Elmirę i Spuda prawdomówność.

— Ale oczekujesz spotkania z nim? — naciskał reporter.

— Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś, by powspominać stare, dobre czasy.

— Czy to prawda, że udał się tam w poszukiwaniu pewnej kobiety? — odezwała się Beth. — Odnalazł ją czy nie?

Annie milczała przez chwilę, próbując zebrać myśli.

— Nigdy nie...

Ach, o to chodzi... Prasa wielokrotnie pisała o przyczynie wyjazdu Estebana do Ameryki Południowej. Kobieta, której szukał, nazywała się Natividad.

— Pewnie nie powiedział ci także o tym, że zamierza ją poślubić?

— Nie, Beth — odpowiedziała Annie, patrząc jej prosto w oczy. — Zresztą po trzęsieniu ziemi i rewolucji zapanował tam wielki chaos. Wszystko mogło się zmienić, także ich plany.

— Cóż, to bardzo romantyczna wizja — wtrąciła Beth.

— Nie mam ci naprawdę nic więcej do powiedzenia — ucięła Annie. — Jestem pewna, że Esteban wkrótce sam złoży oświadczenie w tej sprawie. — Spojrzała na Beth ostatni raz i skinęła głową pozostałym dziennikarzom, którzy natychmiast rozpoczęli rozmowę o czekających ich jeszcze tego dnia wywiadach. Annie została porzucona niczym niepotrzebny już rekwizyt filmowy. Obserwowała, jak mężczyźni ułożyli kamery i udali się w powrotną drogę.

Znajdowali się już na dole, kiedy zdała sobie sprawę, że wciąż zaciska kurczowo pięści. „Całe szczęście — pomyślała — że droga na szczyt wzgórza jest zbyt ryzykowna dla przeładowanych furgonetek. Gdyby podjechali bliżej, z pewnością zauważyliby Estebana”.

Annie wróciła do domu. Na jej widok Esteban poderwał się z krzesła.

— Siedź! — powiedziała rozkazująco i poszła do kuchni, aby dolać sobie kawy.

— Annie — zaczął, zbliżając się do niej.

— Stój! — powstrzymała go. Wzięła głęboki oddech i usiadła przy stole. Esteban stał jeszcze przez chwilę, patrząc jej w oczy, lecz w końcu powoli opadł na krzesło.

— Wiem, co chcesz mi teraz powiedzieć — stwierdził pewnym głosem.

— Co takiego? — Annie zapomniała, że trzeba wciąż uważać na jego kpiny.

— Waruj! — krzyknął i zmusił ją tym do uśmiechu. Czyżbym był twoim psem? — zapytał kpiąco. — Dziękuję ci, Annie, że uchroniłaś mnie przed tą sforą szakali — dodał po chwili już poważnie.

— Nie musisz mi za nic dziękować — przerwała mu

— Annie, co się z tobą dzieje? — spytał zaniepokojony.

— Nic — odpowiedziała, co tym razem oznaczało „nie wiem”.

— No cóż, zdaje się, że działam ci na nerwy, więc lepiej chyba pójdę.

Esteban wstał. Annie spojrzała na niego z obawą. Nie chciała, aby odszedł, ale nie miała pojęcia, jak mu to powiedzieć. Zachowywała się niczym małe, rozkapryszone dziecko, jednak nic nie mogła na to poradzić.

— Wyglądasz na zmęczonego — zauważyła. — Jeśli chcesz, możesz odpocząć w pokoju Spuda. — Esteban zawahał się, więc szybko dodała: — Ci dziennikarze pewnie jeszcze się tu kręcą.

Był to z jej strony bezwstydnym podstęp. Jak daleko Annie sięgała pamięcią, nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek zachowywała się tak jak dziś. Złościło ją wszystko, co Esteban mówił albo robił, a jednocześnie za wszelką cenę pragnęła zatrzymać go przy sobie. Podejrzewała, że do tego dziwnego stanu doprowadziło ją napięcie, w jakim żyła przez ostatni rok.

Annie czuła, iż Esteban jest wciąż niezdecydowany. Wstała więc i skierowała się do pokoju Spuda, mając nadzieję, że przyjaciel podąży za nią. Odechnęła z ulgą, słysząc ze sobą jego kroki.

Pokój był mały i przytulny. Annie wyjęła z szafy czystą pościel i rozłożyła na łóżku. Unikając wzroku Estebana, opuściła rolety i zaciągnęła kremplinowe zasłony. Jednak mały promyk światła wpadł do środka, kładąc się jasną smugą na podłodze.

— Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie — powiedziała, starając się ukryć zakłopotanie. Szybko odwróciła głowę i wtedy napotkała spojrzenie Ramireza.

— To bardzo miło z twojej strony. Dziękuję — odpowiedział Esteban.

— Przestań mi wreszcie dziękować — odparła zniecierpliwiona, nerwowo wygładzając pognieciony róg kołdry. — Pete z pewnością życzyłby sobie, abym upewniła się, czy masz wszystko, czego potrzebujesz. — Uśmiechnęła się smutno i odeszła od łóżka. Chciała pospiesznie wyjść z pokoju, lecz Esteban źle zrozumiał jej zamiar i nie zdążył usunąć się z drogi. Wpadła na niego i oboje znieruchomieli. Annie czuła, że nie jest w stanie zrobić kroku i w ciszy mrocznego pokoiku wsłuchiwała się w nierówny oddech Estebana. Powoli podniosła głowę i spojrzała mu nieśmiało w twarz. Patrzył na nią ciemnobrązowymi oczyma tak zagadkowo, że poczuła gwałtowne bicie serca.

— Annie — szepnął namiętnie.

Pragnęła rozpiąć mu koszulę i złożyć dłonie na gęsto owłosionej piersi. Jej palce drżały z pożądania. Już od roku nie miała mężczyzny i czuła, że właśnie dlatego tak gorąco potrzebuje Estebana. Nie czyniła sobie z tego powodu wyrzutów. Oczekiwała przecież tylko odrobiny ciepła, a ten człowiek, z którym tak wiele ją łączyło, niósł ze sobą obietnicę intymności. Wiedziała jednak, że jest to gorzka obietnica. Gdyby go teraz dotknęła, z pewnością wzięłaby ją w ramiona, ale tylko ze względu na przyjaźń z Pete'em, a może po prostu z wdzięczności za pomoc w wydostaniu się z więzienia. Nie chciała wykorzystywać go w ten sposób.

Esteban jeszcze bardziej zbliżył się do niej. Annie traciła oddech, czując ciepło jego ciała. Zaczął delikatnie głaskać ją po ramionach. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej uległa. „Nie mogę tego zrobić” — pomyślała z desperacją. Widząc jego rozpalone oczy, natychmiast ochłonęła z miłosnego uniesienia. Esteban właśnie chciał ją pocałować, ale wymknęła mu się z objęć i ruszyła ku drzwiom.

— Wyśpij się dobrze! — krzyknęła, nie zatrzymując się. — Kiedy wstaniesz, zrobię ci coś do jedzenia.

— Dziękuję — Ramirez odpowiedział, gdy była już na korytarzu.

— Cholera — Annie zaklęła cicho. Miała już dosyć nieustannych podziękowań Estebana. Nie chciała jego wdzięczności. „Ale czego ja właściwie oczekuję?” — myślała, siedząc przy kuchennym stole. Była pewna jedynie tego, że pragnęła dotknąć Estebana, aby przekonać się, czy nie jest on zrodzoną z jej marzeń senną zjawą.

Nie wiadomo, dlaczego właśnie w tej chwili Annie przypomniała sobie jedno z ulubionych powiedzonek Spuda. „Czasami psy wyją nawet w biały dzień” — powiedziała cicho do siebie.

Było wczesne popołudnie, gdy Esteban położył się spać. Powoli nadciągał zmrok, a on wciąż się jeszcze nie obudził. Annie najpierw krzątała się po kuchni. Potem poszła do sypialni, aby poukładać swoje rzeczy. Okazało się jednak, że niewiele zostało tu do zrobienia. Gracie była dokładna jak nadgorliwy sierżant i złożyła wszystkie ubrania.

Annie wróciła do kuchni. Wyjęła z piekarnika gorący

chleb i zaczęła się zastanawiać, co by tu jeszcze przygotować na kolację. Nagle wpadła na pomysł: „Placek jagodowy!” Niedaleko domu było miejsce,

w którym Annie każdego lata zrywała mnóstwo jagód. Postanowiła natychmiast tam pójść.

Wyszła tylnymi drzwiami i tuż za progiem gwałtownie się zatrzymała. Widok rzeki w świetle zachodzącego słońca niemal ją odurzył. Dopiero po dłuższej chwili ruszyła pod górę ścieżką zaczynającą się za domem. Minęła zaniedbany kwietnik i przystanąła kawałek dalej. Wszędzie rosły chwasty. Cisnęła metalowe wiadro na ziemię. Nagły hałas przestraszył wróbla uczującego nie opodal w zaroślach. Ptak zatrzepotał skrzydełkami i gwałtownie wzbil się w powietrze, wypuszczając w pośpiechu z dzioba gałązkę.

Annie ostrożnie przedzierała się przez gąszcz krzewów dzikiej róży. W końcu dziewczyna dotarła do pola jagodowego. Zerknęła na krzaki. Ucieszona, nucąc cicho, zaczęła szybko zbierać owoce.

— Annie!

Uniosła głowę znad krzaczków i ręką odgarnęła włosy z czoła. Esteban stał przed domem i osłaniając oczy przed słońcem, uważnie rozglądał się po okolicy.

- Jestem tutaj! — zawołała Annie, powoli podnosząc się z kolan. Po chwili ciężko zdyszany Ramirez stanął przed nią. Annie nie myliła się. Był najwyraźniej czymś zaniepokojony.

— Zbieram jagody — powiedziała, przyglądając mu się uważnie. Esteban unikał jej wzroku. — Czy coś się stało? — zapytała z wahaniem.

Ramirez zakasłał i wykrzywił twarz w ponurym grymasie. Później, starając się usilnie nie patrzeć na Annie, włożył koszulę do spodni.

— Esteban — zapytała ponownie — co się z tobą dzieje?

— Nic takiego. — Westchnął i wsadził ręce do kieszeni. — Naprawdę nic, Annie — powiedział cicho i spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

Dziewczyna stała chwilę bez słowa, a w końcu zniecierpliwiona wzruszyła ramionami, chwyciła wiadro i zaczęła schodzić ścieżką wiodącą ku domowi.

— Nie wiedziałem, gdzie jesteś — usłyszała za sobą zakłopotany głos Estebana.

Zatrzymała się i odwróciła twarzą do przyjaciela.

— Martwiłeś się o mnie? — zapytała, ciągle nie rozumiejąc.

Ramirez skinął głową.

— Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, gdzie jestem. Pamiętałem jedynie, że widziałem cię przed zaśnięciem. — Wziął głęboki oddech i przygładził dłonią włosy. — Chyba ciągle się boję, że ludzie mogą... zniknąć.

Annie wreszcie zrozumiała. Przyjaciele Ramireza przepadali bez śladu podczas rewolucji. A później i on zniknął...

— Nie martw się. Przy mnie jesteś bezpieczny — powiedziała pogodnie, mimo że udręka przyjaciela raniła jej serce. Potem szybko odwróciła się i ruszyła dalej przed siebie.

Esteban dogonił ją dopiero, gdy zbliżała się już do domu.

— Nie byłaś tu dawno, prawda? — zapytał, wskazując ręką na zaniedbany kwietnik, wokół którego rosło mnóstwo chwastów. Okalający go niziutki murek również nie wyglądał najlepiej. Brakowało w nim kilku kamieni, a inne były na wpół przysypane ziemią. Klomb zarósł bławatkami, których jasnobłękitne kielichy teraz powoli się zamykały, gdyż zapadał zmrok. Ramirez zatrzymał się raptownie.

— Hej, czy to nie tutaj rosły te... Jak ty je nazywałaś? — zapytał, rozglądając się wokół. — Już wiem! „Nagie damy” — tak właśnie na nie mówiłaś — wykrzyknął radośnie i uśmiechnął się do Annie. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, choć wiedziała, że Esteban będzie w kółko powtarzał te słowa.

— To są amarylki — stwierdziła. — Niektórzy ludzie nazywają je magicznymi liliami.

— Nie — odparł, potrząsając głową. — „Nagie damy” to znacznie ładniejsza nazwa. Czy one jeszcze tutaj rosną?

— Nie jestem pewna — odpowiedziała, ugniatając stopą ziemię. — Na razie ich nie widać, ale być może wjeżdżą trochę później.

— Naga dama — powtórzył przekornie Ramirez i mrugnął żartobliwie do Annie.

Zapomniała już, jak bardzo Esteban i Pete wyśmiewali się z tych kwiatów, kiedy pewnego razu wspomniała o nich w szkole. Później przez cały tydzień nie dawali jej spokoju, powtarzając bezustannie tę nazwę.

— Chodź już — powiedziała rozmyślnie surowym głosem. — Mam zamiar upiec placek jagodowy na kolację.

— Nagi jagodowy placek? — Esteban znów zakpił

— Bardzo dowcipne — odpowiedziała cierpko, czym go tylko rozśmieszyła.

Po powrocie do domu Ramirez skierował się od razu do łazienki, ponieważ chciał się jeszcze przed kolacją wykapać. Dziewczyna zaś weszła do kuchni, włączyła przenośny telewizor stojący na półce i zajęła się przygotowywaniem ciasta. Podawano właśnie wiadomości z ostatniej chwili, ale pochłonięta swoją pracą Annie nie słuchała ich zbyt uważnie. Dopiero nazwisko Estebana wypowiedziane przez prezentera przykuło jej uwagę. Zerknęła z obawą na przedpokój, lecz na szczęście okazało się, że drzwi od łazienki są zamknięte. Później usiadła przy stole, oparła głowę na dłoniach i zaczęła wpatrywać się w ekran telewizora. Trafiła akurat na początek reportażu nakręconego najprawdopodobniej bezpośrednio po przybyciu Estebana na Florydę. W pierwszym ujęciu, zrobionym na lotnisku, jakiś dobrze zbudowany mężczyzna w eleganckim garniturze wysiadł wraz z Estebanem z wojskowego samolotu, a następnie obaj udali się w kierunku zaparkowanego w pobliżu wozu. Później samochód zatrzymał się przed budynkiem rządowym. Ramirez wysiadł, zdążył zrobić jeden krok i natychmiast obiegła go chmara przekrzykujących się nawzajem reporterów. Zaczął mozolnie przedzierać się przez las kamer i błyskających fleszy jak długodystansowiec kończący wyścig. Annie miała wrażenie, że Esteban lęka się tłumu.

— Jak się czujesz znowu na amerykańskiej ziemi? — krzyknął jeden z dziennikarzy i Ramirez uśmiechnął się blado.

— Wspaniale — odpowiedział. Jego głos był ledwie słyszalny w ogólnej wrzawie.

— Czy prawdziwe są pogłoski, że pojechałeś do Maragua, by spotkać się z narzeczoną? Czy byłeś w stanie ją odnaleźć?

Stał przez chwilę bez słowa, z przyklejonym do ust ponurym uśmiechem.

— Kobiety potrafią być dość ruchliwymi stworzeniami, nie sądzisz? — odparł w końcu i podniósł porozumiewawczo brwi. Reporterzy wybuchnęli śmiechem, a Esteban, korzystając z tego, że tłok wokół niego nieco zelżał, przesunął się o kilka metrów do przodu.

— Jak cię traktowano w więzieniu? — padło kolejne pytanie, gdy otwierał już drzwi budynku. Nie odpowiedział na nie, ale Annie zauważyła, że zanim wszedł do środka, jego ramiona nagle zeszywniały.

Esteban wyszedł z łazienki, gdy prezenter właśnie kończył czytać komentarz Departamentu Stanu. Raport ten stwierdzał, że rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie podejmował żadnych działań przeciwko Maragua, ponieważ pan Ramirez stracił paszport podczas trzęsienia ziemi i nie mógł udowodnić tamtejszym władzom, że jest obywatelem USA.

„Biurokratyczny bełkot” — pomyślała zirytowana Annie i szybko wyłączyła telewizor. Zdawkowe, napisane bez cienia uczucia oświadczenie oznaczało w istocie, że należy zapomnieć o całej sprawie. „Chyba nic nie mogę na to poradzić” — westchnęła ciężko.

— Ładnie pachnie — powiedział Esteban, wchodząc do kuchni.

Serce natychmiast zaczęło jej mocniej bić. Chcąc ukryć nagle wzruszenie, podeszła do piekarnika, wyjęła ciasto i zaczęła nakładać na nie warstwę lukru. Nie mogła się jednak powstrzymać, aby ukradkiem nie zerknąć na Estebana. Wyglądał na wypoczętego i miał wilgotne włosy.

— Nie są za krótko obcięte? — zapytał Esteban, zauważając, że Annie obserwuje go. — Kiedy wróciłem, sięgały mi prawie do ramion, ale fryzjer na Florydzie obawiał się, że mogę mieć jakieś... pasożyty. Dlatego tak je obciął. — Uniósł ramiona, jakby chcąc się usprawiedliwić, a rozczulona tym gestem Annie poczuła, że ma straszną ochotę pogłaskać go po głowie.

— Wyglądają pięknie — zapewniła go. Z jakiegoś powodu dziewczynie pochlebiało to, że zapytał ją o zdanie. Jednak kiedy niosła ciasto do pokoju, przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl, że bez wątpienia Ramirez tak samo przejmuje się opinią swojej narzeczonej. Postawiła paterę z ciastem na stole i zmieszana zaczęła ją bezsensownie przesuwając z miejsca na miejsce. Dopiero po dłuższej chwili odwróciła się i ruszyła z powrotem do kuchni. Gdy kątem oka spostrzegła, że Esteban patrzy na nią z zaciekawieniem, gwałtowna fala gorąca objęła szyję i twarz Annie.

— Talerzyki powinny być tam — powiedziała, wskazując ręką na szafkę. — Chyba że Gracie zaprowadziła tu swoje porządki — zastrzegła żartobliwie.

Zajęła się krojeniem chleba, jednocześnie spoglądając na szukającego odpowiednich naczyń Estebana. W końcu wyjął z szafki dwa talerzyki, ozdobione pięknymi ręcznie malowanymi kwiatkami. Stanowiły część serwisu, który był prezentem ślubnym od jednej z ciotek Pete'a, ale Esteban nie mógł o tym wiedzieć.

Annie udawała, że nie dostrzegła łapczywości, z jaką pochłaniał kolację. Milcząc starała się patrzeć na swój talerz. Zdawała sobie sprawę, jak trudno jest mu zapomnieć, że jeszcze niedawno spożywanie posiłków stanowiło dla niego tylko i wyłącznie walkę o przetrwanie.

— Może jeszcze ciasta? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, położyła mu kolejny kawałek.

Słowik ukryty gdzieś w gęstych gałęziach klonu zaczął wyśpiewywać tęskne melodie, a ostatnie ogniste promienie zachodzącego słońca ślizgały się po powierzchni wody. Kilka minut później drzewa na drugim brzegu rzeki znikły w mroku.

Nagle Estebanowi wypadł z dłoni widelec i uderzając o posadzkę zadźwięczał tak głośno, że zamyślona Annie podskoczyła z wrażenia.

— Przyniosę ci nowy — stwierdziła, wstając z krzesła.

— Nie trzeba — odparł i schylając się podniósł widelec. — Ten jest dobry.

— Wątpię. Nie jest tutaj aż tak czysto, abyś mógł jeść sztucem podniesionym z podłogi.

Na twarzy przyjaciela pojawił się zacięty uśmiech.

— Wierz mi, tam było znacznie brudniej. Zasmuciła się, wyobrażając sobie koszarne warunki, w jakich przyszło Estebanowi spędzić rok życia.

— Cóż, chyba zapalę światło.

— Nie, proszę, nie rób tego — powiedział podniesionym głosem.

Z pewnością nie była to zwykła prośba. Światło w jakiś sposób drażniło go i gdy Annie usiadła z powrotem na krześle, poczuła się bardzo niepewnie. Nie chciała zrobić żadnego fałszywego ruchu, bojąc się, że może zranić Ramireza, ale nie wiedziała, jak powinna się zachować. Poruszała się po nieznanym, niebezpiecznym terytorium. Niewiele wiedziała o pobycie Estebana za murami. Musiało to być piekło. Ale co zrobić, aby mu pomóc o tym zapomnieć?

Annie bez słowa nałożyła sobie na talerz jeszcze jeden kawałek ciasta. Esteban Ramirez przypominał jej teraz dzikie zwierzę, gotowe, w razie najmniejszego zagrożenia, najeżyć się i zaatakować. Przypomniała sobie, jak pewnego lata przyniosła do domu młodego dzikiego królika, dotkliwie poranionego przez psa sąsiadów. Włożyła zwierzątko do tekturowego pudełka, w którym zrobiła kilka otworów, by miał czym oddychać, i wstawiła mu do

środką miseczkę z wodą i trochę owsa. Tamtej letniej nocy słyhać było ciągle stukanie dobiegające z werandy. W końcu Annie zniecierpliwiona wstała z łóżka i poszła zobaczyć, co się dzieje. W drzwiach spotkała Spuda, któremu hałas również nie pozwalał zasnąć. Gdy wyszli na werandę, ich oczom ukazał się przerażający widok. Oszołomiony królik uderzał raz za razem całym ciałem o szczyt pudełka, próbując wydostać się z zamknięcia. Spud pokręcił głową.

— Lepiej go wypuścić, dziewczyno. Tak dzikie stworzenie jak ten królik nie może żyć w niewoli.

— A jeśli psy go dopadną? — rozpacziała Annie.

— Królik z pewnością woli zginąć na wolności, niż być zamknięty w pudełku.

Esteban także żył w zamknięciu przez cały ostatni rok i jakimś sposobem wyszedł z tego cało. Ale Annie czuła, że nie do końca był jeszcze wolny, nie jego dusza...

Delikatnie odsunął od siebie talerz

— Bardzo mi smakowało i mógłbym zjeść znacznie więcej — powiedział — ale nie jestem jeszcze przyzwyczajony do tak obfitych posiłków. Lekarz zalecał mi, abym przez jakiś czas zachował umiar — uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

— I tak zrobiłeś niezły początek — stwierdziła Annie z udawaną wesołością. — Jeśli się postarasz, niedługo będziesz wyglądał jak niegdyś.

Popęlniła błąd, kiedy spojrzała mu w oczy. „O Boże — pomyślała — tamte czasy już nie powrócą”. Najlepsze co mogła zrobić, to udawać przed Estebanem, że nic się nie zmieniło.

Bez słowa pomagał jej zmywać naczynia. Annie ukradkiem zerkała na niego, odkładając kolejne naczynia na suszarkę. Esteban w obronie zamknął się w sobie. W kuchni był obecny jedynie ciałem, zaś jego umysł toczył zaciętą walkę z przeszłością.

Annie włączyła jedynie niewielką jarzeniówkę nad zlewem, reszta kuchni pozostawała pogrążona w ciemności.

Pragnęła pogłaskać Estebana, aby ukoić jego ból, ale obawiała się trudnych do przewidzenia konsekwencji...

— Zastanawiałem się, czy pozwolisz mi skorzystać ze swojego telefonu — powiedział, odkładając ścierkę do wycierania naczyń. — Chciałbym za-

mówić rozmowę międzymiastową. Muszę koniecznie skontaktować się z kilkoma przyjaciółmi. — Wymówił te słowa tak beznamytnym, wręcz oficjalnym tonem, jak gdyby i on uświadomił sobie, że zbyt wiele zmieniło się od tamtych czasów. Annie chciała, aby traktował ją jak kogoś bliskiego i dlatego poczuła się zraniona jego nagłym chłodem.

— Obawiam się, że mój aparat nie został jeszcze podłączony - odparła. - Ale mogę zaprowadzić cię do Gracie.

— Byłbym ci wdzięczny. — Nadal unikał jej wzroku i pochylał się, jakby przygniatał go jakiś olbrzymi niewidzialny ciężar.

Bardzo uważała, aby nie otrzeć się o niego, kiedy w ciemności podążali do Gracie. Gęstą trawę pokrywała wieczorna rosa i wkrótce stopy Annie zostały całkowicie przemoczone. Dom ciotki był położony nieco powyżej jej własnego i aby tam się dostać, musieli przejść przez niewielki strumień. Annie oświetliła go latarką, chcąc znaleźć płaskie kamienie, po których zawsze przechodziła na drugi brzeg.

— Co się stało? — zapytał niecierpliwie Esteban, zatrzymując się przy niej.

— Nie mogę znaleźć kamieni — odpowiedziała poirytowana, zataczając trzymaną w dłoni latarką szeroki łuk.

— Kamieni?

— Tak, przecież musimy jakoś przejść na drugą stronę.

— Chyba poradzimy sobie bez nich. To taki mały strumyk — zauważył.

— Nie sędzę — zaprzeczyła gwałtownie Annie. Wytrącona z równowagi zupełnie przestała zwracać uwagę na światło latarki. Znała cały teren prawie na pamięć, a teraz nie potrafiła znaleźć zwykłego przejścia przez strumień.

— Jeśli uważasz, że możesz przeskoczyć, to proszę bardzo! Nie zatrzymuję cię! — krzyknęła, dając upust złości spowodowanej bezskutecznym poszukiwaniem kamieni. Chcąc pokazać, że jest obrażona, zamiast na rzeczkę, skierowała światło na swoje przemoczone stopy.

— Mam nadzieję, że nie pływają tu krokodyle — powiedział po chwili i Annie rozpoznała w jego głosie dawną kpiarską nutkę. Jednak podenerwowana wydarzeniami całego dnia, nie potrafiła zdobyć się na żartobliwą odpowiedź, jakiej z pewnością oczekiwał.

— Nie, nie ma tu żadnych krokodyli - odparła cierpko. - Co najwyżej jeden czy dwa cierniki. - Nagle zgasła latarka i Annie zakłęła pod nosem, potrząsając nią bezradnie. Była gorąca, bezchmurna noc, jednak cieniutki sierp księżyca nie dawał zbyt wiele światła. — Wysiadły baterie — oznajmiła Annie z narastającą irytacją.

— Cóż, może więc włożymy je do strumyka i przejdziemy po nich na drugi brzeg — zaproponował złośliwie Esteban.

Annie aż zasapała z oburzenia. Miała ochotę cisnąć w niego latarką, lecz, niestety, w ciemności nie widziała go zbyt dobrze.

— Nie wiem jak ty, ale ja przejdę przez ten strumień — stwierdziła zmęczona już zmaganiem z Ramirezem i z głupią latarką. Zrobiła krok do przodu i natychmiast poczuła dłoń Estebana na swym ramieniu. — Poradzę sobie sama — powiedziała, wyrывая się mu.

— Wspaniale! — krzyknął z nie skrywanym sarkazmem. — Więc może i mnie przeprowadzisz przez ten przekłety strumień! — Tym razem chwycił Annie za dłoń tak mocno, że nie mogła mu umknąć. Rzeczka miała zaledwie kilka metrów szerokości i nie więcej niż pół metra głębokości, lecz urosła do wielkości Missisipi, kiedy godność Annie została narażona na szwank. Zaczęła ostrożnie badać stopą teren przed sobą i po chwili wyczuła masywny płaski kamień. Błyskawicznie stanęła na nim i próbowała przyciągnąć do siebie Estebana, ale on niespodziewanie zaparł się obiema nogami.

— Co robisz! — krzyknęła. — Chcę ci pomóc!

— Ładna mi pomoc — odparł. — Stoisz na kamieniu, a ja po kostki w wodzie.

— To twoja wina — oznajmiła słodkim głosem i jeszcze raz spróbowała pociągnąć go ku sobie.

— Nie ruszę się stąd — stwierdził zdecydowanie. — W tej przeklętej ciemności nic nie widać!

— Och, na miłość boską! — Mocno już zniecierpliwiona Annie zrobiła kolejny krok do przodu, a dokładnie wtedy Esteban postanowił pójść inną drogą i oboje rozpaczliwie machając rękami, stracili równowagę. Następnym wrażeniem, jakie odczuła Annie, było to, że siedzi obok Estebana w strumieniu. Dopiero po chwili usłyszała, że Ramirez głośno się śmieje.

— Co cię tak śmieszy? — zapytała rozwścieczona. — Jestem cała mokra! Do licha, co pomyśli Gracie, gdy nas zobaczy?!

Esteban nadal zanosił się od śmiechu, choć Annie odniosła wrażenie, że próbuje przestać. Wstał i chwycił ją mokrymi dłońmi za ramiona.

— Potrafię sama wstać! — krzyknęła rozzłoszczona i odepchnęła go.

— Oooo... — z ust Estebana wydobył się dziwny dźwięk i Annie zorientowała się, że ponownie wylądował w wodzie. Zachichotała, gdy wyobraziła sobie jego wściekłą minę.

— Nie wiem, czy ktoś ci już o tym mówił, ale jesteś wyjątkowo kiepskim przewodnikiem — stwierdził, stając znów na nogi.

— Coś takiego! Wydaje mi się, że oboje bylibyśmy teraz u cioci, gdybyś nie opierał się głupio, kiedy próbowałam przeprowadzić nas na drugą stronę.

— Wstała gwałtownie i woda strugami zaczęła spływać po całym jej ciele.

— Ja jestem głupi? — krzyknął zadziornie i Annie zdała sobie sprawę, że jego głos dobiega z przeciwnej strony strumienia. — A co można powiedzieć o kimś, kto stoi po kolana w wodzie i kłóci się?

Miał rację. Nie było to najmądrzejsze, lecz za żadne skarby świata nie zamierzała powiedzieć tego głośno.

— Usiłuję znaleźć latarkę — usprawiedliwiała się z wielką godnością.

— Ja ją mam. A teraz, tutaj, chwyć moją rękę.

Nie chcąc pogarszać sytuacji, Annie pozwoliła wyciągnąć się z wody, a gdy stanęła już na brzegu, zaczęła wyzymać spódnice, zupełnie nie zwracając przy tym uwagi na Estebana.

— Czy ten strumień jakoś się nazywa? — zapytał.

— Słucham? — odparła zaskoczona i rozejrzała się dookoła. W ciemności ledwie dostrzegła zarys sylwetki Ramireza. — Tak, Alvin.

— Alvin? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak ma na imię brat Spuda — cierpliwie wyjaśniała Annie. — Alvin miał olbrzymie kłopoty z podejmowaniem wszelkich życiowych decyzji. Wahał się co do własnego ślubu, kupna domu, tego, czy powinien studiować, czy pójść do wojska.

— Więc co teraz robi?

— Jest kawalerem, mieszka w wynajętym mieszkaniu i pracuje jako kierowca w mleczarni.

— Annie! Co to ma wspólnego z tą rzeczką?

— Nie dowiesz się, jeśli będziesz mi co chwilę przerywał — powiedziała z irytacją. — Spud mawia, że strumień jest podobny do Alvina, gdyż wiję się

jak wąż i nie może się zdecydować, ani dokąd płynąć, ani też czy chce być strumieniem, czy potokiem. Płynie przez pastwisko, później w górę drogi, potem dokładnie przez środek irysowego kwietnika Gracie. Czasem jednak go omija i podąża zygzakiem między naszymi posiadłościami. Kluczy i błądzi dokładnie tak samo jak Alvin przez całe swoje życie.

— Czy twoja rodzina nadała jeszcze innym miejscom w okolicy tego rodzaju nazwy? — zapytał rozbawionym głosem. — Wiesz, co mam na myśli; płot imieniem Joanna, czy też koryto zwane Danielem?

— Bardzo zabawne, Ramirez — ucięła oschle, wyprostowała się i próbowała wygładzić mokrą spódnicę. — Jeśli skończyłeś już swoje żarciki, to może wreszcie pójdziemy dalej.

— Annie — rzekł łagodnie i gdy nagle stanął tuż przed nią, podskoczyła z wrażenia. Położył ręce na jej ramionach i natychmiast poczuła rozchodzące się po całym ciele ciepło, które było nieskończenie bardziej zniewalające niż zapach lipcowej nocy.

— Annie — powtórzył, spoglądając poważnie w jej ledwo widoczne w ciemności oczy i wtedy roześmiał się głośno. — Nie mogę wytrzymać. Po prostu pękam ze śmiechu na twój widok.

— To znaczy? — zdezorientowana wskazała na mokrą spódnicę, która oblepiała jej uda i biodra.

— Nie, nie. Kiedy tak usilnie starasz się być poważna i... pełna godności.

— Jestem poważna i pełna godności — odparła, wyraźnie odczuwając dotyk dłoni Estebana na ramionach. Wsunął kciuk pod ramiączka bluzki i gładził gorącą, wilgotną skórę. Annie miała wrażenie, że jej ciało za chwilę rozplynie się jak wiosenny śnieg, topniejący pod pierwszymi promieniami słońca.

— Nie, nie jesteś taka — zaprzeczył łagodnie. — Nie ta Annie, którą pamiętam.

— Zmieniłam się — powiedziała cicho, próbując w ciemności dojrzeć jego oczy.

— Nieprawda, Annie. I właśnie dlatego pragnąłem... zobaczyć cię. Czy ty naprawdę tego nie widzisz? Muszę odzyskać poczucie, że świat jest normalny i bezpieczny. Tylko ty możesz mi pomóc.

Jej serce zamarło z bólu. Normalny i bezpieczny. „Czy zrobiłam cokolwiek, aby mu to ułatwić?” — zapytała samą siebie. Jeszcze rok temu wiedzia-

łaby, w jaki sposób pomóc Estebanowi. Ale teraz była przecież wdową, która sama potrzebowała normalności i poczucia bezpieczeństwa.

— Czy wiesz, że zawsze miałem w tobie oparcie? — zapytał, gdy Annie odwróciła od niego wzrok.

— Esteban! — Nie chciała nawet o tym słyszeć.

— Nie, proszę, posłuchaj. Oboje byliśmy nowymi uczniami w szkole i kiedy nie potrafiłem znaleźć odpowiedniego angielskiego słowa, aby wyrazić to, co myślę, ty zawsze mi pomagałaś. Na początku trochę ze mnie pokpiwałaś, ale gdyby nie ty, czułbym się zupełnie bezradny. — Przesunął nieco dłoń po jej ramionach, głaszcząc delikatnie kciukami wrażliwą skórę. Mógł sobie opowiadać o normalności i poczuciu bezpieczeństwa, ale ten dotyk oznaczał coś zupełnie innego. — Potrzebuję cię, Annie — wyszeptał. — Dzięki tobie wszystko zaczyna się znowu dobrze układać.

— Na Boga, Esteban — powiedziała zrezygnowanym głosem — czy ty naprawdę uważasz, że kiedykolwiek ci pomagałam? Przecież kiedy przyszedłam pierwszy raz do nowej szkoły, moje życie było jedną wielką ruiną. Dopiero później, dzięki Spudowi i Elmirze, mój los się odmienił. Nigdy nie ujrzałam ojca, a matka nie chciała mnie znać. Przebywałam w tak wielu zastępczych rodzinach, że nie pamiętam nawet połowy z nich. A później spędziłam jeszcze rok w sierocińcu, zanim Spud zabrał mnie do siebie. — Rozłożyła bezradnie ręce. — Nie sądzę, że kiedykolwiek-byłam w stanie komuś pomóc.

— Nie mów tak. Miałem w tobie oparcie, Annie. Naprawdę. I nie zmieniłaś się. Widzę to... w twoich oczach.

„O Boże” — jęknęła w duchu. Nie, to nie dzięki niej Esteban czuł się wtedy dobrze. Było to zasługą Pete'a, który umacniał przyjaźń ich trojga i łagodził nie kończące się kłótnie między nią a Estebanem. Tylko on miał wpływ na nieokiełznanego Ramireza. Pete... Zawsze przytulał ją, gdy robiło się jej smutno. Ilekroć wszyscy troje musieli się rozdzielić, dostawała od niego długie listy. A od Estebana przychodziły zaledwie pocztówki, i to tak radosne... jakby w ogóle za nią nie tęsknił. Nie, to nie w niej Esteban miał oparcie. Jego najlepszym przyjacielem był Pete.

— Mylisz się — wyszeptała, odsuwając się od Ramireza i nagle ruszyła pędem pod górę. Uciekała od Estebana — poszukiwacza przygód, którego nie rozumiała, od swej młodości pełnej cierpienia i w końcu przed samą sobą... Po dłuższej chwili poczuła klucie w boku i ciężko dysząc, przystanąła.

— Nic ci nie jest? — zapytał, niespodziewanie zatrzymując się tuż za nią i Annie aż podskoczyła.

— Nie. Czuję się... świetnie — wysapała. — To tylko zwykły atak serca ze śmiechu.

— Przepraszam, Annie — powiedział łagodnie, ujmując jej nadgarstek. — Nie miałem zamiaru obarczać cię tym wszystkim. Chciałem tylko, abyś wiedziała, że... dobrze cię znowu widzieć.

Wypowiedział te słowa tonem, jakim mówi się „żegnaj”. Annie poczuła żal. Zbyt wiele emocji się w niej kłębiło. Chciała rzucić się na trawę, bić z rozpaczy pięściami o ziemię i zapłakać. Ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

Nagle na ganku domu Gracie, jakieś dwadzieścia metrów od nich, zapłonęło światło.

— Czy to ty, Annie? — krzyknęła ciotka.

— Tak, Gracie — odpowiedziała i ruszyła w kierunku światła. — Moja latarka wysiadła — stwierdziła drżącym głosem. Miała wrażenie, że za chwilę to samo stanie się z jej sercem.

— Chodź szybko tutaj, dziecko, zanim upadniesz w ciemności.

Annie posłusznie weszła po schodach na oświetlony ganek. Idący obok niej Esteban dopiero na ostatnim stopniu przestał palcami delikatnie głaskać wnętrze jej dłoni i cofnął swą rękę. Tęskniła za jego pieszczotami, ale sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać.

Gracie spoglądała podejrzliwie na oboje i Annie przypomniało się, że przecież są kompletnie przemoczeni.

— Wpadliśmy do strumienia — usprawiedliwiła się niepotrzebnie, nie mogąc wytrzymać badawczego spojrzenia ciotki.

— Jesteś pewna, że to nie była Missisipi? — zapytała bez cienia humoru Gracie i otworzyła im drzwi. — Poza tym, twoja latarka też mi nie wygląda na zepsutą — dodała z naciskiem, obrzucając znaczącym spojrzeniem Estebana. Annie zerknęła przez ramię i ze zdumieniem spostrzegła, że trzymana przez niego w dłoniach rzekomo zepsuta latarka teraz znowu świeci.

— Cóż, tak to się przedstawia — powiedziała znużonym głosem. — Ciociu Gracie, pozwól, że ci przedstawię Estebana Ramireza. Chciałby skorzystać z twojego telefonu.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekła Gracie do Estebana i natychmiast odwróciła się do Annie. — Co się stało? Czyżby i twój telefon został uszkodzony? — zapytała, patrząc na nią z wyraźnym niedowierzaniem.

— Jeszcze go nie podłączyli.

— Hmm — mruknęła ciotka.

Kiedy weszli do pokoju, z kuchni wynurzyło się ostrożnie kilka dziewcząt, które, chichocząc, szybko schowały się z powrotem.

— Kończcie już jeść tę kukurydzę, dziewczyny — rozkazała Gracie i chichot natychmiast przeszedł w kaskadę śmiechu.

— Ciocia ma pięć córek — Annie powiedziała do Estebana.

— Gdybyś zechciał zabrać stąd choć jedną z nich, będę wielce zobowiązana — wtrąciła Gracie i uniosła żartobliwie brwi. — Jak widzę, nie palisz się do tego. Cóż, telefon jest tam.

Esteban uśmiechnął się do Gracie i podążył za nią do kuchni. Gdy stanęli w progu, śmiech dziewczynek wzmógł się jeszcze bardziej.

— Cicho już! — Rozkazała ponownie ciotka. — Biercie kukurydzę i zmykajcie stąd!

— Cześć, Annie! — pozdrowiły ją chórem cztery jasnowłose panienki, ubrane w krótkie spodenki i bluzeczki na ramiączkach.

— A gdzie jest Barbara? — zapytała Annie, kiedy przywitała się już z każdą z nich po kolei.

— Pracuje wieczorami w barze — odpowiedziała Gracie. — Zbiera pieniądze na studia.

Gracie i jej mąż Ed nie byli zbyt bogaci, dlatego też uczyli córki pracowitości i samodzielności. Każda z nich od najmłodszych lat miała w domu swoje obowiązki. „Nie ma tu miejsca dla leni” — powtarzała zawsze Gracie.

Ciotka wpatrywała się w Annie, jak gdyby oczekiwała od niej innego wyjaśnienia obecności tego mężczyzny w kuchni. Ale Annie nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. Siedziały naprzeciwko siebie i dziewczyna, jak mogła, unikała spojrzenia w twarz Gracie.

Wtem Annie usłyszała, że Esteban podaje numer telefonistce z centrali międzymiastowej, a później pyta: „Jest pani pewna? Nikt nie odbiera?” Potem podał kolejny, ale, niestety, i tym razem nikt się nie zgłosił. Po chwili, mrużąc coś pod nosem, przycisnął kilkakrotnie guzik aparatu, próbując znowu

przywołać centralę. Annie chrząknęła nerwowo i prędko zajęła się liczeniem rzędów błękitnych kwiatów wytłoczonych na tapecie.

— Czy Esteban ma kogoś w Stanach? — zapytała nagle Gracie.

— Słucham? — Zamyślona Annie nie zrozumiała w pierwszej chwili pytania. — O, tak. Jego babcia mieszka w Kalifornii.

— To bardzo daleko stąd — stwierdziła zatroskana ciotka. Annie uświadomiła sobie, że znów wsłuchuje się w głos Estebana, który właśnie składał komuś wyrazy współczucia z powodu rozwodu.

Kiedy odwiesił słuchawkę, Annie spojrzała na Gracie. Ciotka miała nieprzeniknioną minę.

— Musiał chyba wiele przejść w tym więzieniu? — zapytała, lecz tak naprawdę nie oczekiwała odpowiedzi.

Esteban, trzymając ręce w kieszeniach, wszedł do pokoju i choć próbował się uśmiechnąć, Annie, dostrzegła w jego oczach niepokój.

— Dziękuję — powiedział do Gracie. — Dzwoniłem do Chicago. Zaraz zapłacę.

— Nie chcę nawet o tym słyszeć — odparła ciotka. — Dopóki u Annie nie podłączą telefonu, zawsze możesz korzystać z mojego.

— To bardzo miło z pani strony — rzekł — ale chyba nie będzie to potrzebne. Wyjeżdżam dzisiaj w nocy.

Serce zaczęło Annie walić tak głośno jak bęben wybijający rytm żałobnego marsza.

— Dokąd zamierzasz się udać? — ciotka zapytała bez ogródek.

Esteban przestąpił z nogi na nogę i spuścił wzrok.

— No, cóż. Powiem prawdę szanownej pani. Sam do końca nie wiem. Być może pojedę do Chicago i odwiedzę kogoś ze starych znajomych.

— Nie masz się gdzie zatrzymać, nieprawdaż? — Gracie zadała kolejne pytanie, przyglądając mu się uważnie.

— No, chyba nie, proszę pani. — Esteban był zawstydzony. — Przy najmniej nie w tej chwili. Straciłem swoje mieszkanie, podczas gdy byłem... za granicą. Ale jak już mówiłem, mam przyjaciół w Chicago i z pewnością zatrzymam się u któregoś z nich przez kilka dni, zanim czegoś nie wynajmę.

„Łgarz” — pomyślała Annie. Słyszała przecież, jak rozmawiał przez telefon. Nikt nie zaproponował mu gościny. A zresztą, jeśli chce się wyjechać, to każdy pretekst jest dobry. W końcu Esteban przybył tutaj tylko po to, żeby

podziękować jej za pomoc w wydostaniu się z więzienia i teraz był już gotów do dalszej drogi. Jak zwykle zostawi ją samą.

— Może więc zostań u Annie — powiedziała Gracie.

— On nie może tego zrobić — zaprotestowała dziewczyna.

— Obawiam się, że Annie ma rację — przyznał Esteban. — Nie powinienem stawiać jej w takiej sytuacji.

— Nonsens — odparła ciotka. — To dla niej żaden kłopot. Poza tym byłeś najlepszym przyjacielem jej męża i nie masz dokąd pójść w tej chwili.

— Gracie... — Annie syknęła przez zaciśnięte zęby.

— Sama bym cię przenocowała — ciągnęła dalej ciotka, nie zwracając uwagi na siostrzenicę — ale dom jest pełen dziewcząt. Nie chodzi o to, żebym się bała, że tak przystojny mężczyzna może zawrócić im w głowach — dodała żartobliwie — ale u Annie będzie ci po prostu wygodniej. — Spojrzała na nią z naciskiem, jakby chciała uciąć wszelkie protesty. Annie ciężko westchnęła. Oboje otrzymali właśnie pokazową lekcję wtykania przez Gracie nosa w nie swoje sprawy.

Rozdział 3

Nic dziwnego, że w drodze powrotnej oboje czuli się bardzo niezręcznie, skoro Annie była teraz zobowiązana do udzielania Estebanowi gościny w swoim domu. Gracie wyświadczyła im przysługę.

Annie próbowała z całych sił nakłonić ciotkę do milczenia, przykładając w błagalnym geście palec do ust, ale Gracie zdecydowała, że Esteban powinien zostać w domu siostrzenicy i nic nie mogło odwieść jej od tego zamiaru. A już z pewnością nie bolesne westchnienia dziewczyny, jej znaczące chrząknięcia, czy też zwracanie oczu ku niebu. Ciotka była całkowicie nieczuła na wszystkie sygnały.

A Esteban, swoją drogą, nie stawiał zbyt wielkiego oporu. Właściwie gdy Annie spojrzała na niego z rozpaczą, w jego oczach pojawił się niepokój. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby w rzeczywistości pragnął zostać u niej.

— Może tym razem go przepłyniemy? — zaproponował, gdy zbliżyli się do strumienia. Annie pominęła milczeniem prowokacyjne pytanie i skupiła się na poszukiwaniu kamieni. Esteban zapalił latarkę i oświetlił jej drogę. Jednak ta pomoc jedynie zirytowała Annie. Znalazła pierwszy kamień i chwilę później była już na drugim brzegu. Nie czekając na Estebana, ruszyła wolno w kierunku domu.

— Annie — powiedział, zbliżając się cicho, ale ona nie zatrzymała się. — Annie — powtórzył. — Jeśli chcesz, wyjadę jeszcze dzisiaj w nocy.

— Nie — odparła przekornie. — Gracie chyba by mnie zabiła.

— Mógłbym coś wymyślić, aby jednak pozostawiła cię przy życiu. — Esteban zrównał z nią krok. — Czy mam wyjechać, Annie?

Nie, nie chciała. Pragnęła, by został u niej w domu. Pragnęła tego tak bardzo, że ledwo powstrzymywała się od płaczu. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru ujawniać swoich prawdziwych uczuć. Tak czy owak, przeklinała w duchu Estebana za to, że przybył tutaj i okazał swoją wdzięczność. Poza tym uświadomił jej, iż potrzebuje mężczyzny. Przeklinała go także za to, że był najlepszym przyjacielem jej męża. Gdyby nie łączyła ich tak silna więź, być może Annie zdecydowałaby się powiedzieć Estebanowi, żeby wyjechał stąd jeszcze dzisiaj.

— Jeśli zaraz wsiądę do samochodu, to wczesnym rankiem dojadę do Chicago — odezwał się, jakby czytając w jej myślach. — Oczywiście jest już późno — dodał po krótkiej chwili milczenia — i nie czuję się zbyt wypoczęty. A poza tym mam tylko tymczasowe prawo jazdy. Nie chciałbym spowodować jakiegoś wypadku... — Zawiesił głos i spojrzał na Annie wyczekująco.

— Mówiłam ci już, że możesz przenocować w moim domu — odpowiedziała zirytowana.

— W takim razie sędzę, że zostanę do jutra.

— W porządku.

Doszli prawie do domu, gdy ponownie zapytał:

— Annie, czy jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu, abym został u ciebie? Bo jeśli naprawdę nie chcesz...

— Na miłość boską, Esteban! — przerwała mu gwałtownie. — Cieszę się, że zostaniesz u mnie! Wspaniale! Jeszcze nie wyjeżdżasz! Po prostu cudownie! — Zawstydzona swym nagłym wybuchem wyprzedziła Estebana i z rozmachem otworzyła tylne drzwi domu.

— Cóż, jeśli rzeczywiście wszystko jest w porządku... — powiedział tonem pełnym wahania, choć Annie mogłaby przysiąc, że śmieje się za jej plecami. Kiedy jednak zapaliła światło i odwróciła się, aby sprawdzić swoje podejście, Esteban miał bardzo poważną minę.

Przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem, ale wcale nic była pewna tego, co widzi. Esteban stał w pobliżu drzwi, w miejscu, do którego ledwo docierało światło; łagodne cienie wygładzały rysy jego twarzy. Z jakiegoś powodu Annie nagle przypomniała sobie pewien wieczór w Chicago, kiedy poszli we trójkę do kina. Grano wtedy komedię i Annie oraz Estebana ogarnął jakiś głupawy nastrój. Film się skończył i wyszli z budynku. Wtedy Esteban nagle chwycił ją za rękę i oboje pobiegli ulicą. Biegli i chichotali. Biegli, biegli, biegli... A Pete krzyczał za nimi zdziwionym głosem. Dopiero po dłuższej chwili otrzeźwieli, zatrzymali się i poczekali na niego. „Co za licho w was wstąpiło?” — zapytał, kiedy w końcu ich złapał.

Annie nie miała pojęcia. „To sprawka księżycyca” — wyjaśnił Esteban i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— O czym myślisz? — cicho zapytał Esteban. Annie odwróciła oczy i wzruszyła ramionami.

— Ależ gorący wieczór — odpowiedziała wykrętnie. — Muszę poszukać jakiegoś patyka.

— Czego?

— Okno w twojej sypialni samo się zamyka. Trzeba je czymś podeprzeć. — Zaczęła szperać w szufladzie, ale nie znalazła tam niczego odpowiedniego. Potem skierowała kroki ku szafce, znajdującej się pod zlewem.

— Nie rób sobie kłopotu — Esteban odezwał się, gdy już trzymała w dłoni twardy kawałek drewna, służący kiedyś do mieszania farby. Mężczyzna stał ze skrzyżowanymi ramionami, lekko oparty o ścianę i wydawało się, że próbuje zrozumieć coś, co dotyczyło Annie.

— Świetnie — odparła bezceremonialnie — Gotuj się, jeśli chcesz.

Położyła patyk na zlewie.

— Idę spać. Dobranoc.

„Annie Maguire, jesteś wiedźmą — powiedziała sama do siebie po wyjściu z kuchni. — Złośliwą, wstrętną wiedźmą” Esteban tutaj przybył i zachowywał się tak, jakby byli po prostu starymi przyjaciółmi z Chicago, a ona nie

potrafiła znieść jego wdzięczności. Miała ochotę wykrzyknąć mu w twarz, że nie jest jej nic winien. Zamiast to zrobić, poszła jednak do łóżka.

Prześcieradło lepilo się od potu, kiedy Annie obudziła się parę godzin później, a wilgotna koszula przywarła jej do pleców.

„Goręcej jest chyba tylko na Saharze” — pomyślała, odrywając tkaninę od rozgrzanego ciała. Przypomniała sobie, że w lodówce, leży jeszcze co najmniej połowa jagodowego placka. Przewróciła się na bok i ciężko westchnęła. Próbowwała nie myśleć o tym, jak przyjemnie byłoby zanurzyć zęby w zimnym cieście, zwłaszcza gdyby pokryć je warstwą lodów. „Nie” — jęknęła cicho.

Pięć minut później Annie, pokonana przez swój żołądek, wstała z łóżka i udała się do kuchni. W pośpiechu zapomniała nałożyć pantofle, ale nie zawróciła, gdyż kafelkowa posadzka wspaniale chłodziła nagie stopy. Otworzyła lodówkę i zerknęła na półkę, na której powinna stać patera z ciastem.

— Jest na stole — powiedział Esteban i Annie podskoczyła.

Odwróciła się, ale w ciemności nie mogła go dojrzeć. Wpatrywała się w mroczną przestrzeń i po dłuższej chwili udało się jej dostrzec zarys sylwetki Estebana. Otworzył zewnętrzne drzwi i leciutki wietrzyk przywiał przez ochronną siatkę delikatny zapach bżów. Gdy oczy Annie przyzwyczyły się już do panującego mroku, zobaczyła, że Esteban stoi oparty plecami o futrynę. Trzymał ręce w kieszeniach spodni i obserwował ją. Widząc jego zafraowaną minę, domyśliła się, że w blasku światła padającego z otwartej lodówki jest prawie naga.

Szybkim ruchem zatrasnęła lodówkę. Potem, nie patrząc na niego, wyjęła dwa talerze z szafki i lody z zamrażarki. Esteban podszedł wolnym krokiem do stołu i usiadł naprzeciwko niej. Annie chciała nacisnąć przełącznik znajdujący się na ścianie. W ostatniej chwili cofnęła rękę, przypominając sobie, że światło niepokoi Estebana. Nałożyła mu na talerz kawałek pokrytego z wierzchu lodami placka. Zjadł go w mgnieniu oka, podczas gdy Annie guzdrała się nad swoim talerzem. Esteban siedział spokojnie przez kilka minut, a później odsunął krzesło i podniósł się. Podszedł z powrotem do otwartych drzwi i zaczął rozglądać się po okolicy.

Annie odstawiła na bok talerz i obserwowała Ramireza. Miała wrażenie, że upaja się letnią nocą. Po chwili wstała, ale nie potrafiła się zdecydować, czy wrócić do sypialni, czy też zostać jeszcze w kuchni. Pamiętała, że nie by-

ła zbyt miła dla Estebana, kiedy szła spać. Kątem oka zauważyła, że na zlewie nie ma patyka.

— Chodź do mnie, Annie — poprosił łagodnym głosem. Wahala się przez moment, potem jednak podeszła do niego. Odwrócił się i Annie ujrzała dziwny grymas na jego twarzy.

— Annie... — powiedział drżącym głosem. — Annie, czy mógłbym cię na chwilę przytulić?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Nie prosił o wiele, ale chyba nie zdawał sobie sprawy, jaki może mieć to skutek. Jak dotąd z największym trudem udawało się jej panować nad sobą, a teraz bliskość ciała Estebana doprowadzała ją niemal do szaleństwa.

— Nie miałem okien w mojej celi — stwierdził, jakby wyjaśniając coś Annie. — Przez pierwsze parę tygodni wstawałem w nocy i podchodziłem do drzwi, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć coś innego niż te przekłete ściany. Walałem w nie pięściami, ale oczywiście ani drgnęły... a później kładłem się z powrotem na pryczy i starałem się zapomnieć, że nie ma dla mnie stamtąd wyjścia.

Serce Annie wyrwało się ku Estebanowi. Pogłaskała go delikatnie, a on kurczowo zacisnął obie ręce na jej dłoni.

— Esteban...

— Cicho... Chciałem tylko, abyś wiedziała, dlaczego... dlaczego stoję w tych drzwiach w środku nocy. Po prostu ciągle jeszcze nie wierzę, że mogę wyjść na zewnątrz, jeśli tylko będę chciał.

— Och, Esteban... — Annie zbliżyła się do niego. Esteban uwolnił jej dłoń i otoczył ją ramionami. Przywarli do siebie i zaczęli się łagodnie kołysać.

— Pachniesz jak letnia noc — powiedział po chwili. — Dokładnie taką cię zapamiętałem.

— Tak mi przykro z powodu wszystkiego, co zaszło — wyszeptała.

— Nie smuć się. — Pogłaskał ją po włosach, kciukiem przeslizgując się po jej karku i ramieniu.

— Nic nie mogę na to poradzić. Czuję się okropnie, kiedy pomyślę o tym... o tym, że byłeś w więzieniu i że Pete nie żyje, i o tym... jak ciężko czasami powstrzymać się od płaczu.

— Przedemną nie musisz się wstydzic łez. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi, pamiętasz? — Poczula, że wtulony w jej włosy Esteban uśmiechnął się. — Nie mamy żadnych tajemnic przed sobą, wróbelku.

Ale Annie miała. Odczuwała wielkie pragnienie, aby przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie. Tęskniła za jego dłońmi i ustami, lecz w żaden sposób nie mogła mu o tym powiedzieć.

Łzy zawodu napłynęły jej do oczu. Oparła policzek na nagiej, gęsto owłosionej piersi Estebana. Czula jego mocne, szczupłe ciało napierające przez cienką nocną koszulę. Pachniał tak podniecająco, że zaczynało się jej kręcić w głowie. Otoczył Annie ramieniem, niezupełnie, ale niemal palcami dotykał jej nabrzmiałych sutków, jednocześnie drugą ręką głaskał ją po biodrze.

— Już dobrze — wyszeptał łagodnie, gdy łzy popłynęły po jego piersi. — Przestań się już smucić, proszę.

Nieświadomie zbliżyła się jeszcze bardziej ku Estebanowi, mocno przylegając do niego swymi krągłościami, jakby chciała stać się częścią jego osoby. Przeszył go niemal niedostrzegalny dreszcz i Annie odczula po sposobie, w jaki kurczowo zacisnął dłonie i napał na nią udami, że jest świadom tego, co się z nim dzieje. Kiedy ich biodra zetknęły się, nie miała już żadnych wątpliwości, że pożądają się nawzajem. Jednak nie była w stanie uwolnić się z jego objęć. Trwała w odrętwieniu, które jak narkotyk rozlewało się gorącymi falami po całym ciele. Uniosła powoli głowę i wilgotnymi od łez oczyma spojrzała mu w twarz. Jej oddech przeszedł w ciężkie, urywane dyszenie, gdy zobaczyła gorączkę w jego oczach. Nigdy nie widziała takiego ognia, który zapłonął niczym miliony eksplodujących nagle gwiazd.

— Esteban — wyszeptała ochryłym głosem.

Ale to słowo zawisło gdzieś w naładowanym elektrycznością powietrzu między nimi, a później, gdy ich usta spotkały się, znikło bez śladu. O, Boże! Annie gotowa była się roztopić, czując gorące wargi Estebana. Zatracała się całkowicie, widząc, jak płomień namiętności rozpala mu wzrok. Łapczywie poszukiwał jej języka, palące usta nie dawały chwili wytchnienia — biorąc, plądrując, pożądając...

Setki nocy minęły, od kiedy Annie była ostatni raz w ramionach mężczyzny. Wydawało się to niemal wiecznością. Wiedziała, że mogłaby mieć dzisiejszej nocy Estebana w swoim łóżku. Wiedziała, że chce zostać jej kochan-

kiem — na kilka godzin, może na kilka dni, a może nawet tygodni. Ale potem... czułaby wyrzuty sumienia, pragnąc dostać od niego więcej, niż zamierzał jej ofiarować. Zarówno Esteban, jak i ona potrzebowali fizycznej miłości. Annie jednak straszliwie obawiała się ukradkowych, pełnych winy spojrzeń o świcie, niezręcznych usprawiedliwień i żalonych wyjaśnień, że tylko przyjaźń i nagła potrzeba zaprowadziły ich do łóżka.

— Annie? — zapytał cicho, unosząc głowę. Obrzucił jej twarz uważnym spojrzeniem. Zapach bżów był teraz nieznośnie słodki. Annie poczuła dziwny ból chwytający ją za serce.

— Dobranoc, Esteban — powiedziała, dziwiąc się w duchu, że jej głos brzmi tak normalnie. Uwolniła się z jego ramion i gdy stopami dotknęła posadzki uświadomiła sobie, że przez cały czas, trzymana przez Estebana, stała na samych czubkach palców.

— Annie, co się stało? — zapytał pełnym urazy głosem.

— Nic, Esteban — odparła cicho. Taka już była Annie. — Po prostu udawajmy, że nic się nie stało i wszystko będzie w porządku. Dobranoc — powtórzyła.

Ale kiedy wróciła z powrotem do łóżka i nakryła się ciepłą jeszcze kołdrą, pomyślała, że tak naprawdę, nic nie jest w porządku. Serce ciągle waliło jej, jak gdyby wbiegła znad rzeki na sam szczyt wzgórza. Nie potrafiła tak łatwo zapomnieć tych ciemnych oczu, płonących niby żar wyciągnięty prosto z ogniska. I ciągle czuła gdzieś w środku ten dziwny ból. .

Następnego ranka Annie udała się po zakupy i zostawiła na kuchennym stole kartkę z wiadomością dla Estebana. Był już najwyższy czas, aby uzupełnić zapasy. Obficie zaopatrzona kilka dni temu przez Gracie lodówka zaczęła świecić pustkami.

W sklepie Annie pchała przed sobą wózek, wybierając z półek supermarketu niezbędne produkty. Kiedy wyciągnęła rękę po płatki owsiane, uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia, jak długo Esteban zamierza u niej pozostać. Zamyślona zmarszczyła brwi i odruchowo zacisnęła palce na pudełku. Pamiętała, że niegdyś czas nie miał dla niego żadnego znaczenia. Esteban nigdy nie wyznaczał dnia ani godziny następnego spotkania z przyjaciółmi; po prostu zakładał, że ono się odbędzie.

Wtem Annie upuściła pudełko na podłogę. Zawstydzona rozejrzała się wokół i szybko odłożyła je z powrotem na półkę. Nie była nawet zdziwiona, gdy nie ujrzała Estebana wśród swoich gości weselnych. W głębi serca czuła, że odwiedzi ją jeszcze kiedyś i że... będzie się cieszyła. Dlaczego teraz, gdy w końcu się spotkali, wszystko układało się tak okropnie? „Dobre pytanie, Sherlocku” — powiedziała sama do siebie, zmierzając ku następnemu rzędowi półek. To, jak zareagowała ubiegłej nocy na jego pocałunki, mogło jedynie popsuć sytuację.

Włożyła do wózka kilka paczek słonych ciasteczek i parę butelek ulubionego piwa Estebana. „Czyżbyś wychował się w Niemczech?” — zapytała go żartobliwie pewnego razu. Wzięła także lody, oczywiście pistacjowe. „Czy to nie jest zabawne — pomyślała, zbliżając się do kasy — że po tylu latach pamiętam, jaki smak mu najbardziej odpowiada?”

— Cześć, Eva! — pozdrowiła kasjerkę i zaczęła wykladać swoje zakupy na ladę.

— Miło cię znowu widzieć w mieście — odpowiedziała Eva, podliczając należność. — Słyszałam, że masz sławnego gościa w domu.

Annie drgnęło serce i zaniepokojona spojrzała na twarz znajomej.

— Skąd wiesz?

— Och, nie martw się. Gracie mi powiedziała. Oczywiście, prosiła mnie, abym zachowała to dla siebie. Tak więc nie pisałam nikomu ani słówka — oprócz pana Ames, rzecz jasna, i pani Susman. No i jeszcze Jennie Trainer.

— Tak, Jennie Trainer... Mogę sobie wyobrazić. — Sarkazm Annie nie zrobił najmniejszego wrażenia na Evie. Kierownik sklepu, pan Ames, nie należał do plotkarzy, więc wierzyła, że istotnie nie powie nikomu o Estebanie. Panią Susman, staruszką wychodzącą z domu jedynie raz w tygodniu po zakupy, również specjalnie się nie przejmowała. Ale Jennie Trainer przewodniczyła każdej organizacji, która kiedykolwiek istniała w Simpson: Wolne Drogi dla Rowerów, Obrońcy Środowiska Naturalnego, Rodziny bez Psów. Każde stowarzyszenie liczące więcej niż trzech członków zawdzięczało swą egzystencję Jennie. Była ona jedną z tych kobiet, o których większość ludzi mówi, że są jak walec drogowy, taranujący wszelkie przeszkody. Annie podejrzewała, że Jennie żyje kofeiną, dzięki niej bowiem nieustannie znajduje się w ruchu i potrafi godzinami nie zamykać ust. Do południa połowa mieszkańców Simpson będzie wiedziała, że Esteban jest w mieście, a do wieczora

druga połowa będzie zrzeszona w Komitecie do pieczenia ciasta powitalnego. Annie westchnęła ciężko, wyobrażając sobie tłumy ludzi otaczające przestraszonego Ramireza.

Gdyby Jennie zechciała ograniczyć swoje działania tylko do Simpson, dałoby się to jeszcze jakoś znieść. Ale o krok stąd położone było znacznie większe miasto — Eldridge, które szczyciło się własną stacją telewizyjną. Na domiar złego pracowała tam Beth Hoagland.

— Proszę bardzo — powiedziała Eva, wydając Annie resztę i wrzucając rachunek do jej torby. — I nie martw się. Nikt się nie dowie o Estebanie Ramirezie.

Nie miało już większego znaczenia to, że kasjerka wykrzyknęła te pocieszające słowa, gdy Annie doszła już prawie do drzwi, czy że połowa klientów zatrzymała nagle swe wózki i wraz z niemniej zaintrygowanymi sprzedawcami zaczęła się jej przyglądać.

— Dzięki, Eva — odpowiedziała słabym głosem. Ruszyła pospiesznie ku swojemu samochodowi, ale po drodze przystanąła na chwilę, gdyż coś na wystawie sklepu.....

— Oczywiście, że nie — odparła chytrze. — Możesz robić, co tylko ci się podoba.

— Doprawdy? — zapytał, unosząc z kpiącym niedowierzaniem brwi. — Nie jesteś ani odrobinę ciekawa?

Pozwoliła mu tak żartować przez moment. Udała, że z uwagą przygląda się swoim sandałom, jednak po chwili westchnęła ciężko.

— Co ty tutaj kopiesz, Esteban?

— Mam zamiar zasiać warzywa — odpowiedział.

— Warzywa? Chyba już za późno. Jest przecież środek lata.

— Mylisz się. Można jeszcze wysiać późną odmianę rzepy i kalafiora.

Annie zdziwiła się, słysząc te wieści. Czyżby znaczyło to, że Esteban chce zostać u niej dłużej?

— Nie znoszę rzepy — powiedziała nagle.

— Z pewnością nigdy nie próbowałaś duszonej. Tak przyrządzona smakuje wyśmienicie.

— Twoje wysiłki nie mają zbyt wiele sensu, Ramirez — stwierdziła. — Chyba nie sądzisz, że zjem taką ilość duszonej rzepy?

Spojrzała na niego sceptycznie. Esteban uśmiechnął się i opuścił głowę. Zatopił wzrok w glebie, jakby szacował właśnie jej płodność. Annie trzymając ręce na biodrach, czekała na odpowiedź.

— Potrzebowałem jakiejś pracy — powiedział po chwili, zaglądając Annie prosto w oczy.

Przez sekundę nie była w stanie myśleć. Każdy inny mężczyzna zaraz po wyjściu z więzienia wyglądałby na wyniszczonego i pozbawionego uroku. Ale nie on. Czy zawsze miał w sobie taką siłę, nie pamiętała. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego właściwie Esteban z zapalem zabrał się do działania. Po prostu potrzebne mu było fizyczne zajęcie. Tak, to by-wyjaśniało sprawę. Przypuszczała, iż przez cały rok trzymano go w jednej i tej samej celi bez możliwości wyjścia choćby na chwilę... Nic więc dziwnego, że pragnął jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu.

— Rozumiem — rzekła wreszcie. — Cóż, szczerze mówiąc, nie jestem zachwycona tymi warzywami, ale jeśli już je wysiałeś, to z pewnością się nie zmarnują.

Ruszyła z powrotem w stronę domu. Po kilku krokach zatrzymała się, i rzuciła niby od niechcienia przez ramię:

— Przy okazji, zaparzyłam właśnie kawę.

— Świetnie — odpowiedział Esteban i podążył za nią. Annie uśmiechnęła się pod nosem.

Mina, jaką zrobił Ramirez, przekraczając próg kuchni, była godna uwiecznienia na taśmie filmowej. Z nowego ekspresu, stojącego na półce, unosiła się para. Annie bez słowa nalala nieco kawy do malutkiej filiżanki i kłaniając się, podała ją Estebanowi.

— Wyśmienita, Maguire — powiedział z uznaniem, gdy osłodził szczerze napar i wypił pierwszy łyk. — Kiedy zdobyłaś ten ekspres?

Annie wybuchnęła śmiechem.

— Zobaczyłam go dzisiaj rano w oknie sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego. Sądzę, że pochodzi z poświętej wyprzedaży. Zawsze w lipcu towary cieszące się dużym wzięciem są wystawiane raz jeszcze.

— Niech cię Bóg błogosławi — wymruczał Esteban, opierając się o półkę i popijając z ukontentowaniem gęsty, aromatyczny płyn.

Annie przyglądała mu się zadowolona, że uczyniła coś, co rozjaśniło twarz przyjaciela. Był to ten rodzaj człowieka, który wzbudzał u większości ludzi instynktowne zaufanie. W liceum koledzy bardzo często zwracali się ze swoimi problemami do Estebana Ramireza, wiedząc, że wysłucha ich ze zrozumieniem i udzieli im mądrej rady. Dziewczyny zaś dosłownie wariowały na jego punkcie. Boże, jak one uwielbiały tego urodziwego młodzieńca o ciemnej karnacji skóry, prawiącego im czule słówka głosem o lekkim hiszpańskim akcencie. Obecnie akcent ten był już niemal niedostrzegalny, ale urok Estebana bynajmniej nie zmalął. Właściwie to Annie miała wrażenie, że jest teraz jeszcze bardziej przystojny niż kiedyś.

Zdumiewające, w jaki sposób potoczyły się losy ich trojga. Pete nie należał do osób rzucających się w oczy. Był typowym amerykańskim chłopcem o rudawych włosach i piegowatej twarzy. Zaś Annie, patykowata niby strach na wróble, również nie uważała siebie za zbyt atrakcyjną. Jednak Esteban właśnie ich dwoje wybrał na swoich najbliższych przyjaciół. Rzadko spotykał się z innymi ludźmi z klasy, najchętniej wszędzie włączając się z Annie i Pete'em. Annie pewnego razu musiała odwołać randkę z Estebanem. Olbrzymie zakło-

potanie, malujące się wtedy na jego twarzy, wystarczyło, żeby została raz na zawsze zniechęcona do takich prób.

Kiedyś upiekła mu na urodziny ciasto i podarowała stary ekspres do kawy, wyszperany w sklepie z używanym sprzętem gospodarstwa domowego. Esteban z radości podskoczył prawie do sufitu i natychmiast udał się ze swoim prezentem do kuchni. Po chwili wrócił i z triumfalną miną postawił przed Annie filiżankę z gorącym napojem. Skrzywiła się, pociągając pierwszy łyk, ale Ramirez był zachwycony wspaniałym aromatem kawy. Później, chcąc wyrazić swą wdzięczność, niespodziewanie objął Annie. Przez moment siedzieli mocno przytuleni do siebie, a gdy ukradkiem spojrzała w górę, zobaczyła dziwny grymas na jego twarzy...

— Pamiętasz ten stary ekspres? — zapytał nagle, przerywając jej wspomnienia.

— Oczywiście — przytaknęła. — Parę dni po twoich urodzinach przyniosłeś go do mnie. Powiedziałeś, że w moim towarzystwie kawa lepiej ci smakuje. No i tak już zostało... Ostatni raz miałam z niego pożytek tego wieczoru, gdy zaręczyłam się z Pete'em.

— Pamiętam. Akurat wyjeżdżałem z kraju.

— Już do końca życia tamten wieczór pozostanie w mej pamięci jako coś pięknego i smutnego zarazem — powiedziała cicho Annie, spoglądając przez okno na rzekę. — Pete poprosił mnie wtedy o rękę. Byliśmy tacy szczęśliwi. A później i ty przyszedłeś. — Pamiętała to wszystko, jakby zdarzyło się nie dalej niż wczoraj. Pete wybrał wspaniały moment na oświadczyzny; nastąpiła właśnie wiosna — ciepła i wietrzna. Drzewa zazieleniły się świeżymi liśćmi. Z Pete'em i Estebanem u boku zdawało się, że nic złego nie może się zdarzyć.

— Kiedy pojawiłem się, akurat parzyłaś kawę — powiedział Esteban beznamietnym głosem.

Annie pokiwała głową.

— Mieliśmy zamiar zadzwonić do ciebie i zapytać, czy pomożesz nam w przygotowaniach do ślubu, ale stanąłeś w drzwiach mojego pokoju, zanim zdążyliśmy to zrobić. Powiedzieliśmy ci o naszych planach, a ty stwierdziłeś... że opuszczasz Stany. — Spojrzała smutnym wzrokiem na Estebana, jakby odżył w niej żal spowodowany jego wyjazdem. — Pete pragnął, abyś został naszym świadkiem, ale uparłeś się, że nie jesteś w stanie przełożyć swojej podróży.

Esteban, chcąc uniknąć wzroku Annie, zaczął wpatrywać się w podłogę.
— Zawsze byłeś poszukiwaczem przygód, prawda? — zapytała cicho.
— Mówiłeś, że to Pete uwielbiał mocne wrażenia i ryzyko, ale tak naprawdę, to jest twój żywioł.

Smutny uśmiech zagościł na jego twarzy, gdy w końcu odważył się spojrzeć na Annie.

— Nie — odpowiedział łagodnie. — Nigdy tego nie lubiłem.

— Czy to prawda, że wyjechałeś z kraju... aby spotkać się ze swoją dziewczyną? — wstrzymała oddech, bojąc się, że zadała zbyt śmiałe pytanie. Dlaczego poruszyła tę sprawę? Przecież stare rany są najgorsze.

Esteban znowu odwrócił od niej głowę.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał po chwili.

Z pewnego powodu miało. Annie nie potrafiła sama sobie tego dokładnie wyjaśnić, ale czuła, że musi usłyszeć odpowiedź.

— Tak — stwierdziła — To ma znaczenie.

— W porządku.

Gdy spojrzał na nią ponownie, przeraziła się widokiem ogromnego bólu żłobiącego zmarszczki na jego twarzy. I wcale nie była już taka pewna, czy chce jeszcze wiedzieć, co skłoniło go do wyjazdu. Esteban odstawił kubek, pochylił głowę i zanurzając dłonie w swej gęstej, ciemnej czuprynie, zaczął z namysłem przyglądać się naczyniu.

— Natividad, tak brzmi nazwisko tej dziewczyny — powiedział po chwili. — Wychowaliśmy się razem w Maraqua, a nasi rodzice bardzo przyjaźnili się ze sobą. To się rozumiało samo przez się, że... pewnego dnia weźmiemy ślub.

Annie zamarło serce.

— Czy pragnąłeś się z nią ożenić? — zapytała, ledwie wydobywając głos z zaciśniętej krtani.

— Później mój brat zniknął i nie został mi w Maraqua nikt inny, kogo bym kochał — urwał i wrzucił ramionami, jakby wyjaśnił już Annie wszystko, co chciała wiedzieć.

Sądziła, że dowie się znacznie więcej, ale nie miała do Estebana pretensji za ten wyraźny unik. W końcu nie była to jej sprawa. Naciskając dalej, przekroczyłyby granice tego, na co pozwala przyjaźń.

— Teraz ja chciałbym zadać ci pytanie — powiedział cicho i nieśmiało spojrzął na Annie.

— Proszę bardzo. — Nie czuła się tak swobodnie jak przedtem, lecz nie dała tego po sobie poznać.

— Co robiłaś od czasu, gdy umarł Pete?

— Co robiłam? — Annie zadumała się. Żyła we mgle, czując się oddzielona od reszty świata, nie myśląc o nikim i o niczym. Po prostu trwała. Ocknęła się dopiero, kiedy Estebana wtrącono do więzienia. Walka o jego uwolnienie nadała sens wielu miesiącom jej życia. Annie zaczęła wręcz prześladować waszyngtońskich urzędników i dyplomatów. Mówiła o sprawie Ramireza każdemu, kto nie był dość szybki, by przed nią uciec. Nabrała wprawy jak armia wysoko wykwalifikowanych sekretarek. — Ach, mam pracę w Chicago — stwierdziła, wzruszając ramionami. Było to kłamstwo: dostała wypowiedzenie już pół roku temu. — Poza tym udzielam jeszcze lekcji malarstwa. — Miała nadzieję, że Esteban nie przejrzy tego szytego grubymi nićmi łgarstwa. Annie była bez pracy. Nie miała żadnego stałego źródła dochodów. Jedyne, co posiadała, to nadmiar wolnego czasu, który przeciekał jej między palcami.

— To wspaniale — powiedział i rozpromienił się. — Studiowałaś przecież historię sztuki w college'u. Mówiono, że rokujesz duże nadzieje.

Annie skinęła głową.

— W Chicago zajmowałam się grafiką. Interesowało się mną wiele firm reklamowych. Ale przede wszystkim maluję dla przyjemności — dodała.

— Więc jesteś teraz na urlopie?

— Nie. To znaczy, tak — zaplątała się. Bała się spojrzeć na Estebana. Miała okropne uczucie, że zaczyna się czerwienić. Odwróciła się, chwyciła ścierkę i z zapalonym zapałem zabrała się do czyszczenia ekspresu. — Dostałam wolne do końca wakacji. — Z trudem przeszło Annie przez usta kolejne kłamstwo. W tej chwili była już pewna, że rumieńce objęły jej całą twarz.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Annie wstrzymała oddech, czekając na nieuchronne zarzuty. Esteban jednak jej uwierzył.

— Hej — odezwał się w końcu — co na kolację? Czy jest jeszcze ten pyszny placek?

Annie uśmiechnęła się, spoglądając na ekspres.

— Mogę upiec następny, jeśli ktoś przyniesie mi trochę jagód.

— Z najwyższą przyjemnością spełnię każde życzenie szanownej pani.
— Esteban zabawnie przeciągał słowa, naśladowując południowy akcent. — Jagody wkrótce nadejdą

Wyszedł i z rozmachem zamknął za sobą drzwi. Annie wyjrzała za nim przez okno. Uśmiechnęła się, widząc, jak

wspina się w górę zbocza, zdecydowanie dążąc do nowego celu. Esteban w poszukiwaniu kolejnej przygody. Jej uśmiech zbladł, kiedy uświadomiła sobie, jak często się to zdarza.

Rozdział 4

Annie przeciągnęła się i leniwie przewróciła z boku na bok. Gdy usłyszała dokuczliwe brzęczenie muchy fruującej nad łóżkiem, jęknęła i próbowała trzepnąć ją dłonią. Potem zerknęła na budzik i zobaczyła, że jest już dziesiąta rano. To wywołało również jej niezadowolenie.

Esteban zaprosił ją wczorajszej nocy na degustację kawy zmieszanej ze scotchem. „Tylko kropelkę czy dwie, żeby lepiej się spało” — zachęcał. Kropelka czy dwie okazały się niemal śmiertelną dawką. Miała niejasne uczucie, że Esteban śmiał się z niej — zaraz po tym, gdy potknęła się o dywanik. Złapał ją, zanim zdążyła upaść, i teraz zarumieniała się, przypominając sobie dotyk jego gorących rąk. Trzymał Annie w swoich objęciach nie dłużej niż sekundę, ale to wystarczyło, by jej puls wzrósł do maksimum. A może był to tylko sen? Do licha! Esteban mieszka! z nią już prawie dwa tygodnie i coraz częściej oddawała się słodkim marzeniom na jawie. Chwilami jednak wołała by raczej przekląć Estebana, niż spełnić swoje pragnienia.

Annie nasłuchiwała przez moment, ale w domu panowała całkowita cisza. Esteban wspomniał coś o tym, że wybiera się dzisiaj do biblioteki, by przejrzeć najważniejsze wiadomości z zeszłego roku i, jak przypuszczała, musiał już wyjść. Wstała z łóżka i zaczęła przetrząsać szuflady, w których leżały ubrania. Wcześniej zdążyła już porzucić na wszystkie strony starannie ułożone przez Gracie stosy garderoby i zrobić z nich jedno wielkie kłębowisko. W końcu wyciągnęła różowy stanik oraz pasujące do niego majteczki i przyjrzała się im krytycznym wzrokiem. Uśmiechnęła się. Przypomniała so-

bie, że kiedy dostała te rzeczy w prezencie gwiazdkowym od Elmiry, wywołało to ogromne oburzenie Gracie, która stwierdziła, iż porządna dziewczyna nie powinna nosić czegoś tak skandalicznego i amoralnego. Przez następne dwa dni rozsierdzona ciotka nie odzywała się do nikogo. Później jednak, jak zawsze, Annie zdołała ją jakoś udobruchać. Bielizna, niemal w całości koronkowa i zdecydowanie przezroczyta, była może nieco wyzywająca, ale Annie bynajmniej dzisiaj to nie przeszkadzało. „Przecież wdowieństwo nie musi znaczyć, że mam cały czas chodzić w gorsecie i grubych rajstopach” — stwierdziła stanowczo w myślach. Zdjęła nocną koszulę i założyła koronkowe majteczki i stanik.

— Ładnie, jeśli wolno mi tak powiedzieć o sobie — rzekła, przeglądając się w lustrze. Kosmyki włosów opadające swobodnie na policzki nadawały jej twarzy diaboliczny wygląd.

Zastygła, słysząc trzaśnięcie drzwi wejściowych, a potem Estebana krzyżującego „Annie!” głosem, który nie brzmiał zbyt pogodnie. Odgłosy kroków stawały się coraz głośniejsze i zanim była w stanie cokolwiek zrobić ze sobą, Ramirez stanął w wejściu do jej sypialni. Annie wciąż nie wiedziała, jak powinna się zachować. Zakłopotało ją, że została przyłapana na przeglądaniu się w lustrze i to, że była tak niekompletnie ubrana. Jednak zdenerwowany czymś Esteban nie zwrócił w tej chwili uwagi na wygląd dziewczyny.

— Annie! Jak mogłaś to zrobić i nie powiedzieć mi ani słowa! Co ty sobie, do licha, wyobrażasz?

Kiedy wkroczył do pokoju, odwróciła się do niego twarzą i skrzyżowała na piersiach ręce, gdyż nie bardzo wiedziała, co z nimi zrobić. Przez moment była zbyt zdumiona nagłym wtargnięciem Estebana, by zastanawiać się, o czym on mówi. Zauważyła, że przytył w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nie wystawały mu już żebra, a zapadnięte policzki zaokrągliły się. Powoli stawał się znowu muskularnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, jakiego pamiętała sprzed lat. Jego skóra zbrązowiała od pracy na słońcu i chyba też urosły mu nieco włosy. Annie zaczerpnęła głęboko powietrza. „Mój Boże, ależ on jest przystojny” — westchnęła.

— Annie,, czy ty mnie słuchasz? — stanął tuż przed nią i spojrzał jej w twarz pełnym złości wzrokiem. Nagle Annie uświadomiła sobie, że Esteban

wciąż nie dostrzega tego, w jaki sposób jest, czy też raczej nie jest, ubrana. I z jakiegoś powodu to ją zirytowało.

— Tak, słucham cię! — powiedziała równie gładko jak on. — Ale ciągle nie mam pojęcia, o czym mówisz

— O tym — syknął przez zaciśnięte zęby, wyciągając przed siebie rękę pełną odbitych kartek z dzienników i magazynów. Nawet nie czytając ich, Annie potrafiła odgadnąć, co zawierają.

— Rozumiem — powiedziała z wymuszoną cierpliwością. — Te materiały dotyczą twojego pobytu w więzieniu.

— Tak, do cholery! — Pod wpływem spojrzenia Ramireza Annie płonąła, chciała uciec z sypialni i jednocześnie przytulić się do niego. Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy. — Poświęciłaś rok swojego życia, aby wypuszczono mnie na wolność!

— Wydaje mi się, że już ci o tym wspomniałam — odpowiedziała chłodno, choć oczy rozbłysły jej złością.

— Nie mówiłaś nic takiego! Dałaś mi jedynie do zrozumienia, że dzwoniłaś parę razy do Departamentu Stanu i napisałaś kilka listów do znajomego kongresmena. Na miłość boską, Annie! Występowałaś w telewizji, przeprowadzono z tobą wywiady w radiu, dziennikach i magazynach niemal w całym kraju! Wymieniałaś uściski dłoni prawie z każdym cholernym waszyngtońskim urzędasem. Musiałaś padać na twarz ze zmęczenia.

— No i co z tego? — odparła, opierając ręce na biodrach. — Nie rozumiem, czemu się tak tym denerwujesz.

— Annie, przecież ty nienawidzisz rozgłosu! Do diabła, pamiętam, jak zmykałaś, gdy dzieciaki ze szkolnej gazety chciały, abyś wyraziła swą opinię o jakiejś wystawie w rubryce „Rozmowa z przypadkowym przechodniem” Znam cię, Annie, i wiem, że to, przez co przeszłaś, musiało być dla ciebie koszmarem.

— Zdaje się, że kiedy to robiłam, byłeś akurat na jakimś pikniku? — zapytała Z przekąsem.

Nagle chwycił ją za ramiona i zacisnął palce na jej skórze tak mocno, że ledwie powstrzymała się od krzyku. Nie mógł wymyślić nic lepszego, by do reszty straciła panowanie nad sobą.

— Annie — powiedział z napięciem w głosie — do końca życia nie odpłacę ci się za to, co dla mnie zrobiłaś. Nie miałem żadnego prawa oczekiwać

tak wielkiego poświęcenia ani też nie zasługiwałem na nie. Domyślam się, ile musiałaś wycierpieć.

— Nie potrzebuję twojej cholernej wdzięczności! — krzyknęła, ledwo powstrzymując pod powiekami łzy.

Przez moment stali, nie mówiąc ani słowa. Esteban próbował spojrzeć jej w twarz, ale rozzłoszczona Annie, nie chcąc na niego patrzeć, odwróciła głowę i zaczęła przyglądać się wiszącemu na ścianie obrazowi. Kiedy po dłuższej chwili odważyła się zerknąć na odbicie w lustrze, odniosła wrażenie, że on patrzy na jej piersi. Nie miała co do tego

całkowitej pewności, więc byłaby skończoną idiotką, gdyby zasłoniła się teraz rękami.

Esteban rozwarł zaciśnięte kurczowo na jej ramionach dłonie, a koniuszki jego palców rozpoczęły łagodną pieszczotę, głaszcząc i ocierając się o nagą skórę. Annie czuła narastające pod wpływem tego delikatnego dotyku pożądanie. „Boże, czy on nie widzi, co ze mną robi?” — pomyślała.

— Och, Annie — szepnął tonem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego pełnym cierpienia wzrokiem.

Jego oczy nabrały blasku, a ostre rysy twarzy złagodził ciepły uśmiech.

Znowu wyszeptał jej imię i Annie stała bezradnie, gdy pocałował ją w policzek, potem w usta — tak czule, że nie potrafiła się oprzeć — i w podbródek. Dalej skierował się ku szyi, ślizgając się po niej wargami tak delikatnie, jak gdyby każdy pocałunek był drogocennym podarunkiem. Jednym szybkim ruchem zsunął jej ramiączka stanika i ujął w dłonie ukryte pod koronką piersi. Annie jęknęła, poddając się jego dotykowi, i wygięła się w łuk, jakby błagając, aby nie przerywał wędrówki po jej ciele. Esteban drżącymi palcami ściągnął nieco w dół koronkę, obnażając jedną pierś i rozniecił ją gorącym oddechem, zanim ustami zaczął drażnić sutek. Annie odruchowo zanurzyła ręce w jego włosach. Były tak jedwabiste w dotyku, że poczuła przechodzący przez całe ciało dreszcz, który zwielokrotnił się jeszcze, gdy Esteban przesunął wilgotnym językiem po jej nabrzmałym sutku. Cały lipcowy dzień zdawał się wirować wokół Annie niczym para unosząca się nad gorącym płynem, a rozkosz pulsowała szumem w jej uszach i trawiła ją od środka. Przesuwał palce coraz niżej i niżej, pieszcząc jej biodra i pośladki, aż była bliska omdlenia.

— Esteban — wyszeptała, wtulając policzek w jego włosy. Pachniał tak świeżo i czysto jak słodka koniczynka. Uniosła mu twarz i pocałowała go w podbródek. Wpatrywała się w te brązowe oczy, które podobne były do delikatnego światła świec i gorące niby ogień. Kryjąca się w nich namiętność sprawiała, że Annie pragnęła oddać się mu do końca. — Pozwól mi — zaczęła szeptem, chwytając palcami guziki jego koszuli.

Esteban ujął jej dłoń i przycisnął do swych ust. Nie spuszczać z niej wzroku, łagodnie pokręcił głową.

— Nie, Annie — odparł ochryplym z pożądania głosem.

— Tak ciężko być przy tobie i nie móc cię dotykać. Ale teraz, proszę, pozwól, abym... dał ci to.

Nie zrozumiała w pierwszej chwili, nie aż do momentu, gdy powoli opuścił jej rękę i ściągnął koronkę stanika z jej piersi. Annie była oszołomiona namiętnością i nagłym zakłopotaniem. Czemu miałby nie pozwalać, żeby go dotykała? „Pozwól, abym dał ci to” — powiedział. Nie robił tego z wdzięczności! Dostrzegł pożądanie w jej twarzy i gestach i teraz chciał się z nią kochać, ponieważ sądził, że ona tylko tego potrzebuje. O Boże! Czują, że nie zniesie tej żenującej sytuacji. Uważał, że jest spragnioną seksu wdową, i chciał jej wyświadczyć przysługę!

Cóż, właściwie nie powinna się mu dziwić. Przecież dokładnie tak się zachowywała.

— Esteban — wyszeptała, starając się, by ton jej głosu nie zdradzał tego, że czuje się upokorzona. — Nie, proszę...

„Nie potrafię spojrzeć mu w oczy — pomyślała — gdy będę musiała odebrać jego dłonie od swojego ciała”. Przywarła do nich jeszcze na moment tylko dlatego, że z trudem znosiła świadomość, iż powinna przestać go dotykać. Ułamek sekundy później gwałtownie odsunęła się.

— Przepraszam — powiedziała zgnębionym głosem i próbowała podciągnąć do góry stanik, ale jej palce okazały się dziwnie sztywne i niezręczne. — Nie miałam na myśli... — Nie kończąc odwróciła się plecami do Estebana i w końcu zdołała umieścić z powrotem koronkę na piersiach. Czuł, że jej policzki płoną, ale teraz nie było to spowodowane pożądaniem. Tamto już odpłynęło.

— Annie? — zapytał zdziwionym głosem. — Co się stało? — Nie do-
czekawszy się odpowiedzi, westchnął i pokręcił głową. — Czy chodzi o Pe-
te'a? — zadał kolejne pytanie.

— Nie chcę o tym mówić... proszę. — Wpatrywała się z uporem w wi-
szący na odległej ścianie pierwszy własnoręcznie namalowany przez siebie
obraz. Po chwili kątem oka dostrzegła odbicie Estebana w lustrze i choć na-
tychmiast odwróciła głowę, to jednak jej wzrok raz jeszcze bezwiednie skie-
rował się w tamtą stronę. Poczowała wtedy, że serce podchodzi jej do gardła.
„Czemu on wygląda tak smutno?” — zaniepokoiła się.

— Wybacz — powiedział w końcu cicho. — Próbowałem nie wywierać
na tobie nacisku, ale kiedy cię dotknąłem... To mnie oszołomiło. Powinienem
sobie uświadomić... jak się czujesz.

— Nic nie rozumiesz — przerwała mu i machnęła z rezygnacją ręką. —
Zresztą mniejsza o to.

Esteban chrząknął i cofnął się do drzwi. „Jeśli znowu mi podziękuję, za-
cznę chyba płakać” — pomyślała ponuro.

Ale na szczęście nie zrobił tego. Wyszedł. A Annie pierwszy raz od
śmierci Pete'a poczuła się tak ogromnie zraniona. „Dlaczego to wszystko musi
się tak koszmarńczo układać?” — zastanawiała się setny raz. Nigdy nie przy-
puszczała, że kiedy Esteban ją odwiedzi, oboje będą zachowywać się w ten
sposób.

Drżąc usiadła na łóżku i załamała ręce. Nie miała zamiaru płakać. Po pro-
stu nie miała...

Kiedy otarła już łzy urażonej dumy, wyszukała w szufladzie najstarsze i
najbardziej znoszone džinsy oraz swoją największą i najobszerniejszą koszu-
lę.

Esteban siedział w kuchni, gdy wyszła z sypialni, i miał bardzo ponurą
minę. Annie udawała, że nie dostrzega niczego.

— Annie — zaczął tym stanowczym głosem, który miał oznaczać „mu-
simy ponownie porozmawiać”, jaki pamiętała sprzed lat. Annie miała skłon-
ności do zamykania się w sobie, kiedy coś ją niepokoiło, ale Esteban nie po-
zwalał, by ukrywała swe lęki. „Pete zawsze rozumiał moje milczenie” — po-
myślała z irytacją. Ale nie Esteban.

— Chcesz coś do jedzenia? - przerwała mu, odwracając się w stronę
szafki, by ukryć przed nim nagle zarumienione policzki.

— Musimy o tym porozmawiać — nalegał. — Śniadanie może zaczekać.

— Czyżbyś zamierzał przeprowadzać wiwisekcję? Nie jestem jakimś rodzajem myszy czy żaby, na litość boską! — odparła, trzaskając drzwiczkami szafki. Widząc upór na jego twarzy, otworzyła lodówkę i próbowała udawać, że wie, czego szuka.

— Przecież nie porównuję cię do laboratoryjnego zwierzęcia — odpowiedział z narastającą irytacją w głosie, co niemal doprowadziło Annie do furii.

— W takim razie do czego mnie porównujesz? — zapytała chłodno, wynurzając głowę z lodówki.

— Annie, przestań przekręcać moje słowa! — Mocował się z opakowaniem płatków owsianych, próbując je otworzyć i nagle tekturowe pudełko pękło mu w dłoniach. Chmura płatków wysypała się na wszystkie strony. — Cholera — warknął. — Ukrywasz swe uczucia, Annie — stwierdził, ledwo trzymając swe nerwy na wodzy. — Zawsze tak robiłaś. I to doprowadza mnie do szaleństwa.

— Po prostu potrafię się kontrolować i to wszystko! — odgryzła się. — Nigdy nie zanudzałam kogokolwiek opowiadaniem o swoich przeżyciach. Jeśli to źle, w takim razie najmocniej przepraszam!

— Wiem, dlaczego tak się zachowujesz — zapewnił ją z irytującą pewnością siebie, wymachując pękniętym kartonikiem. — Miałaś wiele powodów. Bez ojca i matki, gdy byłaś mała, bez własnego domu, w nikim oparcia. Do diabła, postępowałbym identycznie.

— Cóż, dziękuję ci bardzo — odpowiedziała z sarkazmem. Odruchowo zacisnęła rękę na bananie, wyjęła go z lodówki i zaczęła obierać, powstrzymując się w ten sposób od podrapania ze złości palcami swych dłoni.

— Ale unikanie rozmów o tym, co czujesz teraz, w twoim wieku, staje się nieco głupie — nalegał podniesionym znowu tonem.

— W moim wieku! — wybuchnęła doprowadzona do wściekłości. — Głupie! Pozwól, że coś ci powiem, Ramirez. Głupi jest ten, kto cały w płatkach stoi na środku kuchni i gada od rzeczy!

Otworzył usta i przez sekundę Annie myślała, że zamierza dać jej klasyczną ripostę w stylu „czyżby?” Nie zdążył, gdyż nagle ktoś zastukał do tylnych drzwi, płosząc ich oboje. Annie spojrzała na Estebana tak, jak gdyby to sąsiedzi przyszli poskarżyć się, że robi on za dużo hałasu.

— Na miłość boską, przestańcie walczyć ze sobą i wpuście mnie wreszcie do środka! — To był głos Gracie.

Annie ocknęła się i wyszła z kuchni, ocierając się po drodze o stojącego nieruchomo Estebana. Otworzyła z rozmachem drzwi.

— Wchodź! — powiedziała o wiele za głośnym i zbyt poirytowanym głosem.

Gracie zauważyła, że w kuchni panował nieład i dało się odczuć duże napięcie pomiędzy przyjaciółmi. Ciotka patrzyła od jednego do drugiego, wydymając policzki i kiwając z dezaprobatą głową.

— Zdaje się, że wrzeszczeliście na siebie? — zapytała.

— Ależ skąd — odparła Annie przygnębionym głosem i posłała Estebanowi znaczące spojrzenie. — Esteban sądzi, że nie potrafię dyskutować o niektórych sprawach. Więc chciałam mu udowodnić, że się myli.

— Hmm. Z zewnątrz brzmiało to tak, jakby znajdowała się tu cała armia zagorzałych dyskutantów. Annie, przecież ty nigdy nie spierałaś się ze swoimi gośćmi.

Rzeczywiście tego nie robiła. Ale też nigdy przedtem nie mieszkał z nią Esteban Ramirez.

— To moja wina — wtrącił szybko Esteban i unikając wzroku Annie, uśmiechnął się do Gracie. — A teraz wybaczcie, ale czeka na mnie praca w ogrodzie. Miło było cię znowu widzieć, Gracie. Płatki posprzątam później — zwrócił się do Annie ponurym raczej głosem.

Drzwi zamknęły się za nim głucho i Annie westchnęła.

— Nie powinien pracować fizycznie bez śniadania — stwierdziła zmartwiona.

— Skarbie, twój nastrój zmienia się z minuty na minutę — rzekła ciotka. — Co cię napadło, Annie Maguire?

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Odkąd Esteban tu jest, ciągle się czuję, jakbym biegła do ruszającego autobusu, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd on jedzie. — Chwyciła za miotłę i zaczęła sprzątać płatki z podłogi.

— Dziecko, czy ty aby nie żywisz do tego człowieka czegoś więcej niż tylko przyjaznych uczuć? — Gracie oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona na swym obfitym biuście.

Annie spojrzała na nią ostro.

— Nie walczyłabym z nim przez cały czas, gdyby tak było — odparła rzeczowo.

Gracie pokręciła głową.

— To nie ma nic do rzeczy — stwierdziła z uśmiechem, który znaczył: „Widzę coś, czego ty nie dostrzegasz”. — Hmm — zastanawiała się przez moment.

— Cóż, po prostu się mylisz — zaprzeczała uporczywie Annie. — I mam nadzieję, że nie przybyłaś tutaj, by się kłócić, gdyż Bóg mi świadkiem, że mam już tego dosyć na dzisiaj.

— Nonsens. Przyszłam dlatego, że chcę cię zaprosić na przyjęcie ogrodowe, które odbędzie się w przyszłą niedzielę.

— Świetnie! — ucieszyła się i zamilkła na chwilę. — Czy oboje... to znaczy, czy powinnam...?

Z ust Gracie wyrwał się krótki, urywany chichot.

— Tak, przyprowadź Estebana. Obserwowanie was dwojga z pewnością będzie o wiele bardziej zabawne niż wszystko, co sobie zaplanowałam.

— Ciociu, doprowadzasz mnie do pasji — stwierdziła Annie, robiąc kwaśną minę.

Gracie uśmiechnęła się szeroko.

— Cóż, chyba będę się zbierać. Czy mówiłam ci już, że to spotkanie organizujemy, aby uczcić przyjęcie Barbary na studia?

— Nie, nie mówiłaś — powiedziała z wyrzutem w głosie.

— No tak, po prostu nie lubię chwalić się na lewo i prawo jej osiągnięciami. — Gracie wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Annie, gdy ruszyła ku drzwiom. — Tylko nie próbuj mi wmawiać, że mam lód zamiast serca. — Rzuciła krzywe spojrzenie na dzinsy Annie, zaś ta uśmiechnęła się.

Odprowadziła Gracie kawałek, marszcząc brwi, gdy dostrzegła przy rabatkach Estebana, który z kamienną twarzą pochylał się nad łopatą.

Kiedy znalazła się znowu w kuchni, niechętnie zaparzyła kawę i zrobiła grzanki. Po dłuższej chwili zaniosiła pełną tacę do ogrodu.

— Dostaniesz skurczu, jeśli będziesz pracował na czczo — powiedziała, kiedy przerwał kopanie i spojrzał na nią.

— Tak mogłoby się stać, gdybym pływał z pełnym żołądkiem — odparł.

— Więc nie zbliżaj się do rzeki, jak już to zjesz, bo pójdiesz na dno jak kamień — Annie rozpromieniła się i posłała mu uśmiech.

Esteban również się uśmiechnął i sięgnął po jedzenie. Ciągłe jednak nie spuszczał z niej wzroku i Annie poczuła, jak znajomy dreszcz przeszył ją od stóp do głów. Jak on mógł! Po prostu patrzył na nią i sprawiał, że miała wrażenie, jakby przez pomyłkę dotknęła sieci wysokiego napięcia. To był cały kłopot z Estebanem. Najpierw zachowywał się tak, że kłębiły się w Annie najprzeróżniejsze uczucia, a później bezlitośnie starał się dowiedzieć wszystkiego o jej stanach emocjonalnych. Pete nigdy nie roztrząsał, dlaczego Annie czuła się tak a nie inaczej, zostawiał ją samej sobie, gdy była smutna, zła czy też niezbyt chętna do rozmowy. Pete. Pierwszy raz pomyślała o nim bez smutku. Czuła wprawdzie tępy ból, lecz nie przenikał już tak do głębi.

— O czym myślisz? — zapytał cicho Esteban.

— Czyżbyśmy mieli zamiar zacząć to raz jeszcze? — powiedziała, na pół żartując. Nie podjął dyskusji, tylko popatrzył na nią uważnie i sięgnął po grzanekę. Annie wzięła głęboki oddech. — Myślałam o Pecie — powiedziała i siadając na ziemi, podała Estebanowi kawę.

Usiadł obok niej i położył sobie tacę na zgiętych kolanach. Przez dłuższy czas spoglądał na rzekę, a Annie zerknęła na niego ukradkiem, zastanawiając się, o czym myśli.

— I co ty na to? — zapytała w końcu.

Odwrócił się do niej i spojrzał pełnymi ciepła oczyma. Annie czuła jednak przenikający go smutek.

— Myślę, że tęsknisz za nim, tak jak i ja. Chyba nie powinienem być tutaj z tobą. Ale nie wydaje mi się, że potrafię odejść — powiedział ze smutkiem.

Próbowała zrozumieć te słowa, podczas gdy Esteban znowu zaczął patrzeć na rzekę. „Wygląda na to — pomyślała — jakby czuł się winny nie z tego powodu, iż jest tutaj. Pewnie uważa, że potrzebuję towarzystwa starej przyjaciółki, aby odzyskać poczucie bezpieczeństwa i równowagę psychiczną — o czym wspomniał już wcześniej”. — Rozżalenie przeniknęło ją do głębi, ale nie rozumiała dlaczego.

— Wiesz co? — zagał.

— Co?

— Założę się, że gdybym użył gębę tą kawę, to wyrosłyby największe rzepy, jakie kiedykolwiek widziałas!

Zaśmiała się razem z nim, zadowolona, że zrobiony przez nią mocny napój smakuje mu. Esteban położył dłoń na jej ramieniu i Annie poczuła ciepło rozlewające się po całym ciele.

— Pozdrów od nas Gracie i Eda — krzyknął ze swojego podwórka Jeff Anderson, widząc Annie i Estebana, którzy zmierzali na niedzielne przyjęcie. — Przepróż ich w naszym imieniu, ale naprawdę nie możemy przyjść. Tak to jest, gdy ma się niemowlaka na karku. — Zwrócił oczy ku niebu i Annie wybuchnęła śmiechem.

Jeff i jego żona Sue wprowadzili się do domu, stojącego naprzeciw jej własnego, dwa lata temu i właśnie przyszło na świat ich pierwsze dziecko. Dziewczynka miała uczulenie i Sue nie mogła z nią nigdzie wychodzić.

Esteban zatrzymał się, kiedy dotarli do strumienia i mrugnął okiem do Annie.

— Alvin wygląda potulnie w dziennym świetle — zażartował.

Przyglądała się strumieniowi, który płynął leniwie po mulistym dnie i był w tej chwili nie głębszy niż byle kałuża.

— Taki jest już Alvin — powiedziała, kręcąc głową. — Nie wiadomo, czy będzie taki jak zwykle, czy wsiąknie w glebę i zniknie wszystkim z oczu.

Przeszli na drugi brzeg bez najmniejszego incydentu. Annie postanowiła bowiem nie nazywać incydemtem faktu, że jej puls zachowywał się tak chimerycznie jak Alvin i przyspieszał, ilekroć Esteban zbliżał się do niej. Niemal zaczęła pragnąć, żeby Alvin stał się wezbraną, spienioną rzeką i ugasił gorączkę ogarniającą jej ciało.

Przyjęcie u Gracie zaczęło się już jakiś czas temu. Między drzewami a werandą rozwieszono sznury pomalowanych w jaskrawe kolory żarówek i choć jeszcze nie zmierzchało, światełka wesolo płonęły. Gracie wzięła sałatkę od Annie, a jej mąż Ed, pociągnął za rękaw czarnej koszuli Estebana.

— Ho, ho — zawołał z podziwem — Widzę, że Annie zamierza cię utuczyć. Sporo przytyłeś!

— Tak, proszę pana — odpowiedział Esteban i uśmiechnął się. — Już wkrótce zwrócę pańskie ubrania.

— Bez pośpiechu, synu, bez pośpiechu. Teraz chodź, przejdziemy się dookoła. Przedstawię cię naszym gościom, z którymi z pewnością chętnie napijesz się piwa.

Powiódł go w głąb ogrodu. Annie odprowadziła spojrzeniem oddalającą się sylwetkę Estebana. To była prawda. Koszulka, która na dobrze przecież zbudowanym Edzie, wisiała jak na tyczce do grochu, powoli stawała się dla niego zbyt ciasna. Po chwili jej wzrok przykuły dzinsy pięknie opinające biodra i uda. Jak zahipnotyzowana obserwowała powabne, pełne wdzięku ruchy napiętych pośladków Estebana. Szedł w kierunku grupy mężczyzn, tłoczących się wokół chłodziarki z piwem. Wyglądał na człowieka, który wkrótce wróci do swojego dawnego życia, zrzucając z siebie ciężar wspomnień razem z ubraniem Eda. Będzie chciał ruszyć dalej, jak robił to zawsze, w poszukiwaniu sensu życia. Posmutniała, przyglądając się, ściskającemu wszystkim po kolei dłonie, Estebanowi. Kiedy rytuał powitania dobiegł końca, usiadł przy stole i oparł stopę o ławkę. Dzinsy Eda były dla niego za krótkie i podjechały mu wysoko do góry, odsłaniając łydki. Natychmiast powiedział coś na ten temat, rozbawiając wszystkich.

Ciepły i przyjazny śmiech słuchaczy rozległ się echem w całym ogrodzie. Annie pokręciła z niedowierzaniem głową. Ramirez potrafił łatwo wybrnąć z każdej sytuacji.

— Śniesz na jawie? — zapytała Gracie, stając tuż za nią i Annie wzdygnęła się.

— Nie, ja... — zaczęła niezręcznie. Boże, co też musiało być wypisane na jej twarzy! „Z pewnością mój nos już się zaczerwienił” — pomyślała ponuro.

Gracie pokiwała głową.

— Kochanie — powiedziała współczująco — wprawdzie mam te swoje... no powiedzmy, że przekroczyłam czterdziestkę, ale jeszcze pamiętam, jak patrzyliśmy sobie w oczy z Edem na pierwszych randkach — zachichotała. — I ciągle to robimy, zwłaszcza gdy możemy się wkraść między tak młodych ludzi jak wy.

Gracie sądziła, że Annie zakochała się w Estebanie.

Nie, tego ciotka nie mogła zobaczyć w jej twarzy. Doskonale wiedziała, że jej siostrzenica jest za mało atrakcyjna dla takiego mężczyzny. W porządku, wystarczająco atrakcyjna. Ale zakochana? Nie!

— Gracie, mylisz się całkowicie — powiedziała Annie poważnym tonem, podążając za nią ku domowi. — Esteban i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi i... Cóż, zdaje się, że po prostu martwię się o niego.

— Dlaczego? — zapytała bez ogródek Gracie, torując sobie drogę do lodówki między kobietami, stojącymi przy kuchennym stole.

Annie dołączyła do niej, gdy przywitała wszystkich zebranych w kuchni.

— Ponieważ... — zaczęła ściszym głosem. Annie tak naprawdę nie zastanawiała się nad tym do tej chwili, ale myśli będące przez ostatnie dni w jej podświadomości teraz wydostały się na zewnątrz. — Ponieważ on coś skrywa głęboko w sobie. Obawiam się, że... jest to związane z więzieniem, z tym, przez co przeszedł.

Gracie odstawiła wielką miskę posiekanej drobno kapusty i posłała Annie poważne spojrzenie.

— Czy rozmawiałś z nim? — zapytała, trzymając ręce na biodrach.

Annie westchnęła.

— Nie. Nie wiem, jak go o to zapytać. Wydaje się taki zamknięty w sobie. Mam wrażenie, że jego rany są zbyt głębokie, aby o nich rozmawiać — wzruszyła bezradnie ramionami.

Gracie pokiwała głową i poklepała Annie po ramieniu.

— Nie ma nic dziwnego w tym, że ciężko mu opowiadać o swoich więziennych przeżyciach. Twoja stała obecność przy nim jest chyba najlepszą rzeczą, jaką możesz teraz mu dać, kochanie.

Gdyby tylko było to takie proste! Niemal zabijał Annie widok cierpiącego w milczeniu Ramireza. Czuła się tak cholernie bezsilna.

Wyszła na dwór, niosąc świeżo przygotowaną sałatkę z kapusty. Gracie i jej przyjaciółki podażyły za nią, trzymając w dłoniach pieczoną fasolę, domowej roboty chleb i jabłecznik. Ed, manipulując długim widelcem, wyciągnął z rożna opiekane żeberka. Goście zaczęli powoli zdążać do stołów pokrytych plastikowymi obrusami w czerwoną kratę. Annie wpatrywała się w tłum, szukając Estebana i w końcu dostrzegła go w otoczeniu licealnych koleżanek Barbary oraz niektórych z ich matek. Tak, to się zgadzało. Annie jeszcze nie spotkała kobiety, która potrafiłaby oprzeć się jego urokowi. Oczywiście, teraz również udało mu się oczarować swoje słuchaczki, które wstrzymując oddech, chłoneły każde słowo. Nachylały się przy tym tak bardzo, że Annie spodziewała się, iż lada moment upadną nosami w błoto.

Uśmiechnął się, mówiąc coś do nich i odwracając przypadkowo głowę, zauważył Annie. W niecałą minutę znalazł jakiś pretekst, by opuścić towarzystwo, i stanął obok niej.

— Widzę, że już założyłeś swój fan-club — zakpiła z niego i skierowała się ku stołowi z jedzeniem.

— Masz miłych przyjaciół — odpowiedział poważnie, ujmując ją pod ramię.

Annie czuła na sobie kilkanaście par damskich oczu i była świadoma, że gdyby wzrok mógł zabijać, z pewnością leżałaby już martwa na ziemi. „Nie ma powodów do obaw, drogie panie — chciała im powiedzieć. — Jesteśmy jedynie przyjaciółmi”. Mimo to coś podejrzenie zbliżonego do zazdrości ukłuło ją w serce.

— Polubiły cię — stwierdziła, wręczając mu papierowy talerzyk, i poprowadziła go wzdłuż stołu.

— Annie Maguire! — rozległ się przed nią figlarny męski głos. — Skarbie, twój widok koi mój umęczony wzrok. Powiedz, kiedy w końcu wymkniemy się z tego przyjęcia i pójdziemy pospacerować nad rzeką?

— Gdy krowy zaczną fruwać, Popsy — odpowiedziała na tyle poważnie, na ile było ją stać. — Wiesz, że randka ze mną sporo kosztuje.

Mruknął niezadowolony i potrząsnął głową.

— Do licha. Sądzę, że będę musiał jeszcze jakiś czas oszczędzać moje drobne. Mam tylko półtora dolara przy sobie.

— Więc zrób to — poradziła mu Annie. Widząc, że Esteban z narastającą konsternacją przysłuchuje się tej wymianie zdań, zaśmiała się w duchu. Popsy Darwin, siedemdziesięcioletni kawaler, był właścicielem domu towarowego. Swoją fortunę zbił już dawno temu, ale ciągle ubierał się jak, nie przymierzając, włóczęga. Miał na sobie fantazyjny, wyblakły kombinezon z komiczną klapą i połataną drelichową koszulę, z której wystawała czerwona wstążka. Popsy wraz z Annie ciągle żartowali z tego, że nie udaje mu się jej poderwać.

Annie bawiła się zdumieniem Estebana i spojrzeniami, które ciągle na nią rzucał, dopóki nie znaleźli wolnych krzeseł stojących z boku stołu, oddalonych nieco od pozostałych. Wtedy powiedziała mu o Popsym.

— Był zawsze dla mnie jak dziadek — skończyła. — Bardzo dziwny, ekscentryczny dziadek.

— Zdjęłaś mi kamień z serca — stwierdził z ulgą Esteban i wbił widelec w żeberko. — Cieszę się, że nie muszę zostać milionerem, żeby zaprosić cię na randkę. — Przerwał i mimochodem zjadł kęs mięsa.

Zaprosić ją na randkę? O czym on mówi? Przecież mieszkają w jednym domu, na litość boską.

Uporanie się z tą wiadomością było dla Annie równie trudne jak przełknięcie ostrego sosu, przyrządzonego przez Eda. Niestety, przeprowadzenie dalszego śledztwa okazało się niemożliwe, gdyż nagle chmara dziewcząt dopadła Estebana. Annie nie potrafiła powstrzymać się od uśmiešku, słysząc, jakie mają powody, dla których pragną usiąść właśnie przy tym stole. Można by ułożyć całą listę. Jedna dziewczyna spoczęła tutaj, gdyż wszędzie indziej docierały promienie słoneczne i niszczyły jej cerę, druga skarżyła się, że ławki przy innych stołach są zbyt twarde; trzecia chciała się za wszelką cenę znaleźć z dala od dymu unoszącego się z grilla. Miały bardzo wyrafinowane wymagania, ale szczęśliwie to miejsce je spełniało. Połowa niezameżnych kobiet z Simpson przybyła na przyjęcie i Annie zdała sobie sprawę, że każda z nich wiedziała doskonale, kim jest Esteban. Raz jeszcze podziękowała cierpko Evie z supermarketu za powiadomienie Jennie Trainer. No i o wilku mowa...

— Witam wszystkich! — zawołała Jennie Trainer, po czym przyciągnęła wolne krzesło i wcisnęła między talerz Annie i Estebana swój, wypełniony po brzegi pieczonymi żeberkami i kukurydzą. — Dawno się nie widziałyśmy, Annie.

— Tak, minęło wiele czasu — odparła, starając się, aby jej głos nie zabrzmiał zbyt radośnie. Jennie była jak nękająca wszystkich grypa. Jeśli mieszkałeś w Simpson, to prędzej czy później musiała cię dopaść i należało na wszelki wypadek połknąć tabletkę od bólu głowy.

Annie obserwowała bacznie Jennie, gdy ta przedstawiała się Estebanowi i zaczęła wypytywać o jego pobyt w Simpson. Nie była brzydką kobietą, tylko starała się zatrzeć wszelkie ślady swojej urody — i to się dało zauważyć. Kosmetyki, których używała, nosiły takie nazwy, jak- Jagodowy Poncz czy też Soczysta Cytryna. Miało się wrażenie, że Jennie po prostu opycha się nimi. Jej włosy, farbowane na oślepiająco jasny blond, odbijały promienie słoneczne niczym stalowa zbroja, a długie paznokcie pomalowane na jaskrawoczerwony kolor przypominały sztylety. Jennie mogła poszczycić się nie lada dobrokiem, gdyż wychodziła już za mąż chyba z siedem razy i w końcu rozwód stał się tak oczywistym końcem jej kolejnych wędrówek do ołtarza, że Spud zwykł mawiać, iż goście weselni powinni rozrzucać wizytówki adwokatów

zamiast monet, kiedy wychodziła wraz z nowo poślubionym małżonkiem z kościoła.

— Posłuchaj, Annie, chciałabym, abyś stanęła dla mnie na czele pewnej grupy — powiedziała Jennie, wyrywając ją z zamyślenia.

— Grupy? — powtórzyła słabym głosem Annie.

— Tak, mam na myśli Komitet Upiększania Parku. Wiesz, o co chodzi. Nie, nie wiedziała i z niemym błaganiem spojrzała na Estebana.

— Komitet do grabienia liści i sadzenia roślin — stwierdził namaszczonym tonem, unosząc kpiąco brwi.

— Ach, taki komitet. — „Będziemy wykonywali najczarniejszą robotę, podczas gdy Jennie radośnie zacznie planować kolejne zadanie dla mieszkańców Simpson” — pomyślała. — Cóż, Jennie — Annie znowu zerknęła na Estebana. — Obawiam się, że w najbliższym czasie będę zajęta.

— Och, to fatalnie. Ale nie martw się. Mam pewne zamiary związane ze schroniskiem dla bezdomnych zwierząt, a ty doskonale nadajesz się do ich zrealizowania.

Annie spojrzała na Estebana i spostrzegła, że usilnie starał się powstrzymać wybuch śmiechu. Pomyślała, że Jennie może się obrazić, ale na szczęście zajęta polowaniem na kolejnych potencjalnych członków komitetu, niczego nie zauważyła. Annie zapragnęła wymknąć się z przyjęcia wraz z Estebanem. Jednak nieoczekiwaną przeszkodą okazały się trzy niezamężne panie, które otoczyły go wianuszkami i wraz z pozostałymi pograżyły się w niczym nie zmaconej adoracji. Esteban śmiał się i zniewalał je swym słodko brzmiącym głosem, który niemal rozpływał się w letnim powietrzu. Annie przyjrzała mu się uważniej i nagle zrozumiała, że myślami przybywa on zupełnie gdzie indziej — tak samo jak tamtej nocy, gdy zmywali razem naczynia. Kobiety otaczały jakiegoś przystojnego mężczyznę, lecz z pewnością nie był to Esteban Ramirez.

Powoli zmierzchało i Annie poczuła ogarniający ją smutek. Rozejrzała, się dookoła stołu i cichutko wymknęła się z przyjęcia.

Łagodny stok za domem Gracie pokrywały winoroślą, których wielkie zielone liście błyszcząły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Annie powędrowała poprzez rzędy podtrzymywanych drewnianymi podpórkami krzaków, po drodze przystając, aby unieść miękki liść i sprawdzić twardość

kiści winogron. Powinny dojrzeć nie dalej niż za miesiąc i wtedy Gracie wraz z dziewczętami przyrządzi z nich dżem, zrobi soki i upiecze placki. Większość z nich sprzeda w przydrożnej budce przejeżdżającym przez miasto kierowcom albo w sklepie dla farmerów. Ed robił inny użytek z resztek winogron, a wino jego roboty było sławne na całą okolicę.

Annie pomaszerowała dalej, aż znalazła swoje sekretne miejsce. Tuż za ostatnim krzakiem Ed postawił łukowato sklepione drewniane kraty, po których pięły się winne pnącza, tworząc rodzaj ocienionej altany. Annie wypatrzyła tę kryjówkę, kiedy była pierwszy raz latem w Simpson i natychmiast uczyniła z niej swoje ustronie. Ed wstawił tutaj drewnianą ławkę. Uwielbiała przesiadywać tam w upalne popołudnia, wsłuchując się w delikatny szmer poruszanych wiatrem winorośli. Teraz powoli zaczynały pokazywać się na niebie gwiazdy, a w gęstej trawie rozbłyskiwały świętojańskie robaczki. Annie usiadła na ławce i przymknęła oczy. Ukryty gdzieś w gałęziach słowik wyśpiewywał swe tęskne pieśni, a w pobliskim stawie rechotały żaby. Oparła się plecami o kratę, skrzyżowała wyciągnięte nogi i wygładziła białą spódniczkę. Miała na sobie błękitną bluzkę z dużym dekoltem i leciuteńki wietrzyk delikatnie muskał jej nagą skórę.

Słyszając odgłosy zbliżających się kroków, poderwała się szybko.

— Annie? — zapytał, stając kilka metrów od niej.

— Esteban, co ty tutaj robisz?

— Chciałem się przejść. — Rozejrzał się wokół i wszedł pod baldachim z winorośli. — Przyjemne miejsce.

— Ed zbudował tę altankę. To jedna z moich ulubionych kryjówek. — Lekko skrepowana jego obecnością stała nieruchomo. Czowała, że nie potrafi przestać się w niego wpatrywać. Z każdym dniem stawał się coraz przystojniejszy. Jego brązowa od słońca skóra wyglądała nadzwyczaj zdrowo, a włosy były bardziej połyskliwe i gęste niż kiedykolwiek. Z wielkim trudem Annie powstrzymywała ochotę przytulenia się do Estebana. Przebywając z nim na co dzień, niemal bez przerwy musiała zwalczać tę pokusę i... coraz gorzej to znosiła. Kiedy znajdował się blisko niej, wszystko przestawało się liczyć. Miała wrażenie, że jeśli ich ciała zetkną się przez przypadek, oboje spłoną w ogniu namiętności. Nigdy przedtem pożądanie nie sprawiało Annie tak wszechogarniającego bólu. Nie mogła zaprzeczyć, że pragnie Estebana, ale przecież nie rzuci mu się w objęcia... A sposób, w jaki patrzył na nią, tylko

wzmagał ową frustrację. Jego oczy niemal błagały, aby go dotknęła (przynajmniej tak to sobie przedstawiała). Wzięła głęboki oddech i przypomniało jej się, co powiedziała Gracie: „Po prostu bądź przy nim”.

— Esteban — rzekła łagodnie — czy nic ci nie jest? Zdawał się długo rozważać, co odpowiedzieć. Obserwując ją, oparł się o kratę.

— Ciągłe tam wracam, Annie — uśmiechnął się smutno. — W każdym razie przez większość czasu przesładują mnie myśli o więzieniu. Niektóre dni...

— Jak dzisiaj? — zasugerowała. Wzruszył bezradnie ramionami.

— Nie potrafię przebywać w takiej gromadzie ludzi dłużej niż godzinę. Wygląda na to, że rok spędzony samotnie w celi zrobił swoje.

— Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? — zapytała zdenerwowana.

— Przecież wyszłaś z przyjęcia, Annie. Sądziłem, że potrzebujesz samotności, więc nie chciałem zawracać ci głowy swoimi problemami.

— Wyszłam, ponieważ połowa żeńskiej populacji Simpson skupiła się wokół ciebie — stwierdziła z przekąsem. — Czułam się jak jedna z wielu much złapanych na twój lep — dodała, gdy spojrzał na nią zdziwiony.

— Naprawdę tak się czułaś? — zapytał, z niedowierzaniem marszcząc brwi. — Annie, Annie... — Potrząsnął głową i trzymając ręce na biodrach, zbliżył się do niej. — Przecież zawsze akceptowałaś sposób, w jaki się zachowuję.

— Tak, chyba masz rację.

— Więc co się zmieniło? — Starał się spojrzeć jej prosto w oczy, ale Annie unikała jego wzroku.

Chciała mu powiedzieć, że wtedy był jeszcze Pete, ale nie zrobiła tego. To on stał między nią a Estebanem, łagodząc wszelkie spory i rozstrzygając je po przyjacielsku. Tylko dlatego nigdy wcześniej Esteban nie drażnił jej tak ogromnie. Teraz, gdy Pete odszedł, ujawniły się ich niezgodne charaktery.

— Zmieniłeś się — powiedziała cicho widząc, że jest to jedynie część prawdy. — Nawet nie wiem, czego nie znosisz oprócz tłumów i słabej kawy — dodała żartobliwie, chcąc, żeby Esteban otrząsnął się z ponurego nastroju.

Starał się uśmiechnąć, ale nie wypadło to zbyt przekonująco. Annie odnosiła wrażenie, że coś jeszcze go dręczy.

— Oślepiające światła — wyszeptał i uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy. — To wszystko. Tylko tłumy i oślepiające światła.

Czuła, że Esteban również ukrywa coś przed nią. Ale powiedział w końcu tak dużo, że okrucieństwem byłoby dalsze wypytywanie.

— Ja także nienawidzę tłumów — przyznała, pozwalając swym oczom błądzić po potężnej klatce piersiowej i twarzy Estebana. Natychmiast jednak pożałowała swego spojrzenia. Wystarczyło jedno mrugnięcie jego brązowych oczu, aby straciła nad sobą panowanie. — Poza tym nie znoszę czuć się samotnie — dodała.

— Wiem. Zawsze tego nienawidziłaś. I ciągle upierałaś się, żeby zostawiono cię w spokoju. Byłaś bardzo przewrotną małą dziewczynką, avita.

Annie słysząc te słowa, musiała się uśmiechnąć. Miał całkowitą rację.

— Sądzę, że nadal taka jestem — powiedziała. — Nikomu nie mówię, co mnie cieszy czy trapi. — Odważyła się raz jeszcze zerknąć na Estebana i momentalnie się zarumieniła.

— Zawsze wiedziałem, kiedy trapi cię samotność, Annie. Rzeczywiście wiedział. Pamiętała wieczory, gdy koszmary z dzieciństwa znowu stawały przed jej oczyma. Czasami myślała, że na zatłoczonych ulicach Chicago zobaczyła kogoś podobnego do matki. Czuła się wtedy tak napięta, że nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. W takich chwilach nie mogła przebywać w domu. Chciała biec gdzieś, zapomnieć... A Esteban, jakby wyczuwając siódmym zmysłem, że Annie cierpi, odnajdował ją i wtedy godzinami rozmawiali, aż w końcu jej samotność zniknęła bez śladu.

Uśmiechnęli się do siebie tak, jak robili to przed laty. Położył dłonie na jej ramionach i pochylając głowę, spojrzał na nią poważnie.

— Co byś powiedziała, gdyby dwoje starych przyjaciół, samotnych przyjaciół, jakby to wyrazić, dotrzymało sobie towarzystwa? — zapytał nieśmiało.

— Tak — odpowiedziała cicho. — To miła propozycja.

— Świetnie. Właśnie po to ma się przyjaciół. — Zaplótł dłonie na jej karku. — A co z pocałunkiem między przyjaciółmi? Tylko żeby uczcić dawne czasy.

Cóż, nie mogła powiedzieć „nie”, jeśli tak to stawał. Tak na nią patrzył...

Pocałował ją delikatnie w czoło. Annie westchnęła i opuściła powieki. Potem musnął wargami jej nos, a kiedy w końcu dotarł do ust, rozpląnęła się w nim, nie zdając sobie nawet sprawy, jak to się stało. Przyjaciel czy nie, i tak uwielbiała czuć napór jego bioder, pierś dotykającą przez bluzkę jej twardniejących sutek, palce przebierające leniwie we włosach, męskość wabiącą jej

uda. „Jest moim przyjacielem” — powiedziała w myślach i nie ma nic złego w tym, co robimy. Rozchyliła szerzej usta i koniuszkiem języka odwzajemniała drażniące pieszczoty Estebana. Powoli traciła oddech, oddając się szaleństwu zmysłów.

Na początku był to zwykły pocałunek między przyjaciółmi.

Przycisnął ją mocno do siebie i głaskał dłońmi po plecach, schodząc coraz niżej i niżej, dotykając bioder, pośladków, aż wreszcie jego głębokie pożądanie napotkało w niej odzew. Annie zapragnęła spełnienia. Chciała kochać się z Estebanem do końca, czuć go w środku i ta żądza sprawiała jej nieznośny ból, rozchodzący się falami ciepła po całym ciele.

Nagle tuż nad ich głowami zaskrzeczał jakiś ptak i oboje przestraszeni tym dźwiękiem odskoczyli od siebie jak oparzeni. Przez chwilę mierzyli się niepewnym wzrokiem, aż w końcu napięcie panujące między nimi stało się tak wielkie, że jednocześnie uciekli spojrzeniem w bok. Annie czuła się zmieszana i była bliska płaczu. Kątem oka obserwowała Estebana zastanawiając się, co zamierza zrobić, gdy zrozumie, że ich stara dobra przyjaźń właśnie się skończyła.

Chrząknęła z zakłopotaniem i zaczęła strzepywać ze swojej bluzki niedostrzegalne dla nikogo inne pyłki. „A co się stanie, jeśli teraz mnie zostawi, po prostu odejdzie?” — rozpaczała w duchu. Przy całym swoim męskim uroku Esteban roztaczał wokół siebie aurę niewinności. „Co więc będzie chciał zrobić teraz, gdy uświadomi sobie to całe zajście między nim a wdową, która kiedyś była jego najlepszą przyjaciółką?”

Znalazła odpowiedź, kiedy spojrzała mu w twarz. Esteban znowu wycofał się do tej przekłętej krainy cieni, do której nie potrafiła się przedrzeć. Niemal ze złością przypomniała sobie, z jakim uporem nalegał wcześniej, aby mówiła o swoich uczuciach. Ale nie potrafiła się zmusić, żeby zapytać Ramirza, co go trapi.

W milczeniu opuścili winnicę Gracie i w gęstniejącej ciemności udali się w powrotną drogę. Po dotarciu do domu wymruczeli niezręczne „dobranoc” i skierowali się do swych sypialni.

Kilka godzin później Annie ciągle jeszcze nie mogła zasnąć. W pewnej chwili usłyszała, jak Esteban wstaje z łóżka i otwiera drzwi wiodące na werandę. Można je było otworzyć z łatwością, ale Annie wyczuła inne, niewi-

działne drzwi między sobą a Estebanem i bała się, że zostały one zatrzaśnięte raz na zawsze.

Rozdział 5

— Znowu to zrobiłem! — zawołał żałośnie Esteban, kiedy odświeżony prysznicem wyszedł z łazienki, trzymając w rękach dżinsy. — Zniszczyłem kolejną parę spodni Eda. Pękły w szwie.

Annie uniosła głowę znad stołu, na którym przyrządzała kanapki i kiedy zobaczyła go w kolejnych dżinsach, należących do Eda, jej usta momentalnie zwilgotniały. Każdy mięsień był wyraźnie zarysowany pod napiętym do granic możliwości materiałem. Esteban właśnie zapinał guziki swej błękitnej koszuli i Annie nie mogła przestać się wpatrywać w gęszcz ciemnych włosów porastających jego pierś. Boże, jak on był zbudowany! Nie ukrywała, że podoba jej się mocne i niezaprzeczalnie męskie ciało Estebana. Jednak od czasu przyjęcia u Gracie, kiedy stało się dla nich obojga boleśnie oczywiste, że nie są już tylko przyjaciółmi, Annie próbowała zdusić swe podświadome pragnienie. Chciała trzymać się możliwie z dala od niego. Lecz Esteban starał się zawsze przebywać przy niej — czy to w kuchni, czy na podwórku... Doprowadził do tego, że bezustannie o nim myślała i powoli zaczynała się czuć jak łakomczuch, mający odmówić sobie wyborowego ciastka.

— Cóż, nie martw się tym. Ed i tak chciał wyrzucić wszystkie te rzeczy.

Esteban przez chwilę ze zmarszczonym czołem przyglądał się spodniom.

— Muszę iść do sklepu. Kończ to i wskakuj do samochodu. — Rzucił podarte dżinsy na krzesło i zaczął wciskać koszulę do ciasnych spodni, które miał na sobie. — Gotowa, Annie? — zapytał i nie czekając na odpowiedź, skierował się ku drzwiom.

— Esteban! Zaczekaj chwilę, na miłość boską! Zawołał ją niecierpliwie raz jeszcze i Annie, mrużąc pod nosem, chwyciła dwie kanapki ze stołu i wybiegła za nim.

Zlizując musztardę z palców, wygramoliła się z auta i poprowadziła Estebana do domu towarowego. Właściciel, Popsy Darwin, wynurzył się ze

swojego malutkiego biura, by osobiście ich przywitać. Uśmiechnął się do obojga sponad swych okularów.

Wreszcie zrezygnował z noszenia tego śmiesznego kombinezonu z olbrzymią klapą, chociaż, jak zauważyła Annie, pledowy garnitur, który miał na sobie, również był bardzo pretensjonalny.

— Ach, Ramirez — powiedział Popsy, kołyszając się na piętach i machając im przed nosem plikiem papierów trzymanyh w dłoni. — Widzę, że lubisz pokazywać się z tą kobietą, prawda? W takim razie sądzę, że twoje zamiary są poważne.

— Tak, proszę pana — odpowiedział uprzejmie Esteban. — Nawet zapytałem ją, czy wyjdzie za mnie.

— Nie zapytałeś — odparła oburzona Annie.

— Z całą pewnością zrobiłem to — upierał się. — Przynajmniej powiedziałem, że chciałem zapytać, czy wyjdzie gdzieś ze mną. To prawie to samo.

— Nie!

— Jesteś pewien, że chcesz tego, synu? — zapytał Popsy, starając się przybrać należycie wyrozumiałą minę. — Mam na myśli randkę z tą damą.

— Oczywiście, że chce — stwierdziła stanowczo Annie i obaj mężczyźni uśmiechnęli się do niej. — No, pięknie — mruknęła i nachmurzywszy czoło, udawała, że rozgląda się za męskimi ubraniami. Umawianie się na randkę z Estebanem nie było dla niej nawet w połowie tak zabawne jak dla nich dwóch. Ściśle mówiąc, zdenerwowało ją na tyle, że zapomniała rozkładu sklepu Darwina, w którym przecież wielokrotnie bywała.

— Szukasz czegoś konkretnego, Annie? — zapytał Popsy. — Wiesz, trochę tu pozmieniałem od czasu twojej ostatniej wizyty.

Pięć minut później, gdy przetrząsała sterty spodni, miała wrażenie, że jej policzki nadal płoną.

— I co o tym powiesz? — zapytał Esteban.

— Czy jesteś pewien, że chcesz czarne dżinsy? — wskazała ruchem głowy na trzymane przez siebie w dłoniach spodnie.

Esteban westchnął.

— Nie obchodzi mnie, czy dostanę czarne, czy też zielone dżinsy. Chcę wiedzieć, czy umówisz się ze mną...

— Esteban — przerwała mu zniecierpliwiona. — Nie rozumiem, czemu musimy się umawiać.

Wyraźnie rozbawiony uniósł brwi.

— Wymówiłaś to słowo jak jakiś medyczny termin.

— Na litość boską, mieszkamy przecież w jednym domu! Kobieta przeglądająca męskie koszule podniosła głowę i spojrzała na nich, więc Annie ściszyła głos.

— Nie musimy się umawiać.

— Umówimy się — odparł uroczystym tonem. — Mam wrażenie, że nie wystarcza nam przyjaźń... Lubimy się znacznie bardziej, przynajmniej tak to wygląda. Jeśli pójdziemy na randkę, będziemy mogli, choć na trochę, przestać być przyjaciółmi.

Annie zmarszczyła brwi.

— Mówisz od rzeczy, Esteban. Niby czemu mielibyśmy przestać być przyjaciółmi?

— Gdyż wtedy moglibyśmy zostać... Wstrzymała oddech, ale Esteban nie dokończył zdania.

— Nie wiem, czy jest to dobry pomysł — powiedziała w końcu.

— Dlaczego?

— Nie sędzę, że powinniśmy zagłębiać się w to teraz — rzekła wymijająco, zerkając na kobietę, która przesuwiała się cal po calu w ich stronę. Annie ruszyła do wyjścia, ale Esteban zdążył ją złapać za ramię.

— Czy mam rozumieć, że nie pójdziesz ze mną na randkę, Annie?

— Powiedziałam jedynie — stwierdziła że nie będę tutaj o tym rozmawiała.

— Annie, kiedy mężczyzna zaprasza kobietę na randkę, oczekuje przynajmniej jasnej odpowiedzi. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarza. Naprawdę.

— Jestem pewna, że żadna nie zdołała ci się oprzeć. — odparła cierpko, próbując nie zwracać uwagi na swój przyspieszający pod jego dotykiem puls.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział Esteban, uwolnił jej ramię i w zamyśleniu podrapał się po brodzie. — Co powinienem więc zrobić? Zaprosić cię telefonicznie?

— Oczywiście, że nie! — syknęła. — A teraz, proszę, czy moglibyśmy skończyć już twoje zakupy?

Wzruszył ramionami i podążył za nią w kierunku półek z rzeczami. Ubrania jednak nie interesowały w tej chwili Estebana. Annie czuła się ciągle

obserwowana przez niego. Randka! Ten człowiek jest szalony. To mogłoby zburzyć ich z trudem budowaną na nowo przyjaźń. Musieliby stawić czoło faktowi, że... są dla siebie tak bardzo atrakcyjni fizycznie. Mogłoby to doprowadzić do czegoś, czego żałowaliby oboje".

Objuczeni pakunkami skierowali się do samochodu. Wtem Annie syknęła i popchnęła Estebana ku drzwiom mijanego właśnie przez nich sklepu. Jednocześnie torbą trzymaną w dłoni starała się przed czymś zasłonić.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał podniesionym głosem i wstąpił znowu na chodnik. Lecz zanim zdążył zrobić krok, Annie chwyciła go mocno za koszulkę i wciągnęła z powrotem do sklepu.

— Ponieważ... — zaczęła zdecydowanym głosem. — A zresztą, sam zgadnij, kto właśnie idzie w naszym kierunku?

— Nie wiedziałem, że ludzie w Simpson pasjonują się zadawaniem zagadek — odparł cierpliwie, a kiedy Annie rozluźniła uchwyt, znów spokojnie wszedł na chodnik. Wyprostował się, spojrzął przed siebie i dostrzegł zbliżającą się do sklepu Beth Hoagland.

Tym razem bez niczyjej pomocy pospiesznie starał się przed nią schować, lecz było już na to za późno. Przerażona Annie zauważyła w oczach Beth błysk świadczący, że rozpoznała go.

— Esteban Ramirez! — krzyknęła. — Jennie Trainer wspominała mi, że gdzieś tu jesteś, ale nie sądziłam, że tak po prostu wpadnę na ciebie. — Spojrzała chłodno na Annie.

— Czyżbyś ukrywała go przede mną? — zapytała z ledwo ukrywaną wrogością.

— Jak widać, niezbyt dobrze — odparła cierpko Annie.

— Cóż... — Beth ponownie zwróciła wzrok na Estebana i Annie ze zgrozą dostrzegła w jej spojrzeniu coś więcej niż tylko profesjonalne zainteresowanie. — Zastanawiam się, kiedy moglibyśmy porozmawiać, panie Ramirez. Czy dzisiejszy wieczór byłby odpowiedni?

— Nie jestem pewien — odpowiedział z wahaniem i zerknął na Annie. — Nie wiem, jakie mamy plany.

Beth dotknęła poufale jego ramienia.

— Sądzę, że po prostu będę musiała znowu gdzieś cię dopaść. Może w bardziej sprzyjających okolicznościach — dodała uwodzicielsko i zaśmiała

się. — Więc do zobaczenia. — Skinęła od niechcienia Annie i ruszyła szybko przed siebie, stukając głośno wysokimi obcasami.

— O, Boże — Annie pokręciła głową i poczuła bolesny skurcz w żołądku. Po chwili powtórzyła te słowa, gdyż usłyszała uporczywe stukanie w szymbę i ujrzała Jennie Trainer, machając do niej z pobliskiego magazynu. Annie uświadomiła sobie, że ich niedawna kryjówka wypadła dokładnie w wejściu sklepu z damską bielizną, noszącym nazwę „Różowa Rozkosz”, który należał do Jennie. Dziewczyna poczuła się tak, jakby uciekając przed tygrysem, wpała do jaskini niedźwiedzia.

— Idź do samochodu — powiedziała zrezygnowanym głosem do Estebana. — Jestem ciekawa, do czego tym razem będzie starała się mnie nakłonić. Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z zachowaniem zdrowia psychicznego, z którym zresztą ostatnio jest nie najlepiej.

Esteban uśmiechnął się pod nosem.

— Z zainteresowaniem obejrzę, w czym wyjdiesz z tego sklepu. — Teraz śmiał się już od ucha do ucha. Zaniepokojona Annie zerknęła na wystawę i gdy ujrzała na niej przezroczyście staniki oraz majteczki, poczuła, że oblewa się rumieńcem. Szybko odwróciła głowę i znowu spojrzała na Estebana. Ten znów z kpiącą miną wpatrywał się nieustannie w wyzywającą bieliznę.

— O, Boże — Annie jęknęła po raz trzeci i otworzyła drzwi.

— Annie! — krzyknęła Jennie, wpiła swe lakierowane paznokcie w jej ramię i wciągnęła ją do środka. — Pamiętasz, co ci mówiłam o schronisku dla zwierząt?

— No...

— Oczywiście, że pamiętasz. Słuchaj, wiem jak bardzo kochasz zwierzęta. A schronisko jest tak zatłoczone...

Annie powoli zaczynała rozumieć, lecz bynajmniej nie była zachwycona tym, czego się domyślała.

— Jennie, nie mogę...

— Tak, możesz. Tylko jednego małego, puszystego szczeniaczka. Spójrz. — Schyliła się i wyjęła spod lady tekturowe pudło. Pięć szceniaków niewiadomego pochodzenia niepewnie wychyliło z niego swe łebki.

— Och, nie — jęknęła Annie. — Nie rób mi tego. Jennie zaprezentowała swój najlepszy, prawie telewizyjny uśmiech.

— Czyż nie są słodkie? I nie zapominaj, że jeśli nie znajdę im domów, zostaną... uśpione.

— Ależ Jennie, naprawdę nie mogę wziąć żadnego z nich do siebie. Byłabym okrutna, gdybym je rozdzieliła — powiedziała z desperacją. Nawet taka wymówka była lepsza od żadnej.

— Och, jesteś po prostu cudowna! — Jennie krzyknęła z przesadnym entuzjazmem. — Ofiarujesz się, że weźmiesz je wszystkie! Czy to nie jest najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam? — Wcisnęła jej pudło w chwili, gdy zadzwonił telefon, i Annie została zmuszona do unikania zewsząd atakujących z zapalem psich języków.

— Przestańcie — powiedziała z udawaną surowością. — Niejestem lizakiem.

— To do ciebie! — Jennie zawołała radośnie i przysunęła do Annie aparat.

„Kto mógłby tutaj dzwonić do mnie?” — zastanawiała się Annie. Spojrzała na Jennie, pewna, że nastąpiła pomyłka, lecz Jennie energicznie pokiwała ręką w stronę słuchawki.

Annie ujęła pudło pod ramię i przytrzymała je uniesionym kolaniem, podczas gdy drugą ręką chwyciła słuchawkę i wymamrotała do niej niezobowiązujące „halo”

— Witaj. Czy pójdziesz ze mną dzisiaj na randkę?

— Esteban, czy to ty? Co ty robisz? Gdzie, do diabła, jesteś?

— Zadałaś trzy pytania, a nie odpowiedziałaś jeszcze nawet na moje jedno — poskarżył się.

— Czy przypadkiem nie uderzyłeś się gdzieś w głowę? — zapytała ze słodyczą w głosie.

— No widzisz? Wyskakujesz z następnym pytaniem. Pójdziesz ze mną na randkę?

— Esteban!

— W porządku. Aby udowodnić ci, jaki jestem uprzejmy; odpowiem na twoje pytania. Pierwsze — tak. Drugie — rozmawiam z tobą. Trzecie — jestem w budce telefonicznej na rogu. Zobaczymy, co my tu jeszcze mamy — wymruczał i Annie wyobrazila sobie zmarszczkę na jego czole, która pojawiała się zawsze, gdy głęboko się nad czymś zastanawiał. — Ach tak. Czwar-ta odpowiedź brzmi „nie”.

— Nie — powtórzyła słabym głosem.

— Pytanie czwarte. Czy jestem stuknięty? Nie, nie jestem. W porządku?

— Nie, nie w porządku! Stoję tutaj z pięcioma szczeniakami, które zjadają mi koszulę, zaraz odpadnie mi ramię, a ty chcesz iść na randkę!

Milczał przez moment.

— No, może zrezygnuję, jeśli będziesz bez ramienia.

Zmusił ją do uśmiechu tymi słowami i potem oboje głośno roześmiali się.

— Dobra — powiedziała. — Wygrałeś. Umówię się z tobą. Krzyknął triumfalnie do słuchawki i Annie, krzywiąc się z bólu, odsunęła ją od ucha.

— Annie? — usłyszała jego pytanie. — Annie, spotkajmy się przed sklepem.

Westchnęła, odwiesiła słuchawkę i od razu zaczęła się zastanawiać, co będzie na dłuższą metę bardziej dla niej uciążliwe: pięć szczeniaczek czy randka z Estebanem. W tej chwili stawiała na randkę.

— Annie, nie wiem, jak ci się odwdzięczę — krzyknęła Jennie, gdy dziewczyna ruszyła do wyjścia.

— Już ja ci się odwdzięczę — mruknęła Annie pod nosem, posyłając Jennie uprzejmy uśmiech.

Esteban kroczył chodnikiem i uśmiechnął się, gdy Annie plecami otworzyła sobie drzwi i tyłem wyszła ze sklepu.

— Trzymaj! — powiedziała, wręczając mu karton. — Tobie je zawdzięczam.

Zerknął na szczeniaki.

— Nie sędzę, że potrafiłbym odgadnąć, kim są ich rodzice — mruknął.

— Przy twojej skłonności do randek, dziwię się, że to nie ty ich wyswatałeś — zakpiła i usiadła za kierownicą.

Esteban obszedł samochód dookoła i zręcznie manewrując kartonem, wcisnął się na siedzenie obok niej. Szczeniaczki kotłowały się w pudle i próbowały wspinać się jeden po drugim do góry, jakby za wszelką cenę chciały zwrócić na siebie uwagę.

— Cóż to są za psy? — zapytał i pogłaskał je.

— Małe, które urosną i będą wtedy duże — poinformowała go, niby niepewna, czy chodzi mu o rasę. Szczeniaki miały ciemnobrązową, chwilami przechodzącą w czerń, falującą sierść i długie, ruchliwe ogonki.

— Spójrz, Annie, ten wygląda na bystrego.

— Jest podobny do ciebie — odparła i uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie pokpiwając z ojcowskich instynktów Estebana. Szczeniaki uspokoiły się w końcu i tylko czasami z dna kartonu dobiegało ciche popiskiwanie.

— Czy mogłabyś ubrać tę różową rzecz, którą miałaś któregoś dnia na sobie? — zapytał nagle.

— Różową rzecz? — powtórzyła zmieszana, zastanawiając się, o czym on, u licha, mówi. — Kiedy ubrać?

— Na naszą randkę — powiedział zniecierpliwiony. — Tę różową bluzkę, która ma taki duży dekolt.

Annie poczuła, że fala gorąca oblewa jej twarz.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała.

— Zobaczysz — odparł tajemniczym głosem i Annie zmarszczyła czoło, włączając się do ruchu.

Miała rację, martwiąc się bardziej o randkę niż o szczeniaki.

Beth Hoagland dotrzymała słowa, uświadomiła sobie później Annie, gdy zobaczyła Beth i kamerzystę wspinających się na szczyt wzgórza. Towarzyszył im reporter z lokalnej gazety.

— Więc znowu przyszli — powiedział Esteban, stając tuż za nią, i Annie kiwnęła potakująco głową.

Przyczesала dłonią włosy i przyjrzała się swemu ubraniu.

— Może powinnam nałożyć coś ładniejszego — powiedziała. Dała tym samym wyraz swemu dawnemu nawykowi występowania w reprezentacyjnych i miłych dla oka strojach przed mass mediami.

Odwracając się, przelotnie musnęła Estebana i od razu zeszywniała.

— Czemu nie wyjdiesz tylnymi drzwiami? — zapytała z niepokojem. — Powiem im, że zatrzymałeś się gdzieś w mieście, ale nie wiem dokładnie gdzie.

Potrząsnął głową.

— Nie, Annie.

Zaabsorbowana swym planem nie zrozumiała odpowiedzi.

— Słucham? — zapytała i spojrzała mu w oczy, widząc w nich miękkość podobną brązowemu aksamitowi.

— Porozmawiam z nimi — powiedział cicho.

— Nie musisz — zaprotestowała. — Sama to zrobię. Jestem już przyzwyczajona do udzielania wywiadów.

— Wiem, ale wcale mi się to nie podoba.

Kiedy chciała już odejść, chwycił ją delikatnie za nadgarstki i pochylając głowę, spojrzał uważnie jej w oczy.

— Pozwól, że zrobię to dla ciebie, Annie — powiedział proszącym tonem. — Tylko tę jedną małą rzecz. Byłaś przecież tak dobra dla mnie.

W rzeczywistości nie była to wcale mała rzecz i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Bardzo ciężko przez ostatni rok przychodziło Annie rozmawiać z ludźmi, których nie знаła, uśmiechać się przed kamerami, odpowiadać setki razy na te same pytania. Natomiast Esteban... Cóż, właśnie wyszedł z więzienia, i z pewnością jeszcze gorzej znosił obecność obcych ludzi, a zwłaszcza dziennikarzy, którzy ciągle go wypytują i oglądają niczym osobliwe zjawisko.

— Dam sobie radę — odpowiedział, jakby czytał w jej myślach.

Cofnął dłonie i na oczach bezradnej Annie wyszedł na dwór. Wstrzymała oddech, gdy Beth, dostrzegając Estebana, uśmiechnęła się najbardziej oszłamiająco, jak potrafiła. Przez uchylone drzwi dobiegały do Annie urywki rozmowy przerywane dźwięcznym śmiechem Beth. Potem kamerzysta powiedział coś i Beth natychmiast przybrała gładki profesjonalny ton głosu. Annie wyteżyła słuch, aby usłyszeć choć fragmenty wywiadu.

— Czy wiedziałeś, że zostaniesz zwolniony?

Esteban był zwrócony plecami do domu i Annie ledwie mogła zrozumieć, co mówił.

— Nie... Strażnicy... Izolacja...

— A warunki w...?

Usłyszała tylko kilka słów, ale domyśliła się, że opisuje swoją celę.

— Mała... brudna... bez okien. — Wzdrygnęła się.

Esteban zamilkł i w ciszy rozległ się jedynie szum pracującej kamery. Po chwili odwrócił się nieco w jej stronę i zanim zaczął wpatrywać się w ziemię, Annie przez ułamek sekundy dojrzała jego twarz. Skrył się teraz za maską bez wyrazu, której nikt oprócz Annie nie potrafił rozpoznać. Mógł dalej odpowiadać na pytania, lecz jego uczucia byłyby wtedy głęboko ukryte. Annie z całej siły ścisnęła dłonią futrynę drzwi.

— Nieszczęśliwie, moja ojczyzna... reżim, więźniowie polityczni... żadnych praw. — Nawet jeśli nie mogła usłyszeć wszystkich słów i tak chciało się jej krzyczeć z rozpaczy.

— Kobieta... po którą wróciłeś? — zapytała Beth i Annie wstrzymała oddech.

— Natividad... zaprzyjaźnione rodziny... poślubić. Annie odskoczyła od drzwi. Nie chciała słyszeć ani słowa więcej o Natividad. Ilekroć była o niej mowa, czuła bolesny skurcz żołądka.

Westchnęła i przeszła przez kuchnię do małego pokoiku, w którym stała szafa z zimowymi okryciami. Elmira upierała się niegdyś, że znacznie praktyczniej byłoby urządzić w nim pracownię krawiecką i w końcu zmusiła Spuda do postawienia tam maszyny do szycia. Prócz tego w pokoiku znajdował się głęboki fotel, w którym Annie uwielbiała zwijać się w kłębek i czytać książki.

Podwinęła nogi pod siebie i, marszcząc czoło, wyjrzała przez okno. Esteban znowu coś kopał w ogrodzie. Ciągłe w ruchu, bez chwili odpoczynku, myślący o Bóg wie czym. Był człowiekiem, który zawsze dotrzymuje swych zobowiązań. Nie zdziwiła się, kiedy usłyszała, że wrócił do Maraqua, aby odnaleźć Natividad. Właśnie coś takiego Esteban mógł zrobić. I również przyjazd tutaj z podziękowaniami za uwolnienie z więzienia był w jego stylu. Lecz Annie odczuwała nieokreślony niepokój, ilekroć przypominała sobie, że to wdzięczność przywiodła go do Simpson — wdzięczność i potrzeba łagodnego powrotu do normalnego świata.

Zresztą nawet jeśli nie honor czy przyjaźń zatrzymywały Estebana u niej, i tak nie zmieniało to niczego. W głębi serca nie przestawała go pragnąć. Nie mogła wytrzymać napływu pożądania, który ogarniał dziewczynę, gdy tylko Esteban spojrzał w jej oczy odrobinę dłużej niż zwykle lub przelotnie dotknął.

Wycieńczyło to Annie, a wysiłek, z jakim starała się ukryć swe uczucia, doprowadzał ją powoli do szaleństwa. Pierwsze gorące łzy bezsilności spłynęły po jej policzkach.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał Esteban, stając w wejściu i Annie podskoczyła, gdyż nie słyszała, że nadchodzi. — Chyba nie płaczesz? — zadał kolejne pytanie, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

— Nie — mruknęła zrzędliwie. — Tu jest pracownia krawiecka.

— Cóż, nie wydaje mi się, że coś szyjesz.

— Widzę, że dużo o tym wiesz. Może mi zademonstrujesz, jak to się robi — odparła jadownicę, choć pragnęła, aby został przy niej.

Uklęknął przed fotelem, na którym siedziała. Na jego zmęczonej twarzy Annie dostrzegła delikatny uśmiech.

— Co powiesz na przytulenie? — zapytał. — Czy to pomoże?

— Nie — odpowiedziała uparcie.

— Zdaje się, że mnie tego potrzeba, sama rozumiesz — rzekł głosem pełnym rozsądku. — Czy nie uważasz, że człowiek może potrzebować przytulenia po rozmowie z Beth Hoagland?

— Z pewnością przydałby mu się także zastrzyk penicyliny — wtrąciła szybko i oboje roześmieli się.

Usiadł na oparciu fotela i ujął jej dłonie w swoje. Łzy, które czały się do tej pory w kącikach oczu, teraz zaczęły kapać i Annie pozwoliła im spływać po policzkach, nie powstrzymując się ani chwili dłużej. — Po prostu nie wiem dlaczego... — powiedziała i potrząsając głową, głośno załkała. Była zła na siebie, że tak wielu rzeczy nie potrafiła zrozumieć. Nie umiała pogodzić się z tym, że Pete umarł i że Esteban musiał pójść do więzienia i ze swoją samotnością. Przycisnął ją mocno do swej piersi. Annie cichutko popłakiwała sobie, jednocześnie wsłuchując się w bicie serca Estebana. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie zdolna wyzwolić się ze swojego uczucia.

— Hej — powiedział, gdy już przestała płakać. — Chodź, wyjdziemy na dwór. Chcę ci coś pokazać.

— Co? — zapytała nieufnie ochrypłym od płaczu głosem.

— Kolejną dziurę, którą wykopałeś?

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział i uśmiechając się chwycił Annie za rękę tak, że musiała wstać razem z nim.

— No, chodź.

Nie dając jej żadnego wyboru, wyciągnął ją na dwór i poprowadził ścieżką wiodącą w górę. „Co, u licha, on znowu wymyślił?” — zastanawiała się Annie. Kiedy stanęli już na szczycie, przyjrzała się uważnie starannie wyznaczonym prostokątnym dołom, które wykopał, ale nie miała pojęcia, co to ma być. Trawa między prostokątami została równiutko przystrzyżona i tworzyła rodzaj regularnej ścieżki.

— Co to jest? — zapytała.

— Pamiętasz — zaczął poważnym tonem, patrząc jej prosto w oczy — twoją studniówkę?

— Tak — odpowiedziała. — Robiliśmy ją w domu Doreen Corrigeen. Miałam wrażenie, że znalazłam się nagle w raj. Ten dom przypominał pałac jakiejś królowej z bajki.

— A co najbardziej ci się tam podobało? O czym opowiadałaś mi bez przerwy przez kilka dni po zabawie? — naciskał, gdy się zastanawiała.

Wzruszyła ramionami.

— Nie pamiętam — odpowiedziała podenerwowana napięciem, z jakim się w nią wpatrywał.

— Pomyśl! — nalegał.

— Na litość boską — mruknęła pod nosem. — Ach, różany ogród. Był ogromny i rosły w nim kwiaty o najprzeróżniejszych kolorach. Przypominał tęczę. Esteban uklonił się dwornie i uwolnił jej rękę.

— Proszę spojrzeć. Oto pani własny ogród różany. Zimą przejrzymy katalogi, a potem, następnej wiosny, zasadzę tu wszelkie odmiany, jakie będą ci się podobały. Wszystkie kolory świata. Czy możesz sobie wyobrazić ten ogród w pełnym słońcu?

Uśmiechnął się od ucha do ucha, lecz Annie była zbyt oszołomiona, aby zebrać myśli. Tej zimy? Dlaczego obiecuje jej, że będą razem przeglądać katalogi kwiatów? Przecież do tego czasu rozwieje się już po nim nawet najmniejszy ślad. Zostanie tutaj znowu sama, a Esteban wyruszy z powrotem do normalnego świata, który tak bardzo kocha. Różany ogród! Rzeczywiście! A kto będzie później o niego dbał? Kto będzie przychodzić tutaj oglądać te wymarzone róże i cieszyć się nimi?

— Przekopałeś całe pięćdziesiąt metrów! — krzyknęła z wściekłością.

— Tylko tyle, ile potrzeba na ogród — zaprotestował, a jego uśmiech zbladł i twarz zastygła mu w zakłopotaniu.

— Ale bałagan! Spójrz na to!

— Bałagan! Wykopałem idealnie równe, przyjemne dla oka prostokąty. Doskonale wtapiają się w krajobraz.

— Krajobraz! — powtórzyła z irytacją. — Dokładnie tego potrzebuję. Całe pięćdziesiąt metrów ślicznego krajobrazu. Czemu nie wykopałeś mi basenu, jeśli już? — Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i zaczęła szybko schodzić w dół zbocza.

— Basen, do diabła! — dobiegł ją krzyk Estebana. — Raczej wykopię jakąś cholerną fosę wokół twojego zamku, księżniczko!

Drgnęła, słysząc ostatnie słowo. Tak Esteban nazwał rozpuszczoną Doreen, ponieważ nic nie było dla niej wystarczająco dobre. Do licha!

Dopiero gdy Annie zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, dotarło do niej, że Esteban pierwszy raz, odkąd przybył do Simpson, zdenerwował się tak bardzo.

Zirytował się wprawdzie, kiedy wpadli do strumienia, ale miała wtedy wrażenie, że była to jedynie złość powierzchowna. Teraz sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Annie ujrzała wreszcie prawdziwy temperament Estebana i sprawiło to jej dziwną przyjemność. Jego twarda skorupa, pod którą skrywał swe uczucia, zaczynała powoli pękać.

Annie leżała w łóżku i nie mogąc zasnąć, wpatrywała się w sufit.

Odkryła, że można z kimś spędzić cały wieczór, zjeść razem kolację, a nawet wspólnie zajmować się bezradnymi szczeniakami, nie wypowiadając przy tym ani jednego słowa. Esteban wyszedł na zewnątrz, kiedy już zjedli posiłek i Annie obserwowała go, jak siedzi samotnie na wzgórzu i patrzy gdzieś daleko przed siebie. Nigdy nie słyszała, kiedy wracał do łóżka. Podejrzewała, że spędzał całe noce na dworze.

Prawie zasypiała, kiedy jeden ze szczeniaków zaczął piszczeć. Przewróciła się z boku na bok, czekając na ciszę, lecz popiskiwanie wzmogło się. Ciężko wzdychając, wstała i wciągnęła na siebie szlafrok. Była już niemal w drzwiach kuchni, kiedy dźwięk urwał się. Mimo to postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Zatrzymała się w wejściu, gdy dostrzegła Estebana, klęczącego w ciemności przy pudle ze szczeniakami. Właśnie owijał starym ręcznikiem jednego z nich. Annie sięgnęła do kontaktu, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się, przypominając sobie, jak bardzo Esteban nienawidzi jaskrawego światła.

— Przyniosłam mój budzik — powiedziała, gdy stanęła nad nim. — Podobno szczeniaki uspokajają się, kiedy słyszą tykanie... podobne do bicia serca ich matki — jej głos zamarł, bo Esteban, nawet nie patrząc na nią, pokiwał obcesowo głową.

Stała przez chwilę bez słowa. W końcu nieśmiało przyklękła na podłodze obok niego. Widok rąk Estebana, głaszczących delikatnie szczeniaczka, przyciągał jej wzrok. Annie przełknęła głośno ślinę.

Jej własne palce drżały, gdy stawiała budzik w kącie pudła. Psiaki skierowały łebki w stronę, skąd dobiegał dźwięk, a jeden oblizał się przez sen. Leżały ciasno jeden przy drugim, zwinięte w kłębek.

— Esteban — powiedziała łagodnie i zmusiła się do spojrzenia mu w twarz.

Powoli podniósł wzrok i Annie dostrzegła w jego oczach ból, którego nie potrafiła zrozumieć. Nienawidziła tych chwil, kiedy wiedziała, że czuł się zraniony. Ciągle nie umiała zrobić niczego, aby mu pomóc. Jedyne, co potrafiła uczynić, to rozwścieczyć go.

Położyła dłoń na nagim ramieniu Estebana i poczuła, że mężczyzna natchmiast zeszywniał. Mimo nagłego przyływu pożądania, usilnie starała się spokojnie na niego patrzeć.

— Przepraszam... za to, co dzisiaj powiedziałam o ogrodzie różanym — dodała, gdy nadal spoglądał na nią bez słowa. — Nie myślę tak naprawdę, Esteban.

Wzruszył lekko ramionami.

— W porządku — odrzekł, lecz ton jego głosu był zdecydowanie oficjalny.

— Nie, to nie jest w porządku. — Wyrwał swe ramię spod jej dłoni i Annie zacisnęła zęby. — Esteban — rzekła uparcie. — Złościłam się o coś zupełnie innego, coś, co nie ma nic wspólnego z ogrodem. — Teraz przyglądał się jej uważnie. Annie wzięła głęboki oddech. — W rzeczywistości bardzo podoba mi się ten pomysł — stwierdziła.

— Naprawdę? — zapytał już nieco cieplej. Pokiwała głową i uśmiechnęła się.

— Naprawdę. I to tak, że zamówię wszystkie katalogi kwiatów, które można dostać w tym kraju.

Uwierzył jej, widziała to w jego ciemnych oczach; znowu pojawił się w nich blask.

— Co cię wtedy tak rozgniewało, Annie? — zapytał zdumiony.

Tym razem Annie wzruszyła ramionami.

— Głupia sprawa, naprawdę nic ważnego. — Celowo unikała jego wzroku, bo chciała przed nim ukryć swój żal, spowodowany tym, że nie będą razem sadzić róż. Do tego czasu Esteban przecież wyjedzie, ale teraz przestało to być ważne. Wystarczyło, że dzięki niemu powstanie ogród.

Przysunął się nieco bliżej i Annie spojrzała na Ramireza. Kiedy zobaczyła, jak Esteban na nią patrzy, oddech uwiązał jej w gardle i już była zadowolona, że chociaż różany ogród będzie przypominał jej te piękne, pełne blasku oczy.

— W takim razie, dobranoc — powiedziała miękko.

— Dobranoc — odpowiedział, lecz żadne z nich nie ruszyło się z miejsca.

Wydawało się, że czas przestał płynąć, gdy wpatrywali się w siebie, jakby byli zahipnotyzowani. Potem Esteban spojrzał na szczeniaki i czar prysł. Annie poderwała się szybko i pospieszyła do łóżka. Była jednak pewna, że tej nocy jak łatwo nie zaśnie.

Rozdział 6

Annie przechodząc przez pokój, spojrzała w małe lustro, wiszące nad tapczanem i skrzywiła się. Wyglądała koszmarnie z bladą, zmęczoną twarzą i oczami zaczerwienionymi jak u królika. Szczeniaki mieszkały już w domu trzy noce, z czego Annie w ogóle nie spała przez ostatnie dwie. Zdumiewające było, jak szybko psy potrafiły się uczyć. Kiedy odkryły, że wystarczy jedno piśnicie, aby sprowadzić do kuchni Annie lub Estebana, wszczywały pełne żalości wycie, ilekroć zostawały same.

Annie przetarła zaspane oczy i obrzuciła uważnym spojrzeniem swoje uczennice. Tym razem porozsadzała je dookoła dużego stołu, znajdującego się w pobliżu kominka.

Zerknęła przez ramię pani Stoveall, która malowała właśnie martwą naturę.

— Swobodniej, swobodniej — powiedziała do niej zachęcająco i sama pociągnęła po płótnie kilka śmiałych kresek, aby pokazać, co ma na myśli. Kiedy ukradkiem spojrzała na Estebana, jak cień uparcie podążającego za nią, uśmiechnęła się z przekąsem i zmarszczyła czoło. Wszystkie uczennice siedziały wyprostowane bardziej niż zwykle. Uświadomiło to jej, że towarzystwo przystojnego mężczyzny wpływa korzystniej na damskie sylwetki od wielogodzinnego treningu z książką na głowie.

Annie podeszła do pani Henderson, która, chcąc przedłużyć umykającą młodość, ostatnio ufarbowała sobie włosy na różowo. Po chwili Esteban wstał od stołu i odprowadzany powłóczystymi spojrzeniami uczennic dołączył do niej. Po drodze uśmiechnął się przez ramię do pani Stoveall, która entuzjastycznie odwzajemniając uśmiech, nie zauważyła nawet, że zamazuje malowany właśnie wazon z irysami. Annie zacisnęła zęby i próbowała skoncentrować się na pracy pani Henderson. Stworzone przez nią koślawe linie, mające przedstawiać łodygi kwiatów, nie wyglądały, delikatnie mówiąc, najlepiej.

— Dodaj trochę koloru — poradziła jej Annie. — Musisz je ożywić. Wyobraź sobie, że są poruszane wiatrem. — Jednak pani Henderson, zajęta rzucaniem ukradkowych spojrzeń na Estebana, nie przejęła się zbytnio uwagami nauczycielki. „Gdybym zapowiedziała, że teraz będziemy malować męski akt, wszystkie by chyba zemdlały — pomyślała Annie nie bez gorczy. — Swoją drogą, zareagowałabym podobnie” — przyznała żałośnie w duchu. Przecież to w jej nocnych marzeniach bezustannie występował pewien nagi mężczyzna. Jej głos zadrżał, gdy zaczęła wyjaśniać uczennicom zasady cieniowania, więc niezręcznie chrząknęła.

— Może chcecie napić się herbaty — zaproponowała, unikając wzroku Estebana. — Nie przeszkadzaj im — syknęła, wyrażając swoje niezadowolenie z powodu zachowania przyjaciela.

Esteban posłał jej swój najbardziej niewinny uśmiech i uniósł brwi.

— Tak, do ciebie mówię — odpowiedziała na jego niemy protest i wyszła z pokoju.

Kiedy krzątała się po kuchni, dobiegały do niej co chwilę gromkie wybuchy śmiechu. Była pewna, że Esteban oczarowuje jej uczennice. „Wygląda na to — pomyślała — że z dzisiejszej lekcji już nic nie będzie”

Głośno trzaskając drzwiami, wybiegła na dwór. Chciała zerwać trochę świeżej mięty do herbaty, ale zirytowana postępowaniem Estebana nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zioło rośnie. Ramirez potrafił wszędzie wprowadzić zamęt. A już najbardziej w jej własnym życiu! Mimo tego myśl, że pewnego dnia Esteban odejdzie i zostawi ją samą z jej cichą uporządkowaną egzystencją była nieznośna. „Pragniesz, ale wstydzisz się przyznać — mawiał Spud do kilkunastoletniej Annie. — W ten sposób nikt nie będzie wiedział, że czujesz się zraniona czy szczęśliwa”. Annie próbowała przez wszystkie te lata nauczyć się wyrażać swoje uczucia i w końcu zaczęła sobie radzić z tym nieźle,

jak na kogoś, kto nigdy nie miał okazji powiedzieć swojej matce, że bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnie jej miłości. Pamiętała, jak zagryzała do krwi wargi, aby powstrzymać się od płaczu, kiedy matka oddawała ją pod opiekę któregoś ze swych licznych „przyjaciół” — nieraz na kilka dni, czasami na miesiąc czy dwa.

Nie potrafiła zapomnieć twarzy swej matki, tego dnia gdy sąd odebrał jej prawa rodzicielskie. Widziała ją nawet w snach, choć próbowała z tym walczyć. W oczach matki nie było wtedy choćby cienia żalu. Nic nie czuła po utracie swego dziecka. Jedynie źle ukrywane znudzenie całą tą sprawą.

Esteban zawsze wyczuwał w Annie ciągle powracający ból nie kochanej przez nikogo osoby i słuchał jej, ilekroć musiała wyrzucić z siebie cierpienie i smutek. Pete nigdy nie był tak cierpliwy. „Ach, dałabyś już spokój, Annie — wzdychał, gdy słyszał kolejną opowieść o jej matce albo o sierocińcu. — Czy musimy o tym rozmawiać?” — pytał, i Annie milkła.

Pragnęła, aby Pete jej słuchał, lecz on nie potrafił i musiała nauczyć się z tym żyć. Pragnęła być kochana przez matkę, musiała poradzić sobie bez niej. Tak samo potrafi obejść się bez Estebana.

W ponurym nastroju wróciła do kuchni. Opłukała liście mięty i wrzuciła je do dzbanka z wrzątkiem. Śmiech jej uczennic nadal był bardzo głośny. Postawiła dzbanek oraz szklanki na tacy i podążyła do pokoju. Przystanęła zdumiona w drzwiach, kiedy zobaczyła pochylonego nad pudłem ze szczeniakami Estebana. Tego było już za wiele! Lecz chyba nie dla rozchichotanych pań, jak zauważyła po chwili.

— Hej, Annie! — zawołał radośnie Esteban. — Zgadnij, co się stało? Cztery szczeniaki mają nowe domy.

— Nie przypuszczam, że mój kot Hazel będzie szczęśliwy z tego powodu — powiedziała pani Henderson, głaszcząc tłustego psiaka — ale jeśli schronisko jest przepelnione, uważam, że mamy moralny obowiązek zaopiekować się nimi.

— Powiedzmy Annie, jak je nazwaliśmy — zaproponował Esteban, posyłając jej kolejny chytry uśmiezek.

Wszystkie kobiety zaczęły spacerować dookoła stołu — pani Henderson wraz z Renoirem, pani Stoveall z Picassem, pani Halliday z Rubensem, a panna Straley z Rembrandtem.

— Czyż to nie są wspaniałe imiona? — zapytał. — Ostatni szczeniak należy do nas.

— Och, cudownie — odparła ironicznie Annie. — Przypuszczam, że i jemu nadałeś równie oryginalne imię.

— Jej — poprawił Esteban i widząc zaskoczoną minę Annie, wybuchnął śmiechem. — Sądzę, że nazwiemy ją Georgia. Na cześć Georgii O'Keeffe, jak zapewne się domyślasz. Była ona zawsze jedną z twoich ulubionych malarek, prawda? — kontynuował, gdy Annie nadal milczała.

Georgię O'Keeffe odkryła Annie jeszcze w liceum, podczas wertowania albumu pozostawionego na biurku przez nauczyciela, i niemal zważyło ją z nóg, że Esteban o tym pamięta.

— Skąd wiesz? — zapytała nieufnie. Uśmiechnął się szeroko.

— Zwykle siadałem za tobą na lekcjach rysunku. Poza tym wszystkie ściany w swoim pokoju okleiłaś reprodukcjami jej prac.

Nie zapomniał.

— To było tak dawno temu — powiedziała cichutko z zadumą.

— Przez ostatni rok miałem wiele czasu na przypomnienie sobie różnych spraw. Szczególnie tych; które kiedyś były dla mnie bardzo ważne.

Ciągle trzymała w dłoniach tacę ze szklankami i wpatrywała się w Estebana tak intensywnie, jakby chciała przejrzeć go na wylot i dowiedzieć się, co czuje w tej chwili. Może był równie zakłopotany jak ona?

Świadoma tego, że kobiety z wielkim zainteresowaniem przysłuchują się ich rozmowie, postawiła tacę na stole i wręczyła wszystkim szklanki z herbatą.

— Przyjdziecie dzisiaj wieczorem pograć w karty, prawda? — pani Henderson przerwała niezręczną ciszę.

Annie spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem

— No wiesz — dodała pani Henderson — to są coroczne rozgrywki, organizowane przez Towarzystwo Kościelne. Zawsze przychodziłaś, Annie, gdy byłaś w mieście.

— Cóż... — zaczęła słabym głosem Annie, spoglądając bezradnie na Estebana.

— Będziemy tam na pewno — powiedział z uśmiechem.

— Esteban — odparła poirytowanym tonem, chcąc dać mu do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby decydował za nią.

— Annie, jestem zdumiony — rzekł z udawaną surowością. — Po tym jak obecne tu damy zobowiązały się zaopiekować szczeniakami...

Oczywiście, miał rację. Pójście na karty było drobiazgiem, który mogła zrobić, aby okazać swą wdzięczność. Nie zmieniało to jednak postaci rzeczy.

— Widzę, że coraz łatwiej przychodzi ci podejmowanie za mnie decyzji — oskarżyła go, kiedy kobiety wyszły już, zabierając swe prace.

Zdziwienie malujące się na twarzy Estebana zirytowało ją jeszcze bardziej.

— Nie udawaj głupka, Ramirez — warknęła. — Dobrze wiesz, o czym mówię. Zachowujesz się przed ludźmi tak, jakbyśmy byli parą czy czymś podobnym.

— Czymś podobnym? — powtórzył z wyraźnym rozbawieniem.

— Wiesz, co mam na myśli! To wszystko nie należy do ciebie.

Wyglądał teraz na rzeczywiście zdumionego.

— Annie, o czym, do licha, mówisz?

— O tym! — odparła, rozkładając szeroko ręce. — Ten dom, Simpson, przyjęcia karciane, to nie twoje życie.

— Wiem — powiedział cicho. Annie skrzywiła się, widząc jego nagle posmutniałą minę. — Ale teraz potrzebuję tego, Annie. I tylko ty możesz mi to dać.

— No tak — westchnęła. — Normalność i poczucie bezpieczeństwa.

Esteban roześmiał się rozbawiony tonem, jakim wypowiedziała te słowa. Annie zapragnęła podejść do niego i wziąć go w ramiona. Dobrze jednak wiedziała, że nie miałyby to nic wspólnego z zapewnieniem mu normalności i poczucia bezpieczeństwa. Boże, czego on od niej chciał?

— Annie, ile razy muszę ci powtarzać? Potrzebuję tego — i ciebie.

— Ale co ja mam robić? — zapytała z narastającym rozdrażnieniem. — Nie potrafię ci pomóc!

— Annie! — zawołał, ale ona była już w połowie drogi do swojej sypialni. Gdy tylko weszła do środka, z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi.

Stoły do gry w karty i rozkładane krzesła były rozstawione po całym podziemiu kościoła. Przy niektórych dopiero tasowano i rozdawano karty, przy innych gra już się toczyła. Wokół panował gwar, co chwila rozlegały się głośne śmiechy i okrzyki radości.

Annie i Esteban grali przeciwko Eloise Clancy oraz jej córce Donnie May. Jednak Donna May częściej niż w swoje karty spozierała na Estebana i matka co rusz musiała ją lekko trącać łokciem, aby skierować jej uwagę z powrotem ku grze. Lecz prawdę mówiąc, nawet Eloise nie potrafiła oprzeć się pokusie i głośno szczebiocząc, ukradkiem zerkała na niego.

Panie Ramizez, pańskie życie musi być ekscytujące — powiedziała, uśmiechając się promiennie.

— Obawiam się, że nie ma pani racji — odparł uprzejmie.

— Chodzi mi o to okropne więzienie i całą resztę. Takie ciężkie przeżycia. I wszystko z powodu kobiety... — zawiesiła głos oczekując, że Esteban zaspokoi jej ciekawość.

— Nie inaczej — przytaknął niezobowiązująco.

— I znowu los was rozłączył — Eloise współczująco pokiwała głową. — Jakże ona się nazywała — Nora Dee, czy...

— Natividad — poprawił ją Esteban i zerknął na Annie, która spoglądała w karty.

— Wierz mi, młody człowieku, jesteś szczęściarzem. Wielka miłość nie każdego spotyka. Mój świętej pamięci mąż i ja mieliśmy to szczęście. Martwię się jedynie moją biedną córką, która jak dotąd nie zakochała się w nikim.

— Och, mamó! — Donna May spuściła powieki i oblała się rumieńcem.

Annie zdusiła w sobie pragnienie uczynienia tego samego. Całe Simpson wiedziało, że małżeństwo Eloisy nie było sielanką. Doprowadziła małżonka do wrzodów żołądka swym bezustannym uskarżaniem się na migrenę i przemęczenie. Żyli ze sobą jak pies z kotem, ale natychmiast po jego śmierci zaczęła głośnić wszem i wobec, że byli najszczęśliwszą parą w mieście.

Choć Annie nie lubiła Eloisy i Donny May, jednak współczuła im. Podobnie jak one, chciała wieść spokojne, ustabilizowane życie i tak samo jak im, nie udawało jej się to. Pragnęła związać z kimś swe losy, mieć dzieci, prowadzić dom. „A Esteban? — pomyślała z goryczą. — Jedyne, co go interesuje w życiu, to dalekie podróże i przygody” Właśnie w tej chwili podstarzałe siostry Wiśniewskie uśmiechając się zalotnie, podeszły do niego z olbrzymią paterą, na której leżało ciasto.

— Upiekłyśmy cztery rodzaje ciasta — powiedziała z dumą Margareth. — Mój sernik jest słynny na całą okolicę.

Podczas gdy Esteban dziękował im, Annie spojrzała na Donnę May i spostrzegła, że ta młoda kobieta patrzy na nią z nie skrywaną zawiścią. Annie posłała jej blady uśmiech i odwróciła głowę. „Więc Donna May mimo wcześniejszej rozmowy o Natividad podejrzewa, że stanowimy parę. Co pomyślałaby sobie, gdyby wiedziała, że Esteban jest po prostu moim gościem, którego przywiodła tutaj przesadna wdzięczność?” — zastanawiała się Annie.

Wielu ludzi podchodziło do ich stołu. Wielebny ojciec Johnson poklepał z sympatią Estebana po ramieniu, a Bob Howell, farmer, powiedział Estebanowi, że Stany Zjednoczone są najwspanialszym krajem na świecie i że jest dumny z jego wizyty w Simpson. Mabel Harrison, która wraz z Jen-nie Trainer należała do najbardziej gorliwych organizatorek życia w mieście, wręczyła Estebanowi karnet na co niedzielne koncerty w parku.

W Annie narastała uraza. Ciężko znosiła nie kończące się wścibskie pytania dziennikarzy, którzy nie dawali jej chwili wytchnienia przez cały ubiegły rok. Odczuwała mdłości przed każdym wywiadem. Na samą myśl, że będzie musiała z przyklejonym do ust uśmiechem ścisnąć dłoń kolejnemu kongresmenowi, chciało jej się płakać. Jedynie świadomość, że robi to dla Estebana, który jest uwięziony w jakiejś zapadłej dziurze, pozwalała jej przejść przez to wszystko. Lecz dla Estebana nic nie wydawało się zbyt trudne. Ci ludzie, dla których jeszcze godzinę temu był zupełnie obcy, traktowali go teraz jak syna tej ziemi. Dziękował im, że są tacy mili i zapewniał, że czuje się wspaniale w Simpson. Annie cichutko wstała i poszła do kuchni, gdzie kilka kobiet zmywało naczynia. Edna Klein zerknęła w bok, gdy Annie chwyciła za ścierkę i przyłączyła się do nich.

— Więc — Edna wygłosiła swój tradycyjny wstęp do wścibskich pytań. — Ten Esteban to miły facet, prawda?

— Jak diabli — odparła Annie, kładąc szklanekę na suszarce.

— Chyba coś jest między wami? — naciskała Edna.

— Mylisz się — Annie odpowiedziała cierpliwie, choć miała ochotę cisnąć mokrym talerzem o podłogę.

— Cóż, wydaje mi się, że tak samo mówiłaś kiedyś o swoim mężu.

— Edna — upomniała ją Annie — jednego lata wymyśliłaś sobie, że zakochałam się w sprzedawcy z drogerii Carso-na, a następnego roku zadurzyłam się, według ciebie, w poborowym do marynarki, który przyjechał tutaj na jakieś szkolenie.

— Nadal sędzę, że miałam rację co do niego — Edna nie dawała się zbić z tropu. — I stawiam dolary przeciwko kasztanom, że teraz też się nie mylę.

— Łatwiej byłoby ci wygrać w loterii stanowej — stwierdziła pewnym tonem Annie.

Lecz Edna, szczycąca się doskonałą pamięcią, zaczęła snuć wspomnienia o tamtym lecie, podczas którego do miasta przyjechał poborowy. Annie poczuła, że się czerwieni, gdy Edna głośno opowiadała, jak Annie w najładniejszej sukience, umalowana czerwoną szminką, dwadzieścia razy dziennie przechodziła pod oknami wojskowego punktu rekrutacyjnego. Edna zachichotała.

— A Maria z kiosku powiedziała mi, że kupiłaś białą pastę do butów, aby odświeżyć swoje trampki.

Annie wytarła widelec i z hukiem cisnęła go do zlewu. Odwróciła się i ujrzała stojącego w drzwiach kuchni Estebana. Trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się szeroko. Wyglądał tak męsko i seksownie, że przez moment zamarła. Dopiero głos Edny otrzeźwił ją.

— I pamiętam, jak z bukietem własnoręcznie zerwanych kwiatów przybiegłaś na peron, kiedy odjeżdżał pociąg z poborowymi.

— No, no, no. — Esteban pokręcił ze zdumieniem głową. — Nie wiedziałem, że jesteś taka śmiała, Annie. W takim razie powinienem spytać cię wprost, czy pójdziesz ze mną na randkę.

— O, tak, ta dziewczyna potrafi być bezwstydną — powiedziała Edna, mrugając okiem do Estebana. — I nie daj się zwieść, jeśli będzie temu zaprzeczła. Annie już taka jest, że im bardziej ktoś ma rację, tym bardziej się wypiera.

— Dziękuję za wykład, Edna — powiedziała cierpko Annie. — Pozwól, że pójdę już do domu. Przykro mi, ale będziesz musiała wypróbować swoją amatorską psychologię na kimś innym.

Edna zachichotała.

Kiedy wyszli na dwór, Esteban otoczył Annie ramieniem.

— Przyjemny wieczór, nieprawdaż? — zapytał, uśmiechając się do niej i poprowadził ją w kierunku samochodu.

— To zależy — westchnęła. Czuła się poirytowana, ale nie chciała w tej chwili toczyć z nim walki.

— Hej, Annie — powiedział cicho, kiedy wymknęła się spod jego ręki i przyspieszyła kroku.

— Słucham? — zapytała, otwierając drzwi samochodu.

— Czy coś się stało?

— Nie. Jedźmy do domu.

Zamknął za nią drzwi, obszedł auto dookoła i wcisnął się na przednie siedzenie dla pasażera.

Gdy wyjeżdżała na szosę, czuła na sobie badawczy wzrok Estebana.

Przez nie domkniętą szybę dostawał się do środka wietrzyk, a w gorącym powietrzu rozlegało się monotonne cykanie świerszczy. W takie wieczory wyciągała Pete'a z Chicago i przyjeżdżali do Simpson. Po drodze zatrzymywali się przed małą lodziarnią, aby rozprostować nogi. Pamiętała, jak bardzo Pete niecierpliwił się i niezbyt zręcznie próbował skracać te postoje. Udawał przez wzgląd na nią, że lubi jeździć do Simpson, lecz Annie wyczuwała utęsknienie, z jakim wyczekiwał końca kolejnych wizyt w miasteczku. Nienawidziła takiego udawania. Jednak jeszcze bardziej denerwowało ją, że Esteban również starał się stworzyć pozory, iż podoba mu się w Simpson.

— Nie musisz być aż tak miły dla nich — powiedziała po dłuższej chwili, choć sama nie wiedziała, co za licho ją do tego podkusiło.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Czyżby? — zapytała ironicznie i wychylając się przez okno, podjechała tyłem przed dom.

— Annie, o co ci, do diabła, chodzi? — Odwrócił się na siedzeniu, aby lepiej widzieć jej twarz. — Zachowujesz się tak, jakbyś sądziła, że urządzam sobie z Simpson pośmiewisko.

— Nie mylisz się — odpowiedziała, mocno obejmując dłońmi kierownicę. — Esteban, to jest małe, spokojne miasteczko. Ludzie, którzy tu mieszkają, są mili i przyjaźnie nastawieni do świata. Chcę, żebyś wreszcie zrozumiał, że mi to odpowiada.

— A mnie niby nie? O Boże, Annie, co ja takiego powiedziałem? Co zrobiłem? — Rozłożył bezradnie ręce i Annie w końcu odwróciła się do niego.

— Jeszcze tego nie zrobiłeś.

— Czego?

— Nie wyjechałeś stąd — powiedziała żalnym głosem, pozwalając dłoniom zsunąć się bezwładnie z kierownicy.

— Annie, czy myślisz, że jutro mogę spakować bagaże i zniknąć bez śladu? Czy nie wiesz, jakie uczucia żywię wobec ciebie i tego miejsca? — dotknął delikatnie jej ramienia, jakby błagając, aby mu uwierzyła.

Mocno powstrzymywała się, żeby nie patrzeć w oczy Estebanowi, ale równie dobrze mogłaby zabronić słowikom śpiewać ich nocnych pieśni. Znowu podniosła wzrok na przyjaciela i zachciało jej się płakać. Tak bardzo pragnęła tego mężczyzny. Delikatna pieśczoła palców głaszczących jej kark była przenikającym ją na wskroś miłosnym wezwaniem.

— Tylko zdaje ci się, że tak czujesz — wyszeptała. — I to jest naturalne po tym... przez co przeszedłeś — rzekła w zadumie.

— Annie — rzekł zdumionym głosem — o czym, do licha, mówisz?

— To jest tylko urojenie — odparła zirytowana, że nie zrozumiał. — Po roku spędzonym w więzieniu, Simpson wydaje ci się rajem. I wmówiłeś sobie, że szukasz czegoś normalnego i dającego poczucie bezpieczeństwa.

„Nie powinien tak na mnie patrzeć” — pomyślała, czując, że jej puls gwałtownie przyspiesza. Takie spojrzenia powodują, że kobietom mięknie kolan, i nie czuła się w tej sytuacji żadnym wyjątkiem.

Próbowała wyjaśnić, dlaczego się mylił, a on patrzył na nią tak uwodzicielsko.

— Więc czego szukam, jeśli nie normalności i poczucia bezpieczeństwa, kochanie? — zapytał cicho i przyciągnął ją do siebie. — Bezpieczeństwo — wyszeptał, delikatnie muskając wargami jej usta. — Normalność. — Pocałunek pogłębił się i Annie przywarła mocno do piersi Estebana.

„Nie rób mi tego!” — coś w niej krzyczało, ale nic nie mogło powstrzymać jej ust i rąk, które pragnęły pieśczoły. Drżącymi dłońmi zaczęła wyciągać mu koszulę ze spodni, jednocześnie odwzajemniając coraz bardziej namiętne pocałunki.

— Nie — zdołała wyszeptać i odsunęła się tak daleko, jak mogła, będąc zamknięta w jego objęciach.

— Co się stało, Annie? — zapytał łagodnie. — Cóż jest złego w poczuciu bezpieczeństwa i normalności? — W ochrypłym głosie Estebana słyhać było kpiącą nutkę. Kiedy Annie spojrzała mu w oczy, poczuła, że ogarnia ją coś zbliżonego do smutku.

— Przestań tak mówić! — krzyknęła i, odpychając go, oparła się plecami o drzwi samochodu.

— Ależ, Annie... — uśmiechnął się. — Byłaś święcie przekonana, że doskonale wiesz, co czuję, więc postanowiłem ci po prostu pokazać, jak jest naprawdę. Co teraz o tym sądzisz?

Obróciła się na siedzeniu, otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

— Myślę, że jesteś szalony, jeśli chcesz już wiedzieć!

— Patrzcie, patrzcie, Annie — odparł z żartobliwą dezaprobatą, ale ona trzasnęła drzwiami i pomaszerowała do domu.

— Zostaw mnie w spokoju, Esteban! — Annie w ciemności usiłowała drżącymi dłońmi wsadzić klucz do zamka. — To nie jest coś, czego bym potrzebowała właśnie teraz!

— Niech mnie licho, jeśli nie jest! — krzyknął, wychodząc z samochodu. Annie z wściekłością szarpnęła za klamkę. — Mam zamiar pocałować cię znowu, Maguire, aby udowodnić ci, że nawet twój cholerny upór ma swoje granice!

— Trzymaj się ode mnie z daleka, Ramirez! — odpowiedziała i z rozmachem otworzyła drzwi. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć zmierzającego ku niej szybkimi krokami Estebana. Mimo że w jego oczach płonął ogień, nie wyglądał zbyt groźnie, niósł talerz pełen ciasta z karcianego przyjęcia.

Nie zapaliła światła wiedząc, że mogłaby go tym przestraszyć i powoli przeszła przez ciemną kuchnię. Kiedy znalazła się w pokoju, natychmiast podeszła do okna. Uchyliła żaluzję i w świetle księżycy ujrzała sylwetkę Estebana, który dochodził już do domu. Chwilę później wszedł do środka i z hukiem zamknął za sobą drzwi.

— Annie! — zawołał. Wpatrując się w ciemność, przyklęknął i postawił talerz na podłodze. — Natychmiast przestań się przede mną chować.

— O co chodzi, Esteban? — krzyknęła z pokoju. — Czyżby coś nie układało się po twojej myśli?

— Więc chcesz się bawić w kotka i myszkę? — zapytał żartobliwie, powoli posuwając się do przodu. — Auuu! — nagle jęknął. Annie odniosła wrażenie, że uderzył głową w uchylone drzwiczki kuchennej szafki.

— Nie, nie będę grała z tobą w kotka i myszkę — odparła. — Idę do łóżka. Dobranoc, Esteban.

— Co to znaczy „dobranoc”? — zażądał odpowiedzi. — Auuu! Kto, do diabła, postawił tutaj to krzesło?

Uświadomiła sobie, że Esteban znajduje się już niebezpiecznie blisko niej. Zaczęła po cichu okrążyć stół, chcąc wymknąć się z powrotem do kuchni.

— Aha! — krzyknął. — Tu jesteś!

W ciemności ledwo dostrzegła sylwetkę Estebana, który zmierzał ku niej z drugiej strony stołu.

— Skończ z tym! — rozkazała mu. — Mam już dosyć tej zabawy.

— Co się stało, Annie? — zapytał kpiącym tonem i uśmiechnął się. — Czyżby myszkę obleciał strach?

— Nie zbliżaj się — ostrzegła go, widząc, że nadal skrada się w jej kierunku. Posuwała się w przeciwną stronę, usiłując dotrzeć do drzwi, ale czuła, że może nie zdążyć. — Esteban! — krzyknęła rozeźlona.

— Nie uciekaj, Annie — prosił. — Chyba nie obawiasz się zwykłego całusa?

Nagle szybkim susem okrążył stół. Annie pisnęła i doskoczyła do drzwi. Esteban złapał ją za rękę, ale zdołała mu się wyrwać i wbiegła z powrotem do kuchni. Jednak Ramirez nie zamierzał dać za wygraną. Ułamek sekundy później dogonił Annie i z triumfalnym okrzykiem objął ją od tyłu tak mocno, że nie mogła już się wymknąć.

— Puść mnie — syknęła i gdy poczuła jego gorący oddech, zaczęła jeszcze mocniej się szarpać.

— Biedna Annie — powiedział z udawanym współczuciem i obrócił ją twarzą ku sobie. Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nigdy wcześniej nie widziała w nich takiego blasku.

— Annie, Annie — wyszeptał. — To tylko pocałunek, kochanie. Nic więcej.

Nachylił się ku niej i Annie nie usiłowała się już dłużej opierać. Pocałował ją, najpierw delikatnie muskając wargi, potem, gdy cichutko wzdychając, rozchyliła szerzej usta, zatopił w nich gwałtownie język.

— Jesteś taka pyszna — wymruczał. — Taka słodka. Nigdy się tobą nie nasycę.

Był zniewalający. Annie podniecona jego bliskością jęknęła i przyłgnęła do niego całym ciałem. Czy miało sens uciekanie przed czymś, czego tak bar-

dzo pragnęła? Czy było warto oszukiwać się, mówiąc „nie”, skoro każda część jej ciała wołała „tak”? Kiedy Esteban zda sobie w końcu sprawę, że chciał się jedynie odwdzińczyć, i nic więcej, będzie udawała, że wiedziała o tym przez cały czas i nie ma to znaczenia. Właśnie tak. Będzie udawała, że nie ma to absolutnie żadnego znaczenia. Zamknęła oczy. Pragnęła choć na chwilę zapomnieć, dlaczego znajduje się w jego ramionach

Przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie i cofnął się o krok. Nagle coś zadźwięczało i Esteban raptownie wypuścił Annie z objęć.

— Niech to wszyscy diabli! — zaklął, potrząsając głową. — Zapal światło — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Co się stało? — wyszeptała zdziwiona i nacisnęła znajdujący się na ścianie przełącznik. To, co zobaczyła, było tak zabawne, że z trudem powstrzymała się od śmiechu. Na talerzu z ciastem w kompletnie uwalanych kremem butach stał Esteban. Tuż za nim obudzona hałasem Georgia wynurzyła swój łebek z kartonu i mrużąc oczka przed rażącym światłem, przyglądała się z powagą całej sytuacji.

Annie zachichotała.

— Na miłość boską, jakim cudem tam się znalazłeś?

— Może wyjaśnię ci to później — odparł cierpko. — Teraz lepiej daj mi coś do wytarcia tej obrzydliwej mazi.

— Już się robi — powiedziała i rozbawiona sięgnęła po szmatkę. Georgia próbowała groźnie warknąć, ale z jej pyska wydobyło się cieniutkie piśnienie, co do reszty rozśmieszyło Annie.

— Ech, kobiety — westchnął Esteban, kręcąc z dezaprobatą głową. — Zawsze naśmiewacie się z nas, biednych mężczyzn.

— Trudno się nie śmiać, kiedy wy, biedni mężczyźni, wchodzicie obiema nogami w talerz z ciastem — zakpiła. Potem schyliła się i unosząc stopę Estebana zmusiła go, żeby usiadł na krześle.

— Pozwól, że ja to zrobię — powiedział i, sięgając po szmatkę, przelotnie palcami dotknął jej dłoni. Annie spojrzała mu w twarz i ujrzała przecinający ją przez ułamek sekundy grymas bólu, a kiedy zniknął, w jego miejscu pojawiła się maska, za którą tak często Esteban się chował. Zagryzając wargi, Annie opuściła wzrok na szmatkę i nagle zrozumiała, co się stało. Wzdrygnęła się.

Kraciasta kolorowa szmata była kiedyś koszulą Pete'a. A Esteban oczywiście ją rozpoznał. Jakże głupio postąpiła, podając mu właśnie ten kawałek materiału.

— Już wyczyściłem — powiedział cicho. W jego głosie była teraz tylko powaga.

Pragnęła prosić go, żeby jej nie opuszczał. Potrzebowała jego bliskości, w tej chwili, gdy siedziała na podłodze i ledwo powstrzymywała się od płaczu nad koszulą swojego męża.

Lecz nie z powodu Pete'a chciało się jej płakać, już nie. To widok cierpiącego Estebana tak ogromnie ją ranił, i dlatego w kącikach jej oczu czały się łzy. Pragnęła zniszczyć niewidzialną ścianę, za którą wciąż przebywał, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Pożądała mężczyzny, który gonił ją po domu, ale zamiast niego, znajdował się przy niej milczący człowiek o pustym spojrzeniu. Więzienie nadal mocno trzymało go w swych okowach, a ona nie potrafiła w żaden sposób temu zaradzić.

— Dobranoc — powiedziała niepewnie i wstała. Mimo wszystko miała nadzieję, że odpowie jej jednym ze swych diabelskich uśmiezków.

— Dobranoc, Annie — odparł cicho, wpatrując się w podłogę. — Myślę, że posiedzę tutaj jeszcze trochę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Kiedy doszła już prawie do połowy korytarza, usłyszała, że Esteban gasi światło. Odwróciła się i ujrzała w oknie kuchni samotny cień człowieka, który nienawidził oślepiającego blasku lamp. Chciała wierzyć, że kiedyś uda mu się zapomnieć o jego bolesnej przeszłości.

Rozdział 7

Zapukał do jej sypialni punktualnie o dziesiątej trzydzieści.

— Czy zamierzasz przespać cały dzień? — zapytał kpiąco.

— Gdy leżę w łóżku, nie odpowiadam na głupie pytania — mruknęła sennie Annie. — Dzisiaj, zdaje się, jest niedziela, więc po co mnie tak wczesnie budzisz?

— Już prawie południe. Wstawaj, śpiochu — krzyknął, łomocząc do drzwi. — Zabieram cię na wspaniałą randkę. Ale mam do ciebie prośbę, nałóż ten różowy ciuszek, który tak bardzo lubię.

Annie ziewnęła, a po chwili usłyszała dobiegające wesołe pogwizdywanie Estebana i odgłosy przestawianych naczyń. „Na szczęście — pomyślała — znów jest w dobrym humorze” Zeskoczyła z łóżka i wyjęła z szuflady ubranie. Przeczesała włosy, spojrzała w lustro. Twarz jej pokryła się rumieńcem na wspomnienie pożądanego, jakie błysnęło w oku Estebana poprzedniego wieczoru. Bała się tych jego namiętnych spojrzeń; z trwogą pomyślała, co mogłoby się później wydarzyć. Ale jeszcze gorsze były te straszliwe godziny, kiedy nie zwracał na nią uwagi. Zamykał się wtedy w sobie na jakiś czas. W takich chwilach pragnęła objąć go, delikatnie pocałować i szeptać do ucha, aby się nie martwił, że wszystko będzie w porządku.

Dostrzegła w lustrze filuterny promyk, który rozjaśnił jej oczy. Przestraszyła się. To z pewnością jedynie refleks wpadającego poprzez zasłony światła. Z Estebanem łączyła ją serdeczna przyjaźń, ale nie była w nim przecież zakochana.

Wstała od lustra, rozejrzała się szybko wokół siebie, po czym sięgnęła po ubranie. Uśmiechnęła się, dostrzegając pomiędzy starannie ułożonymi rzeczami rękawy różowego swetra.

Gdy weszła do kuchni, Esteban wracał właśnie z podwórza, a Georgia podskakując zabawnie, podgryzała mu nogawki. Zniecierpliwiony pochwycił szczeniaka i wsadził go do wyłożonego miękkim kocykiem pudełka. Georgia jednak nie dawała mu spokoju. Stała na tylnych łapkach i skomlała próbowała wskoczyć mu z powrotem na ręce.

— Chyba się w tobie zakochała — zauważyła Annie.

— Z nią jednak mogę sobie poradzić — odparł zagadkowo i wyprostował się. Gdy spojrzął przed siebie, w kącikach jego ust pojawił się uśmiech uznania.

— Cholera, wyglądasz wspaniale — rzekł, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Białe płócienne spodnie, jakie miała dzisiaj na sobie, doskonale pasowały do różowego swetra. Annie wiedziała, że ta kreacja nie ujdzie jego uwadze. On sam nałożył tego dnia nową ciemnozieloną koszulę, która łagodnie kontrastowała z jego śniadą cerą i kruczoczarną czupryną.

— Czuję się trochę śmiesznie — powiedziała, spuszczać wzrok, zawstydzona jego spojrzeniem.

— Dlaczego?

— Z powodu... — urwała rumieniąc się. — Sam przecież wiesz.

— Ach tak! Więc to wszystko ciebie tylko śmieszy? — Esteban chciał sprawić wrażenie, że jest urażony. — Pewnie wolałabyś pójść na spotkanie z jakimś obcym facetem, który poprzedniego dnia poderwał cię w barze.

— Nie, oczywiście, że nie — zaprzeczyła, lecz wciąż była dziwnie niepokojna. Chciała rozładować rosnące w niej napięcie, ale nie wiedziała, jak to zrobić, aby Esteban nic nie zauważył. Nigdy jeszcze na pierwszej randce nie doznała takiego uczucia. Jakaś tajemnicza siła rozniecała w niej pragnienia. „Annie, nie rób głupstw” — rozkazała sobie, ale było już chyba za późno. Jak powinna się teraz zachować? Nie wątpiła w to, iż Esteban jest nią zainteresowany jako kobietą, ale zdaje się nie potrzebował niczego więcej. A ona...

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytał. — Czyżby gdzieś wystawała mi koszula? A może źle dobrałem skarpetki?

Potrząsnęła głową.

— Więc chodźmy! Wszystko już zapakowałem do samochodu.

Annie jednak nie ruszała się z miejsca.

— Czy zawsze na randce jesteś taka skrepowana? — zapytał, podnosząc brwi.

— Nie jestem wcale skrepowana, co ci przychodzi do głowy? — odparła z oburzeniem i ruszyła ku drzwiom, które Esteban otworzył szybkim, szarmanckim ruchem.

Usiadła za kierownicą i zapytała, dokąd ma prowadzić.

— To tajemnica — odrzekł z uśmiechem. — Jedź najpierw wzdłuż Missisipi aż do skrzyżowania z Sussex Road.

Gdy dotarli do starej winnicy na przedmieściu Simpson, polecił jej skrócić w lewo. Nie była w tym zakątku od lat. Zawahała się i spojrzała niepewnie na Estebana.

— Tak, to tutaj — potwierdził. — Pomyślałem sobie, że wycieczka za miasto będzie dla nas doskonałym początkiem.

Winnica nie była zbyt rozległa, nigdy więc nie zatrudniono tu przewodnika. W recepcji przy bramie urzędowała uprzejmie uśmiechnięta pulchna kobieta. Wręczyła im mały magnetofon i poinstruowała, aby włączyli go przy

wejściu do białego kamiennego budynku, który stoi na prawo od głównej ścieżki.

— Podoba ci się tu, prawda? — szepnęła Annie i wcisnęła guzik magnetofonu. Z taśmy popłynął głos i rozpoczęli zwiedzanie.

Magnetofonowy przewodnik objaśnił im, że znajdują się w starym składzie beczek. Wystarczy tylko mocniej wciągnąć powietrze, by poczuć zapach sfermentowanych winogron. Esteban natychmiast wziął głęboki, głośny oddech, co rozśmieszyło Annie i aby się opanować, musiała z całej siły ścisnąć jego rękę.

Długo wędrowali po mrocznych pomieszczeniach, starając się dotrzymać kroku niewidzialnemu przewodnikowi. Po pewnym czasie znużony Esteban zaczął się bawić magnetofonem. Przesuwał taśmę szybko do przodu i jednocześnie drwiąco przytakiwał bełkotliwym dźwiękom wydobywającym się z głośnika. A gdy Annie trąciła go strofująco w ramię, udawał, że jest zawstydzony.

— Dlaczego naśmiewasz się z tej winnicy? — zapytała oskarżycielsko, gdy już wyszli na światło dzienne.

— Wcale się nie naśmiewam — odparł. — Po prostu się bawię. To naprawdę wspaniałe miejsce.

Annie westchnęła, lecz w głębi duszy wierzyła, że Esteban mówi prawdę. Odnieśli magnetofon recepcjonistce i zostali na pożegnanie poczęstowani lampką firmowego wina.

— Cóż za delikatny bukiet — rzekł uprzejmie Esteban. Annie chciała go uszczypnąć, lecz powstrzymała się, widząc, że recepcjonistka skromnie spuściła wzrok, najwyraźniej zadowolona z jego uwagi.

— Robisz to celowo, prawda? — zapytała, gdy wsiedli z powrotem do samochodu. Esteban milczał, więc przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyli dalej.

— Skręć w tę ulicę — rzekł nagle.

— Chcę, abys odpowiedział mi na moje pytanie — nalegała poirytowana.

— Czy robisz to celowo?

— Poczekaj chwilę, Annie. O, tutaj staniemy!

— Esteban!

— Zaparkuj w tym miejscu, kochanie! Proszę cię, bądź trochę weselsza.

Przecież to nasza pierwsza randka.

Annie zatrzymała samochód i podniosła ręce w geście rezygnacji. Gdy wysiedli, Esteban objął ją i poprowadził wąską dróżką w kierunku Share Parku. Przytuleni do siebie spacerowali w cieniu rozłożystych kasztanowców. Wreszcie, nie opodal jodłowego zagajnika, znaleźli małą ławeczkę, tuż przy kamiennym tarasie, z którego widać było Missisipi.

— Poczekaj tu — rzekł Esteban i zniknął pomiędzy drzewami, zanim zdążyła zaprotestować. Wrócił po kilku minutach, niosąc w dłoniach torebkę prażonej kukurydzy. Usiadł przy Annie i swobodnie rozłożył nogi. — Czy to nie wspaniałe? — odetchnął i wziął sobie garść kukurydzy. — No dobrze, Annie — otoczył ją czule ramieniem. — Cóż takiego robię celowo?

— Oczarowujesz ludzi. Udajesz, że są dla ciebie interesujący — odparła, spoglądając na rzekę, po której leniwie płynął rybacki kuter.

Esteban nie odrzekł ani słowa, lecz gdy ośmieliła się na niego spojrzeć, napotkała skupiony, poważny wzrok.

— Dlaczego to robisz? — zapytał.

— Co takiego? — odparła, odwracając od niego głowę.

— Zachowujesz się tak, jakbym ci w czymś przeszkadzał. Może nie jesteś zadowolona, że przebywamy teraz razem w tym pięknym parku?

— Zmieniasz temat — odpowiedziała rozzłoszczona.

— Nie, Annie. Mówię dokładnie o tym samym co ty. O nas. Czy naprawdę uważasz, że jedynie ktoś, kto wychował się w Simpson, mógłby być dla ciebie odpowiednim mężczyzną? — W oczach Estebana kryło się tyle przejmującego smutku, że Annie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Zrozumiała, że ten człowiek jest na swój sposób więźniem, który usilnie próbuje wymazać z pamięci ślady bolesnych przeżyć.

— Chyba źle mnie zrozumiałeś — powiedziała, patrząc na jego szczupłe, silne ręce. — Kocham to miasto. I chciałabym, abyś traktował poważnie moje uczucia.

— Annie, Simpson podoba mi się tak bardzo, że mam ochotę pozostać tu jak najdłużej.

— Kłamiesz!

Delikatnie dotknął jej policzka. Annie poczuła, że podniecenie narasta w niej niczym wzbierająca morska fala.

— Spójrz na mnie — poprosił i uśmiechnął się, gdy podniosła na niego wzrok. — Potrzebuję cię. Czy nie mówiłem ci tego jeszcze?

— Nie — odparła po krótkim milczeniu.

— Więc chcę, abyś wiedziała, że bez ciebie ogromnie trudno byłoby mi żyć. Tak wiele mamy ze sobą wspólnego. Co więcej, widzę w twoich oczach, że czujesz podobnie jak ja.

Pragnęła wyznać mu, że go kocha, lecz nie mogła się jeszcze na to zdobyć. Potrząsnęła jedynie głową, jakby próbowała zrzucić z siebie jakiś niewidzialny ciężar.

— Czasami... — zaczęła, chcąc mu wreszcie powiedzieć, że doprowadza ją do szaleństwa.

— Cicho! — rzekł nagle, ściskając jej dłoń. — Posłuchaj!

— To orkiestra parkowa — szepnęła Annie. — Grają „Summertime” Gershwina.

— A więc mamy i muzykę — zaśmiał się Esteban.

Zeszli z łagodnego stoku wprost na trawiasty brzeg Missisipi. Tam rozłożyli ciemnozielony koc, a Esteban z dumą wyjął z torby pieczonego kurczaka, słoik ogórków i olbrzymie ciasto z jabłkami. Gdy się najedli, Annie usiadła w cieniu rosnącej na brzegu wierzby i zamknąwszy oczy, wsłuchiwała się w szum płynącej wody. Z rozmarzenia wyrwały ją dopiero skoczne dźwięki dobiegającego z oddali rock and rolla. Rozczuliły ją staranne przygotowania Estebana. Zadbał o wszystko, nawet o jedzenie.

Spojrzała w niebo i uświadomiła sobie, że z każdą chwilą kocha go coraz mocniej. Ale wołała mu tego nie mówić. Esteban pochylał się nad nią, dziwnie uśmiechnięty.

— Co się stało? — zapytała.

— Dlaczego tak postąpiłaś, Annie? — pogłaskał ją po policzku kosmykiem jej włosów, a ona pod jego dotykiem przeciągnęła się niczym leniwa kotka. Przypomniała sobie, że Pete nie poświęcał jej tyle uwagi. Był typem raczej zamkniętym w sobie, człowiekiem, który nigdy nie mówił o swoich uczuciach. Być może, gdy była młodsza, potrzebowała tego dystansu. Nie chciała odpowiadać na żadne drażliwe pytania i sama wołała nie wiedzieć, co czasami sobie o niej myśli. Ceniła Pete'a za jego spokój, zrównoważenie i dobroć, jaką jej okazywał. Pewnie właśnie dlatego go poślubiła. Ale Esteban...

— To znaczy jak? — podniosła wzrok, gubiący się w jego ciepłych brązowych oczach.

— Wytłumacz mi, dlaczego poświęciłaś pracę, swój wolny czas i życie osobiste po to, aby wydostać mnie z więzienia?

Długo patrzyła mu w twarz, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Prawdę? Nie była nawet pewna, co jest tą prawdą.

— Nie wiem — odrzekła uczciwie. Zmarszczyła brwi i opuściła głowę.
— Po prostu czułam, że nie mogę cię tak zostawić. Postanowiłam dołożyć wszelkich starań, aby cię uwolnić. Nie miałam apetytu, wszystko leciało mi z rąk, myślałam tylko o tym, że gdzieś w odległym kraju siedzisz zamknięty w ponurej celi.

— Annie! — rzekł łamiącym się głosem. — Nie chcę, żebyś taka była!

— Jaka? — spytała, znowu na niego patrząc. Widok jego przystojnej, ogorzałej twarzy wzbudzał w niej coraz większe pożądanie.

Nic dziwnego, była spragnioną seksu wdową, jakich wiele na tym świecie.

— Gdy coś o mnie myślisz, nie chcesz mi tego powiedzieć.

— Dlaczego miałabym coś przed tobą ukrywać? — zapytała.

Esteban pokręcił głową.

— Tego właśnie nie rozumiem. Kiedyś byłaś inna. Annie z dawnych lat pocałowałaaby mnie albo przytuliła, jeśli bym tylko zapragnął. Nie zważając nawet na obecność innych. A teraz... Czy żałujesz, że przyjechałem? Może przywiozłem ze sobą zbyt wiele wspomnień dotyczących Pete'a?

„O Boże — pomyślała Annie — on wciąż niczego nie rozumie”.

Mimowolnie spojrzała mu w oczy i miłość, którą skrywała dotąd w głębi serca rozpromieniła jej duszę. Delikatnie dotknęła jego policzka, wciąż walcząc ze sobą, aby nie rzucić mu się w ramiona.

— Pete to przeszłość. Nie wykluczone, że ze względu na niego tak bardzo starałam się cię uwolnić. Poza tym miałam ogromną potrzebę uczynienia czegoś ważnego. Po śmierci Pete'a czułam się jakby odstawiona przez życie na boczny tor.

Esteban ujął jej dłoń.

— Dlaczego więc bronisz się przed jakimkolwiek uczuciem do mnie?

— Wcale się nie wzbraniam. Czy tego nie widzisz? — spojrzała na niego żałośnie i dostrzegła w jego twarzy odbicie swoich własnych pragnień. To było straszne widzieć, że odczuwa ten sam ból co ona. — Ale nie chcę cierpieć już nigdy więcej. Śmierć Pete'a była dla mnie zbyt silnym ciosem.

Esteban drgnął i ścisnął jej rękę.

— Zamierzasz stąd wyjechać, prawda? — spytała cicho. — Wiem o tym. To tak samo pewne jak fakt, że słońce zachodzi każdego wieczoru. A dla mnie najważniejsze jest, abym potrafiła się powstrzymać przed błagalną prośbą: „Nie odchodź” Pozostaw mi, proszę, choć odrobinę godności.

— Annie — szepnął drżącym ze wzruszenia głosem. — Ogromnie się mylisz. To ja jestem tym, który chwyci cię kurczowo za rękę i będzie prosił o twoją miłość. Podążę za tobą wszędzie, dokądkolwiek zechcesz się udać. Ludzie zaczną myśleć, że jestem częścią twojej garderoby. — Lekko dotknął jej ust. — Nigdy cię nie opuszczę — zapewnił, a jej twarz rozkwitła w uśmiechu. — Obiecuję ci to.

Musnął ją delikatnie wargami, z początku jeszcze nieśmiało, lecz po chwili zatopił się w jej ustach z taką siłą, że niemal straciła oddech. Poczwała, jak tłące się w niej zarzewie namiętności nabiera płomiennej siły. Całowała go z oddaniem, nie zważając na to, że znajdują się w centrum publicznego parku. Esteban za pomocą czarodziejskiej mocy przeniósł ich oboje w inny czas, w świat mglistych postaci i gorących uczuć. Ludzie wokół nich bawili się dalej przy dźwiękach wesołej muzyki, lecz oni pograżyli się w otchłani innego wymiaru.

Esteban otoczył ją ramieniem, przycisnął mocno do siebie i szeptał jej do ucha najpiękniejsze obietnice. Poczwała, jak miłość zmieszana z pożądaniem rozchodzi się pulsującym strumieniem po całym jej ciele. Kolana ugięły się pod nią i miała wrażenie, że serce wyrwie się nagle z jej piersi. Burzliwa fala namiętności zatopiła ją bez reszty w swoich odmętach.

— Annie! — szepnął Esteban, zagłębiając dłoń w jej puszystych włosach. — Gdy mnie całujesz, wszystkie myśli uciekają mi z głowy.

— Połowę pocałunków zawdzięczam tobie — zażartowała.

— Tą większą połowę, oczywiście — rzekł z uśmiechem i oparł szorstki podbródek na jej ramieniu. — A teraz powiedz mi, czyż nasza randka nie jest wspaniała?

— O tak! — szepnęła z przejęciem.

— Ten twój fatałasek rozpała moje uczucia — powiedział z naciskiem, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

— Och, ręczę ci, że i on płonie — odparła i zamknęła oczy. Esteban wybuchnął śmiechem.

Dopiero deszcz, który lunął późnym popołudniem, zmusił ich do powrotu. Padało przez całą noc Annie obudziła się nad ranem, kiedy za oknem było jeszcze ciemno. Wsłuchana w jednostajne bębnienie kropel o parapet poczuła nagle, jakby za sprawą szóstego zmysłu, że Esteban już także nie śpi, że wstał i przechadza się gdzieś po domu. Podniosła się na łóżku, pragnąc z panującej dookoła ciszy wyłowić jakieś dźwięki. Po chwili doszedł do niej ledwie słyszalny odgłos otwieranych drzwi. Położyła się uspokojona i w wyobraźni ujrzała Estebana, stojącego w otwartych drzwiach pośród powoli ustępujących ciemności.

O poranku deszcz wyraźnie osłabł, a w końcu zupełnie przestało padać. Esteban wyszedł do ogrodu, a Annie nastawiła ekspres do kawy. To był ich poranny rytuał, podobnie jak złośliwe uwagi Ramireza, że nareszcie nauczyła się parzyć przyzwoitą kawę oraz jej sugestię, aby raczej pił lukier, bo nie spotkała jeszcze nikogo, kto by tyle słodził. Kończyło się to zwykle tym, że podchodził do niej z miną skruszonego urwisa i prosił o kolejną filiżankę.

Chmury wciąż zasnuwały niebo, a dobiegające z oddali grzmoty zapowiadały kolejną burzę.

Tego dnia Annie nałożyła obcisłe dzinsy i czerwoną bluzę.

Kosmyki ciemnych włosów przylegały do policzków. Wyjrzała przez okno w poszukiwaniu Estebana. Przez chwilę rozglądała się po ogrodzie. Wreszcie dostrzegła go, jak klęcząc przy grządce, wpatruje się w swoje warzywne poletko. Wysiał bowiem przed kilkunastoma dniami nieco rzodkiewki oraz sałaty i teraz oto z czarnej gleby poczęły wydobywać się jasnozielone kiełki. Powinien był raczej zostać farmerem, a nie poszukiwaczem przygód, który prędzej czy później trafi do więzienia. Ten wieczny włóczęga miał przecież nagle od niej odejść. Wystarczy tylko, by sobie uświadomił, że wcale jej nie kocha.

— Hej, panie McDonald! — zawołała, podbiegając do niego. Jej stopy zagłębiły się w śliskiej, gąbczastej trawie. — Kawa na stole — oznajmiła.

Dał jej znak, żeby podeszła bliżej.

— Spójrz na to! Wkrótce, jak się nieco ochłodzi, posadzę tu sałatę oraz buraki. A oto moja sałata! — oświadczył triumfalnie.

— Wspaniała — odrzekła Annie, tak modelując głos, aby sądził, że zrobiło to na niej olbrzymie wrażenie. — Może założymy hodowlę jarzyn? Wynająłbyś kilku pomocników.

— Świetnie — odparł z uśmiechem i przytulił ją do siebie. Jego odkryta klatka piersiowa, porośnięta gęstymi włosami, pachniała wilgotną ziemią. — Poczekaj tylko, a za rok ujrzysz tu przepiękny ogród pełen wonnych róż *Maravilloso!* Popatrz! — Wyciągnął z tylnej kieszeni katalog kwiatów i przerzucał strony tak długo, aż znalazł to, czego szukał. — Co o tym myślisz? — zapytał z uśmiechem. — Moglibyśmy zamówić pięć albo sześć spośród tych ciemnoczerwonych. A także kilka białych. Do tego jeszcze nieco żółtych i, oczywiście, ze dwie sztuki z gatunku pnących.

— Całe podwórko zarośnięte różami — zaprotestowała.

— Naturalnie! — wesoło odrzekł Esteban. — Gdy tylko otworzysz okno, cały dom wypełni się upojnym zapachem.

Annie nie wierzyła, że Esteban mógłby zostać tak długo, aby na wiosnę posadzić róże. Jeszcze mniej prawdopodobne było to, że następnego lata oboje będą cieszyć się na widok różanych pąków i czuć ich piękną woń. Esteban był jednak tak przejęty swoim pomysłem, że i w jej sercu rozbłysła mała iskierka nadziei.

Nagle cała okolica pogrążyła się w mroku. Burzowe chmury zaczęły gęstnieć nad ich głowami, a na horyzoncie, gdzieś ponad rzeką, zajaśniały błyskawice. Rozległy się grzmoty. Zwielokrotniony echem huk, podobny był do łoskotu staczających się ze wzgórza granitowych głazów. Annie poczuła, że Esteban ją obejmuje. Kiedy spojrzała na niego, zauważyła, że twarz mu pobladła, a oczy nabrały barwy głębokiej i smutnej szarości. Gdy wypuścił ją z ramion, odwróciła się i ujrzała nagle przed sobą Jeffa Andersona, sąsiada z naprzeciwka. Jeff miał na sobie zielony kombinezon i niósł przewieszoną przez ramię, zwiniętą w ósemkę linę.

— Cześć! — krzyknął, machając do nich przyjaźnie. — Wyjeżdżam dzisiaj na dwutygodniowe szkolenie wojskowe. Sue nalegała, abym przed opuszczeniem domu rozwiesił sznur do suszenia bielizny. Ciągle jej powtarzam — dodał z przekąsem — aby kupiła pieluchy jednorazowego użytku, ale ona się uparła i twierdzi, że woli pracować.

Annie roześmiała się i powiedziała parę uprzejmych słów, lecz wciąż dręczył ją niepokój o Estebana. Nie mogła zrozumieć jego nagłego przerażenia.

Oddychał ciężko i bardzo nierówno. W pewnej chwili wykonał kilka kroków do tyłu i zaczął się oddalać, znikając powoli z jej pola widzenia. Annie pragnęła skończyć rozmowę z Jeffem, dogonić Estebana i zapytać, co się stało.

W górze rozległ się złowieszczy grzmot i pierwsze krople deszczu przeszły ją niczym szpilki. Przerażona rozejrzała się dookoła, uważnie lustrując okoliczne pagórki, lecz wszędzie było pusto. Esteban zniknął bez śladu. Jeff pomachał do niej.

— Muszę już iść — rzekł. — Ale zdaje się, że Sue nie będzie dzisiaj potrzebowała tego nieszczęsnego sznura.

Annie pomachała dłonią i co sił pobiegła w stronę domu. Serce biło jej mocno, prawie wrywając się z piersi. Zgrzana pędziła poprzez zagony i nie czuła nawet chłodu zimnego deszczu, który strugami lał się z ciemnego nieba.

— Esteban! — krzyknęła, gwałtownym ruchem otwierając drzwi. W kuchni go nie było. Na widok swej pani Georgia stanęła na tylnych łapkach i skomląc prosiła, by się z nią pobawiła.

— Później, mała — odprawiła ją Annie.

Znalazła go w dużym pokoju. Siedział przy kominku, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Esteban — rzekła cicho, lecz on zdawał się nic nie słyszeć, jakby miał wysoką temperaturę i Annie poczuła, że ją samą przebiega lodowaty dreszcz. — Mój Boże, Esteban!

Zbliżyła się do niego i przystanęła na małym dywaniku. Uniósł nieco głowę. W jego zmienionej twarzy kryło się więcej lęku i bóleści niż kiedykolwiek przedtem.

— Esteban, co się stało? — uklękła przy nim, ujmując jego dłoń.

— Uwierz mi, próbowałem... — zaczął, jak gdyby chciał się przed nią usprawiedliwić. Zacisnął powieki, a po chwili spojrzał na nią poważnie. — O, Annie! Myślałem, że sam sobie z tym poradzę. Bez obciążania ciebie. Sądziłem, że udało mi się to pogrzebać gdzieś głęboko, na samym dnie duszy. Aby już nigdy nie mogło mnie gnębić. Ale dzisiaj... — westchnął i opuścił głowę.

— Powiedz mi, proszę, o wszystkim — zachęcała go Annie. — Powin-
nam wiedzieć, dlaczego tak cierpisz. Pomogę ci to przezwyciężyć.

— Annie! — wykrztusił zachrypniętym głosem. — Tak się wstydzę, że
nie mogę uporać się z tym samodzielnie!

— Nie zamykaj się przede mną, Esteban — poprosiła. — To przez wię-
zienie, prawda? Coś przypomniało ci ten koszmar.

Przytaknął gwałtownym skinieniem głowy, a z jego piersi wyrwało się
głębokie westchnienie.

— Gdy ujrzałem Jeffa — zaczął — ubranego w ten sposób... i ze sznu-
rem... wszystko odżyło w mej pamięci. Ten strach i poczucie beznadziejności.

— Opowiedz mi o tym — nastawała. — Musisz to z siebie wyrzucić!

Zapadła przejmująca cisza. Esteban długo siedział w milczeniu z twarzą
ukrytą w dłoniach, lecz wreszcie zdecydował się mówić.

— W celi nie było ani jednego okna. Od świata oddzielały mnie wielkie
drewniane drzwi z małym prostokątnym otworem, poprzez który strażnik po-
dawał mi każdego ranka miskę zimnego posiłku. Potem powracał, aby ode-
brać opróżnione naczynie. Przez cały czas pobytu w więzieniu czekałem.
Nigdy nie zapomnę także światła.

— Światła? — spytała zafrapowana. — Jakie światło?

— Przerażliwie jasna żarówka wisiała u sufitu. Nigdy nie gasła, nawet na
sekundę. Ani chwili ciemności, ani chwili spokoju. Wciąż ta przekłeta ja-
sność! Karaluchy i pająki nauczyły się po jakimś czasie ignorować ją. Ale ja
nie. To było straszne! — zakończył z jękiem, a Annie zrozumiała, dlaczego
nienawidził jaskrawo świecących żarówek. — Przez pierwsze dni po wyjściu
na wolność widziałem to światło, nawet gdy zamknąłem oczy.

Spojrzał na nią. Twarz jego była tak poważna, jak tego dnia, gdy przybył
do Simpson.

— O, Annie — szepnął przesuwając się, aby usiąść obok niej. — Każde-
go dnia musiałem z żelazną konsekwencją powtarzać sobie, że jestem męż-
czyzną, że jestem człowiekiem. A gdy przychodził strażnik...

Annie ujęła obie jego ręce i podniosła do ust. W jego oczach dostrzegła
paniczny strach, jak gdyby nie mógł znaleźć dla siebie bezpiecznego miejsca.

W tym ubraniu Jeff wyglądał jak strażnik, prawda? — chciała się upew-
nić Annie.

— Przestań! — skarcił ją. — Nie myśl już o tym nigdy więcej.

— Musimy o tym myśleć — zaprotestowała cicho. — Jest to jedyny sposób, aby uwolnić się od twojej depresji.

Annie wiedziała, że przywołanie wspomnień z więzienia jest dla niego bardzo bolesne, lecz przecież ból często zwiastuje powrót do pełnego zdrowia. Ileż to razy cierpiała, gdy przypominała sobie Pete'a po jego śmierci! Tłumienie emocji było jednak najgorsze, w każdej bowiem chwili mogą one odnaleźć dostęp do świadomości.

Esteban milczał przez dość długi czas, lecz z wyrazu jego twarzy można było odczytać, że usilnie stara się zadławić powracające obrazy z przeszłości. Z pewnością nikomu o tym przedtem nie mówił, nawet ludziom z Departamentu Stanu. Annie przycisnęła jego dłoń do policzka.

— Gdy odgłosy kroków — podjął po chwili — rozlegały się poza porą roznoszenia posiłków, wiadomo było, że nie wróży to niczego dobrego. Czasami słyszę we śnie to głuche stapanie i boję się wówczas, że przyszli po mnie. — Patrzył przed siebie zamglonymi oczyma i zdawało się, że naprawdę przeżywa jakąś koszmarną senną wizję. — Wybierali przypadkowo jednego z nas — było im zresztą obojętne, którego wezmą — i prowadzili takiego niefortunika do pomieszczenia wyłożonego kamiennymi płytami. Strażnicy ubrani byli po wojskowemu. Jako prawdziwi rewolucjoniści z dumą nosili te swoje mundury. I mieli ze sobą... zwinięte liny. W ich pojęciu wszyscy byliśmy bogaczami. Twierdzili, że część majątku otrzymaliśmy w spadku po zamężnych przodkach, część zdobyliśmy dzięki nieuczciwym transakcjom finansowym, ale przede wszystkim wyzyskiwaliśmy biednych robotników. Nie czynili pomiędzy nami różnicy. Mieliśmy pieniądze, i to wystarczyło, aby nas wszystkich znienawidzić. — Esteban mówił z wyraźnym wysiłkiem. — Więźnia, który trafił do owego pomieszczenia, rzucali na podłogę i związywali mu za plecami nadgarstki z kostkami stóp. Podłoga była zawsze taka zimna! Czuję ten chłód do dzisiaj. A potem bili. Używali przeważnie drewnianych pałek, lecz jeden ze strażników z upodobaniem kopał nas ciężkimi butami. Kiedyś złamał mi dwa żebra. Po takim obiciu mogłem mieć przynajmniej pewność, że przez tydzień dadzą mi spokój.

Annie nawet nie spostrzegła, kiedy zaczęła płakać. Dłonie miała mokre od łez, a kilka kropli spadło również i na rękę przyjaciela.

— Najgorsze było to — rzekł łamiącym się głosem — że powoli zmieniłem się w zwierzę. Doszło do tego, że gdy tylko posłyszałem w korytarzu

głuche kroki strażników, modliłem się, aby zabrali kogoś innego, aby mnie oszczędzili. Nienawidziłem siebie za to.

— Już cicho, nie mów nic więcej — szepnęła, aby go uspokoić. Trapiło ją to, że tyle wycierpiał, a ona mogła jedynie płakać

— Annie — powiedział poważnie, ściskając jej rękę. — Dzięki tobie udało mi się przeżyć.

— Nie mów tak — załkała. — Proszę cię!

— Ocalałem nie tylko dlatego, że pomogłaś mi się stamtąd wydostać. Byłaś dla mnie czymś więcej. Myślałem o tobie przez cały czas pobytu w więzieniu. Wymawiałem twoje imię, chodząc tam i z powrotem po mojej ciasnej celi. A gdy jaskrawe światło żarówki oślepiająco odbijało się od ścian, zapomniałem o wszystkim, lecz twoją twarz wciąż miałem przed oczyma. Kolega z sąsiedniej celi załamał się... Popelniał samobójstwo. Ale ty byłaś na szczęście przy mnie. To znaczy wspomnienie o tobie, tak żywe w mojej wyobraźni. Widzisz więc, ile dla mnie znaczysz.

Annie siedziała zdumiona, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Patrzyła na jego smutną, bezbronną twarz. Ten człowiek, tak dobry i delikatny, związał z nią niegdyś swoje najżywotniejsze nadzieje.

— O, Annie! — szepnął. — Rozbudzone pragnienia nigdy nie wygasają. Dziś czuję do ciebie to samo co wtedy, gdy siedziałem w więzieniu. — Pochylił głowę i pocałował jej dłoń, wciąż jeszcze mokrą od łez. — Nie płacz, Annie — powiedział stanowczym tonem. — Zniosę wszystko, ale nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

— Esteban... — przytuliła twarz do jego policzka. Zwrócił się ku niej i delikatnie zaczął szukać wargami jej ust.

Annie puściła dłoń Estebana i mocno się do niego przytuliła. Ukryta w jego silnych objęciach z miłością pogłaskała go po plecach, wyczuwając pod palcami gładką, napiętą skórę. Esteban wsunął rękę pod jej przemoczoną bluzkę, podwinął ją nieco i pod koronką stanika odnalazł jej piersi. Delikatnie pobudzał sutki, które pod jego dotykiem odżyły.

— Jesteś taka prawdziwa, moja Annie — szepnął. — Nareszcie mam cię w ramionach. — Przytulił ją do siebie z czułością. Bijący od niego żar rozpałał narastającą w niej namiętność. Nieśmiało dotknęła jego gęsto owłosionej piersi, a potem lekko przesunęła dłonią w dół, sięgając aż pod pasek spodni.

Jęknął i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem. W jego oczach ukrył się ból pomieszany z pożądaniem.

Annie rozchyliła usta i spragniona miłosnych odkryć zatopiła się w zmysłowej penetracji. Całowała jego ramiona, dłonie, brzuch, a na końcu tak kiedyś bez litości obite żebra. Na skórze widniały jeszcze blizny, smutna pamiątka po więziennych przeżyciach. Delikatnie musnęła te miejsca, pragnąc raz na zawsze uśmierzyć dręczący go od miesięcy ból.

Drżącymi palcami próbowała rozpiąć mu spodnie.

— Zaczekaj — szepnął. — Zbyt długo nie miałem kobiety. Nie chciałbym cię rozczarować.

Zaprzeczyła gwałtownym gestem.

— Dzisiaj jestem cała dla ciebie. Rozbierz mnie! Ściągnął z niej bluzkę, rozpiął stanik i odsłonił kształtne piersi.

— A teraz resztę — uśmiechnęła się uwodzicielsko. Podniecał ją sam widok jego twarzy. Kopnęła na bok buty i uniosła nieco biodra, aby mógł zsunąć z niej rajstopy. A kiedy w końcu, biorąc głęboki oddech, zdjął z niej ostatnią część garderoby, nie mógł opanować zachwytu.

— O Boże! — zawołał. — Czy ty masz pojęcie, jaka jesteś piękna?

Zawstydzona tymi słowami nie była w stanie uporać się z zamkiem jego spodni. Musiał jej pomóc. A gdy wreszcie odrzucił ubranie i stanął przed nią nagi, w jej oczach pojawił się błysk uznania. Po chwili jednak dostrzegła kolejne blizny i łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Miała nadzieję, że po tym jak opowiedział jej o pobycie w więzieniu, zadawniony ból przestał być tak dokuczliwy. Pragnęła mu ofiarować coś, co mogłoby choćby tylko na pewien czas przysłonić gorzkie wspomnienia. Kochała go i bardzo chciała mu się oddać.

Spojrzała mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się. Pochyliła głowę i pocałowała jego brzuch, biodra, a potem, schodząc nieco niżej, jego twardą męskość.

— Annie — szarpnął się spazmatycznie. — To się dzieje za szybko!

Położyła się na plecach i przyciągnęła go do siebie.

— Nie — odrzekła, kładąc mu palec na ustach. — Nie, jak na pierwszy raz.

Rozsunął kolanami jej uda i spojrzał na ciemny trójkąt podbrzusza. Gdy w nią wszedł, starał się poruszać bardzo powoli... Po kilku konwulsyjnych

pchnięciach krzyknął, wyprężył ciało i wreszcie odetchnął z ulgą. Spoczął przy niej i czule pogłaskał ją po głowie.

— Wybacz mi — szepnął. — Zawsze, gdy o tym myślałem, wyobrażałem sobie nie kończącą się miłosną ekstazę. A to było krótsze od przelotnego deszczu — zaśmiał się smętnie.

— Nie szkodzi — odparła łagodnie. Kiedy miała go w sobie, doznała uczucia tak wspaniałego zjednoczenia, że przez chwilę był jakby jej własnością. Powolnym ruchem sięgnęła po majtki, lecz on chwycił je i odrzucił na bok. Burza przetaczała się teraz ponad ich głowami. Deszcz chłostał szyby okienne z niespotykaną siłą, a dudniące odgłosy grzmotów rozlegały się prawie bez przerwy.

Esteban potrząsnął głową, przyciągając natychmiast jej wzrok.

— Teraz będziemy się kochać tak, jak to sobie wymarzyłem — powiedział.

Zanim zorientowała się w sytuacji, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Pożądała go zbyt mocno, aby się opierać. Gdy położył ją na chłodnym prześcieradle, poczuła nieodparte pragnienie zatopienia się z nim w erotycznym szale. Boże, jak bardzo tego chciała!

Esteban stał przy łóżku w lekkim rozkroku i patrzył na nią rozognionymi oczyma.

— A teraz — szepnął, kładąc się przy niej — zrobię to! — i pogłaskał ją po policzku.

Wolnym ruchem przesunął dłonią wzdłuż jej ciała, dotykając piersi, brzucha, bioder, aż wreszcie krzyknęła i splonęła ze wstydu, gdy sięgnął dłonią pomiędzy jej uda.

— Myślałem, że to lubisz — rzekł, uśmiechając się do niej. — A co powiesz, jeśli cię ugryzę?

Teraz, gdy robił to ustami, była jeszcze bardziej podniecona. Kąsał ją delikatnie w kark, brzuch oraz w rozgrzane podbrzusze.

— A to na deser — szepnął, pochylając się nad jej piersiami. Odchodziła niemal od zmysłów, gdy całował ją bez opamiętania, podobny do uczującego barbarzyńcy.

— Esteban — jęknęła, rozgorączkowana, zatopiona w magicznej ekstazie. — Chcę ciebie.

W chwili, gdy była już na skraju szaleństwa, przestał nagle i uśmiechnął się do niej.

— Czy jesteś gotowa? — zapytał głosem pełnym pożądania. — Czy mogę?

— Tak — szepnęła. — Wejdz we mnie. — Przywarła do jego ust i zatonęła w namiętym pocałunku. Kiedy był w niej, stał się tak ostrożny i opamietany, że wciąż czuła niedosyt. Wyprężyła się pod nim, próbując go ponaaglić, lecz on poruszał się lekko i powoli, aż doznała cudownego wrażenia, że jest kochanką niebiańskiego wiatru. Coś w głębi serca ostrzegało ją jednak, że ta rozkosz nie może trwać wiecznie. Pragnęła, aby Esteban pozostał w niej na zawsze, lecz skoro było to niemożliwe, starała się wykraść od niego jak najwięcej miłości i zmysłowych pieszczot.

Dzisiaj czuła się szczęśliwa, ale co zdarzy się jutro?

Odchyliła głowę do tyłu i sprężyste wygięła się w łuk. Chwyliła dłońmi jego biodra i, wpijając mu paznokcie w ciało, przyciągnęła go mocniej do siebie. Gdy wszedł w jej rytm, poczuła bolesną rozkosz, która z każdym jego ruchem pulsującym strumieniem rozpływała się po niej.

Tak porywczej, głodnej i oszalamiającej miłości nie zaznała nigdy przedtem. Esteban był najwspanialszym mężczyzną, z jakim się kiedykolwiek kochała. Miała go wyłącznie i całkowicie dla siebie. A gdy burza, którą rozpętali, wciągnęła ich w swój najgłębszy wir, odsunęli się oboje naładowani boską energią poza granice świadomych doznań.

— Moja słodka Annie! — szepnął, gdy leżeli w czułym uścisku. Patrzył na nią zamglonymi oczyma.

Annie spojrzała na Ramireza. Z lękiem myślała, co się z nią stanie, kiedy przyjdzie na niego czas i będzie musiał odejść. Jaka niepewna przyszłość ją czeka!

Cicho wymknęła się z łóżka i nałożyła suche ubranie, dzinsy i różową bawełnianą koszulę. Przeszła się po pokoju i przystanęła przy oknie, kilka metrów od miejsca, gdzie wezbrała w nich pierwsza fala miłosnego uniesienia. Patrzyła na padający deszcz. Dom ze śpiącym w sypialni Estebanem wydał jej się teraz za mały, nałożyła więc buty, na ramiona narzuciła wielki przeciwdeszczowy płaszcz i wyszła.

Pod gęstym baldachimem klonowych liści było już prawie sucho. Annie usiadła na ławeczce, której stare deski wydały cichy odgłos. Zaczęła się zastanawiać nad tym, co zrobiła. Nigdy wcześniej nie kochała się z mężczyzną tylko dlatego, że była ku temu sposobność. Gdy przyjaciele opowiadali jej o swoich erotycznych podbojach, czuła się trochę jak panienka z epoki wiktoriańskiej. Nie potrafiła pójść do łóżka z pierwszym lepszym facetem, aby znudzić się nim już po tygodniu i zaraz potem czatować na następną zdobycz. Swym wybrańcom oddawała się całym sercem i duszą, bezgranicznie i do końca. A teraz szaleńczo zakochała się w Estebanie Ramirezie. Nie miała jednak złudzeń. Wiedziała, że jej przyszłość nie będzie sielską, a to dlatego, że zbyt dobrze знаła dotychczasowe życie Estebana. Dziesiątki kobiet uganiały się za nim, on zaś przystawał tylko na chwilę, aby przespać się z którąś z nich. Potem ruszał w dalszą drogę. Nigdy się w żadnej nie zakochał i Annie ani przez moment nie wierzyła, że ona mogłaby się okazać tą jedyną. Z obawą oczekiwała nadejścia dnia, kiedy Esteban wreszcie zrozumie, że to, co odczuwa, nie jest miłością, lecz jedynie formą przyjaźni, iskrą, jaka zabłysła na moment w wyraźnie dogłębnej wdzięczności. Oczywiście, pozwoli mu odejść. To nieważne, ile będzie musiała wycierpieć, nie może przecież zatrzymać człowieka, który jej nie kocha.

Usłyszała kroki. Ktoś szedł ogrodową ścieżką.

Gdy podniosła wzrok, ujrzała Estebana. Pochylony nad listowiem, mokry i ociekający kroplami deszczu podążał w kierunku jej ławki. Przysiadł obok i spojrzał jej w oczy.

— Co się stało, kochanie? — zapytał i głęboko wciągnął powietrze. — Gdy się obudziłem, nie było ciebie.

— Lubię deszcz — odparła, nie patrząc na niego. — Po prostu miałam ochotę wyjść. Ale przemokłeś! — powiedziała, dotykając jego koszuli. — Dlaczego nie nałożyłeś kurtki?

— Martwiłem się o ciebie — rzekł z uśmiechem. — Przeląknęłam się, kiedy spostrzegłam, że gdzieś zniknął. Tak jak w złym śnie.

Annie westchnęła.

— A co się stanie, kiedy ja się obudzę, a nie będzie ciebie?

— Annie, co ci przychodzi do głowy? — zwrócił jej twarz ku sobie.

— Prędzej czy później staniemy w obliczu takiej sytuacji. Jesteśmy ze sobą przecież jedynie tymczasowo.

— Czy zamierzasz mnie rzucić? — spytał zaniepokojony. Przytrzymał jej podbródek i zmusił, aby na niego spojrzała.

— Jesteś szalony, Esteban. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? — Odsunęła od siebie jego dłoń. — Ja natomiast czuję się związana z Simpson — podjęła spokojnie. — Czy wiesz, co to znaczy?

— Że jesteś bardzo sympatyczna — uśmiechnął się, dotykając jej policzka.

— Nie żartuj, Esteban — powiedziała stanowczo, szturchając go łokciem. — Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. To małe miasteczko zawsze, od kiedy pamiętam, było ciche, bezpretensjonalne i trochę jakby... staroświeckie. Również i ja jestem właśnie taka.

— Czyżbyś sądziła, że naśmiewam się z Simpson? — zapytał urażony. — Annie, nie przyjechałem tu przecież po to, aby obrazić kogokolwiek. Uwierz mi. Nie mam najmniejszego zamiaru ranić twych uczuć.

— Ale zrobisz to, kiedy oświadczysz mi, że masz zamiar wyjechać.

— Kto ci powiedział, że wyjeżdżam? — próbował spojrzeć jej w oczy, lecz odwróciła twarz ku rosnącym obok winoroślom.

— Znam cię, Esteban. Zanudziłbyś się tutaj na śmierć.

— A więc wiesz o mnie wszystko? — rzucił ironicznie.

— Chcesz posłuchać? — spytała. — Z początku, o ile dobrze pamiętam, mieszkałeś w Chicago. Potem, znudzony życiem w jednym miejscu, włączyłeś się długo po świecie. Wciąż miałeś jakieś przygody, z których ostatnia to ta,

O której właśnie, mówimy. Wyjechałeś do Maragua, żeby ratować ukochaną kobietę — nie było cię przecież na moim

1 Pete'a ślubie. Zawsze szukałeś mocnych wrażeń, uwielbiałeś niebezpieczne sytuacje. Właśnie taki jesteś.

— Wstałem właściwie dlatego, że dzwonił Spud. Chce wraz z Elwirą przyjechać tu na kilka dni. Przyszedłem, aby cię o tym powiadomić.

— Niepotrzebnie się męczyłeś — wybuchnęła. — Na miłość boską, czy wiesz, co ty narobił? Teraz Spud wie, że tu jesteś.

Wstała z ławki i pospieszyła ku domowi. Esteban podążył za nią.

— Telefon dzwonił, więc sięgnąłem po słuchawkę — wyjaśnił poirytowany. — Zgodnie ze starym amerykańskim zwyczajem, podchodzę do telefonu, kiedy słyszę, że dzwoni.

— Zapomniałeś chyba o innym amerykańskim zwyczaju. Gdy rodzice dowiedzą się, że ich córka mieszka z obcym mężczyzną, nierzadko sięgają po broń. A Spud jest przecież emerytowanym marynarzem!

— Był zaledwie kucharzem okrętowym. Nie wyceluje chyba we mnie.

— Nie w tym rzecz — zatrzymała się, aby podkreślić wagę swych słów.
— Co ja mu powiem? Że wpadłeś do mnie i postanowiłeś zatrzymać się na dłużej, ponieważ parzę taką dobrą kawę?

— Annie, jestem przecież twoim starym przyjacielem. Spud mnie pamięta i nie sądzę, żeby chciał mnie stąd wyrzucić.

— Nie znasz Spuda — spojrzała na niego ostro, wciąż silnie zdenerwowana.

— Kochanie — rzekł spokojnie Esteban — wiem, jacy są mężczyźni, i doskonale też pamiętam twojego tatusia. To przyzwoity i uczciwy człowiek. Nie skrzywdzi kogoś, kto zaopiekował się jego córką.

Nieufnie spojrzała na niego, lecz zdawała się być przekonana. Potrafił tak przedstawić każdą sytuację, że znikwały jej wszelkie obawy.

— Przemokłeś do nitki — mruknęła jeszcze nieco poirytowana. — Wracajmy do domu.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał. — Zapomnij o Maraqua! — powiedział wzburzonym tonem, podnosząc się z miejsca.

— Nie mogę — odparła, chwytając go za ramię. — Jak mogłabym zapomnieć o Natividad?

Spojrzał na nią ponuro.

— Tamta kobieta nie potrzebowała pomocy. Ty natomiast, Annie, sama sobie nie poradzisz.

— Czyżbyś chciał się o mnie zatroszczyć? — spytała przez zaciśnięte usta.

— Tak — odparł łagodnie. — Ponieważ pragnę, abyś wyzbyła się smutku, w którym jesteś wciąż pogrążona. Chcę otrzeć łzy, jakie bezustannie wypłakujesz. — Przyklęknął na ziemi, aby móc spojrzeć jej w oczy. — Annie, mój wróbelku! Wydaje ci się, że mnie poznałaś, ale chyba jesteś w błędzie. — Gdy ujął jej dłoń, poczuła, że jej serce zabiło mocniej. — Dlaczego sądzisz, że nie lubię Simpson i noszę się z zamiarem powrotu do Chicago? W tych stronach naprawdę bardzo mi się podoba.

— A ja byłam pewna... — ośmieliła się, żeby na niego spojrzeć.

Esteban westchnął.

— Sam się często zastanawiałem, czy rzeczywiście mam taką dziką naturę. Wielokrotnie przecież żałowałem, że ani ty, ani Pete nie zapraszaliście mnie nigdy do siebie, a ja ze swej strony... No cóż, to było straszne. Straciłem ciebie oraz Pete'a.

— A ten ślub? — spytała, patrząc mu w oczy. — Czekaliśmy na ciebie. Skoro tak bardzo zależało ci na przyjaźni z nami, dlaczego nie przyjechałeś?

— Cholera, co za pytanie! — skoczył na równe nogi. — Nie przyjechałem i tyle! — Deszcz nie przestawał padać. W pobliskich zaroślach rozległ się przenikliwy pisk jakiegoś ptaka. — Aha, prawie bym zapomniał — powiedział spokojnym już głosem.

Energicznie skinęła głową całkiem już pogodzona z jego ostatnim wy-
czynem.

— Chodźmy — ponagliła. — Bo się jeszcze przeziębisz.

— Hej, spójrz!

— Co takiego? — zatrzymała się z zaciekawiona.

— „Nagie damy” — odparł, wskazując na rabatkę. Amarylki przebudziły się ze snu. Kwietne kielichy spoczywały na smukłych, bezlistnych łodygach. Pojedyncza roślina dźwigała co najmniej siedem, osiem rozwiniętych pąków.

— Widzisz, kochanie? — rzekł, obejmując ją ramieniem. — Wszystko się zawsze dobrze kończy.

— Z pewnością — odparła z przekąsem. Lecz nawet cały ogród kaktusów nie zdołałby jej o tym przekonać.

Rozdział 8

Annie spojrzała pani Henderson przez ramię, aby ocenić jej pracę. Akwarelka w niczym nie przypominała stojącego na stole wazonu z bluszczem. Annie zastanawiała się, dlaczego jej uczennica zamalowała całe tło na różowo, lecz gdy zauważyła, że włosy pani Henderson są dzisiaj jeszcze bardziej różowe niż zwykle, uznała, że jej sąsiadka ma po prostu nadzwyczajne upodobanie do tej barwy.

Georgia drzemała na podłodze u stóp Estebana, który dołączył do grupy uczniów i zapamiętałe rozmazywał różnokolorowe farby na kartce. Wtem Annie usłyszała, że na podwórko wjechał jakiś samochód. Spojrzała na Estebana. To Spud i Elmira! Esteban posłał jej uspokajający uśmiech, który oznaczał: „Poczekaj, ja się tym zajmę”. Wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom. Georgia natychmiast pobiegła za nim.

Annie próbowała nadal prowadzić lekcję, ale jednocześnie przysłuchiwała się dobiegającej z zewnątrz rozmowie. Kiedy jednak poradziła panie Straley, aby dodała do obrazu więcej Spuda, uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku. Panna Straley spojrzała na nią zdziwiona, lecz Annie pospiesznie się poprawiła. Wciąż jeszcze ukradkiem wyglądała przez okno, lecz głosy przyjezdnych zaczęły po jakimś czasie dobiegać z drugiej strony domu, aż wreszcie całkiem umilkły. „Dokąd on ich poprowadził? — zastanawiała się Annie. — Czyżby na jakąś dłuższą wycieczkę?” Czuła rosnący niepokój.

— Annie, powinnam już chyba pójść do domu — powiedziała w pewnej chwili pani Stoveall. — Mam jeszcze trochę roboty przy sprzątanii.

Annie gwałtownie odwróciła się od okna.

— Przepraszam — rzekła usprawiedliwiająco. — Zdaje się, że właśnie przyjechali moi rodzice.

— Skoro masz gości — uśmiechnęła się panna Straley — możemy dzisiaj skrócić nasze zajęcia.

Annie miała wrażenie, że pakowanie farb trwa całą wieczność. Kobiety gawędziły jeszcze przez chwilę, lecz wreszcie wyszły. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Annie skoczyła do tylnego wyjścia. Dostrzegła Spuda i Elmirę, stojących razem z Estebanem na szczycie wzgórza. Spoglądali na pusty ogród i kiwali głowami niczym farmerzy, którzy szacują przyszłe plony. Gdy tylko Annie wspięła się do nich, Elmira objęła ją po matczynemu i przytuliła do siebie.

— Podziwiamy twój różany ogród — powiedziała, po czym odeszła od niej na krok, aby ocenić jej figurę. — Czy ty, moje dziecko, właściwie się odżywasz?

— Nie zapominaj, Elmiro, że Annie jest już dorosła — rzekł Spud i po przyjacielsku ścisnął dłoń córki. — Ramie powiedział nam, że towarzyszył ci tutaj przez ostatnie kilkanaście dni. — Spud nadał Estebanowi to przezwisko jeszcze przed laty, kiedy po raz pierwszy spotkali się w Chicago.

Elmira załamała ręce i z błyskiem w oku spojrzała na męża.

— Jednej rzeczy nigdy w życiu nie byłeś w stanie się nauczyć — rzekła. — Taktu i delikatności.

Annie zauważyła, że Esteban nie może powstrzymać uśmiechu. Jej rodzice rzadko kiedy zachowywali się powściągliwie. Annie podejrzewała, że ta cecha zaginęła w ich rodzinach już przed kilkuset laty.

Spud wyprostował swoje potężne ramię.

— Wyraz „delikatność” nie istnieje w słowniku uczciwego człowieka — rzekł z naciskiem. — Chciałem po prostu wyrazić swoje zadowolenie, że opiekowałem się tobą, Annie, ktoś odpowiedzialny. Wiesz przecież, jak bardzo się o ciebie martwię.

Annie podniosła wzrok na Estebana. Zastanawiała się, w jaki sposób zdołał on przekonać Spuda, że był jej aniołem stróżem, a nie prześladowcą.

— Żebyś tylko wiedział — Spud zwrócił się do Estebana — jak ona przez cały rok, bez chwili odpoczynku, zabiegała o to, aby zwolniono cię z pudła. Traktowała tę sprawę jak jakąś świętą misję.

Annie nerwowo poprawiła włosy. Aby przerwać Spudowi wywód, zakaślała i spytała go, czy mieli przyjemną podróż. Uciszył ją jednym ruchem ręki.

— Z tego, co zauważyłem — ciągnął — moja córka musiała dużo o tobie myśleć. Kiedy wylądowałaś za kratkami, rozpaczała tak bardzo jak wtedy, gdy straciła Pete'a. Ale sam przyznasz, że dzielna z niej dziewczyna!

Annie napotkała wzrok Estebana i poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Patrzył na nią tak pieszczotliwie, jakby zapraszał ją do łóżka, z którego wyszli nie dalej jak wczoraj. To dziwne, że Spud niczego nie zauważył i wciąż nie odgaduje jego prawdziwych intencji.

— Dzielna? — podjęła poirytowana. — Nie wyobrażaj sobie, tato, że jestem jakimś szeryfem z Dzikiego Zachodu!

— No już dobrze, kochanie — rzekł Spud, mrugając porozumiewawczo do Estebana. — Dlaczego kobiety tak się denerwują, kiedy prawimy im komplementy?

— Ponieważ są bardzo wrażliwe — pospieszył z wyjaśnieniem Esteban. — Dzielne, ale wrażliwe.

Annie posłała mu złowrogie spojrzenie. Esteban roześmiał się.

— Czy już widziałeś nasze „nagie damy?” — niewinnie zapytał Spuda.

Oczy Spuda rozszerzyły się ze zdziwienia niczym dwa napełnione powietrzem balony. Annie spuściła wzrok, błagając sama siebie o świętą cierpliwość.

Po dokładnym obejrzeniu amarylek i wysłuchaniu propozycji, dotyczących obsadzenia ogrodu najpiękniejszymi różami, Spud zaprosił wszystkich na obiad. Pojechali do małej restauracji, którą już od lat prowadził ich stary przyjaciel. Annie uśmiechnęła się, gdy weszła do środka. Podawano tu obiady w starym stylu. W sali jadalnej stało zaledwie kilka dębowych ławek, za to poustawiano mnóstwo stołków wzdłuż inkrustowanego kontuaru.

— Hubcap! — zawołał Spud od drzwi. Stojący za ladą krzepki mężczyzna w białym fartuchu i kucharskiej czapce odwrócił się od rożna i groźnie zmarszczył brwi. Popatrzył ze zdziwieniem na wchodzących, lecz po chwili jego twarz rozpromieniła się w pogodnym uśmiechu.

— Spud, ty stary koniu! — wrzasnął. — Czyżbyś wreszcie zawitał do Simpson?

— Nie inaczej. Przybyłem tu, aby sprawdzić, czy się wreszcie nauczyłeś, kiedy należy zdjąć z rusztu stek, zanim się stanie twardy jak podeszwa.

— Robię to, gdy uznam, że mięso jest już dobrze wysmażone, a nie kiedy może jeszcze wstać i odmaszerować z powrotem do rzeźni.

Spud roześmiał się tak donośnie, że nieomal stracił oddech.

— Przyjechałem, aby doprowadzić twoją knajpę do porządku — powiedział po chwili. — Jeśli jakaś stara buda miałaby potrzebować dobrego kucharza, to właśnie tutaj mógłbym znaleźć zatrudnienie.

— Gdybym ciebie przyjął, najdalej po dwóch tygodniach straciłbym całą klientelę — odciął się Hubcap.

Spud podszedł do kontuaru i uściśnął mu rękę. Kilku starszych mężczyzn siedziało przy końcu lady. Popijali piwo i z zaciekawieniem obserwowali całe zajście.

Spud przedstawił Estebana.

— Nie jest stąd — dodał poufale i wskazując na Annie wyjaśnił, że to właśnie „ta mała, niesforna dziewczynka, z którą tu przyjeżdżał każdego lata” Hubcap ścisnął dłoń Estebana i uprzejmym ukłonem powitał obie damy.

— Hej — zawołał Spud z błyskiem w oku. — Co powiesz na to, że i ja podejść do rusztu i razem przygotujemy coś smakowitego?

Wszyscy trzej mężczyźni znaleźli się w końcu za kontuarem. Spud postanowił bowiem dać Estebanowi lekcję prawdziwej, amerykańskiej kuchni. Annie wraz z Elmirą otrzymały tymczasem najlepsze miejsca w lokalu, dwa pierwszorzędne stołki ustawione naprzeciwko rożna.

Mężczyźni zaczęli się spierać o wybór potrawy. Spud miał ochotę na kotlety cielejące, Hubcap nalegał, aby przyrządzić wieprzowe bitki, a Esteban proponował smażonego kurczaka.

Elmira spojrzała Annie w twarz.

— Bardzo lubię twojego Estebana — powiedziała. — Wyrósł na naprawdę dobrego człowieka.

— On nie jest mój — odparła Annie, patrząc przed siebie.

— Naprawdę? Odniosłam wrażenie, że darzy cię głęboką miłością.

Annie poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

— Co on ci powiedział? — spytała.

— Nie musiał mi niczego mówić — uśmiechnęła się Elmira. — Wyczytałam to z jego oczu.

— Nic nie rozumiesz, mamo. Esteban dużo wycierpiał w więzieniu i chce mi się teraz jakoś odwdziaczyć za to, że pomogłam mu się stamtąd wydostać.

— Więc myślisz, że taki bystry chłopak jak Esteban mieszka z tobą już prawie miesiąc tylko po to, aby powiedzieć ci „dziękuję”? Dlaczego go w ten sposób oceniasz?

— Jesteśmy tak różni od siebie. Pod każdym względem — odparła smutno Annie. — Nie muszę ci przecież mówić, jakim byłam dzieckiem. Czułam się zawsze odrażona i nie wiedziałam, co to znaczy dom, dopóki ty i Spud nie wzięliście mnie do siebie. Esteban nie miał w dzieciństwie tak gorzkich przeżyć. Jego rodzice byli dosyć zamożni i bardzo o niego dbali. A poza tym, pojechał do Maraqua, aby tam znaleźć sobie kobietę.

— Moim zdaniem, Esteban przyjechał do Simpson, aby tutaj znaleźć sobie kobietę. I myślę, że człowiek, którego zamknięto na rok w więzieniu, jest w stanie zrozumieć wszystkie twoje uczucia.

Annie przesunęła palcem po kontuarze i potrząsnęła głową.

— To się stało za szybko. Czyżbyś sądziła, że mężczyzna po wyjściu z więzienia zdecyduje się na... wspólne życie z pierwszą kobietą, jaką spotka na wolności?

— Rozmawialiście o małżeństwie? Serce Annie gwałtownie załomotało.

— Nie. — Ponownie potrząsnęła głową.

— Smacznego, piękne panie! — rzekł Esteban, stawiając przed nimi dwa talerze. — Grzanki z serem — mój wkład do wspólnego posiłku. Jak widzicie, także potrafię coś przygotować.

— Twoje talenty nie znają granic — odparła Annie bez entuzjazmu, zmartwiona, że wyznała Elmirze, iż Esteban nie poprosił ją o rękę. Uświadomiła sobie przy tym, że gdzieś w głębi jej duszy jaśnieje promyk nadziei na poślubienie Estebana. Było to, oczywiście, głupie i naiwne. Jednak człowiek ten mocno działał na jej wyobraźnię. Owładnięta urokiem Ramireza musiała uwierzyć w różany ogród i w upojny zapach kwiatów, jaki miał się unosić przyszłego lata podczas wspaniałych zachodów słońca.

Spud wraz z Hubcapem przynieśli chleb i sałatki, wciąż jeszcze nie mogąc porozumieć się co do głównego dania. Wreszcie, po długich sporach zdecydowali się na spaghetti. Elmira wtrąciła się do ich rozmowy, aby podać najlepszy jej zdaniem przepis. Esteban tymczasem usiadł obok Annie.

— Wszystko w porządku? — zapytał cicho. Annie skinęła głową.

— Twój nosek znowu się robi różowy — stwierdził. Annie starała się nie zwracać na niego uwagi, lecz czuła, że podczas całego posiłku nie spuszcza z niej wzroku. Spud i Hubcap wesoło gawędzili o starych wędkarskich przygodach, lecz Annie siedziała cicho zamyślona. Jak przez mgłę dotarło do niej, że Spud wciągnął Estebana do rozmowy. Wkrótce rozpoczęły się opowieści o zakładaniu pułapek na węgorze i o połowach pstrągów w bystrych górskich strumieniach, a na koniec Spud wymógł na Estebanie obietnicę, że przyszłej wiosny wszyscy trzej, razem z Hubcapem, wyruszą nad- rzekę.

— O ile dobrze pamiętam, z twoich wypraw na ryby zawsze przywoziłeś znacznie więcej pustych puszek po piwie niż węgorzy — zauważyła Elmira.

— Wędkowanie to poważne zajęcie — powiedział Spud. — Należy się zaopatrzyć w odpowiedni sprzęt.

— W sklepie monopolowym — dodała Elmira i Spud wybuchnął śmiechem.

Opuścili restaurację dopiero późnym popołudniem. Hubcap stanął w drzwiach i na pożegnanie pomachał im wypalonym do połowy cygarem.

W domu Annie zajęła się przygotowywaniem posłania dla Spuda i Elmiry. Przeniosła do dużego pokoju wszystkie rzeczy Estebana, starając się nie patrzeć mu przez ten czas w oczy.

— Może się przejdziemy? — zaproponował Spud. — Ciekawe, co sły-
chać u Gracie i Eda?

— Ciocia z pewnością się ucieszy, gdy was zobaczy — powiedziała An-
nie. — Wybaczcie jednak, że nie dotrzymam wam towarzystwa. Chciałabym
wybrać się teraz na krótką przejażdżkę.

— Jadę z tobą — zawołał szybko Esteban i podążył za Annie w kierunku
drzwi.

— Nie zgubię się — rzekła oschłym tonem. Podeszła do samochodu.
Pragnęła być przez chwilę jak najdalej od domu, jak najdalej od Simpson.

— A jednak pojedę z tobą — nalegał Esteban. Otworzył drzwiczki i
usiadł na siedzeniu obok kierowcy. — Czy może chcesz ze mną walczyć? —
zapytał, kiedy wyjechali na szosę.

— Nie! Nienawidzę walki.

— No pewnie! — podjął natychmiast Esteban. — Jesteś na to za słaba.
— Spoglądał z uśmiechem przez okno, zadowolony, że do niego należało
ostatnie słowo.

— Skąd wiesz? — zapytała rozdrażniona.

— Zdażyłem już to zauważyć — odparł z triumfem w głosie. — Wciąż
cię przecież prowokowałem.

— Nie mam zamiaru z tobą walczyć.

— Nie kłam, Annie. Jest wiele rzeczy, które pragnęłabyś ze mną robić,
lecz przez swój niemądry upór nie chcesz się do tego przyznać.

Spojrzał na nią ponownie. Annie miała ochotę go uderzyć, lecz opanowa-
ła się i skupiła uwagę na prowadzeniu samochodu.

— Jesteś najbardziej denerwującym człowiekiem, jakiego znam — rze-
kła, przerywając kilkuminutowe milczenie.

— A wiesz dlaczego? — podjął Esteban. — Wyjaśnię ci to, Annie. Po-
nieważ nie chcę, abyś cokolwiek przede mną ukrywała. Jeśli jest między nami
coś nie w porządku, musimy otwarcie o tym porozmawiać. Tylko w tym wy-
padku będziemy w stanie ze wszystkim się uporać.

Annie musiała przyznać mu rację. Odkąd go zresztą pamiętała, Esteban
nigdy nie pozwalał jej zamykać się w sobie.

— Co o tym myślisz, *avita*? — zapytał, lecz ona pograżyła się w ponu-
rym milczeniu. Tak bardzo pragnęła mu odpowiedzieć. To przecież nie Pete,
ale właśnie Esteban był tym, który zawsze cierpliwie wysłuchiwał jej skarg i

żałów, a potem kiwał ze współczuciem głową i pocieszał: „Nie martw się mała, wszystko będzie dobrze”.

Tym razem jednak nie ufała jego zapewnieniom.

Jechali przez pół godziny, nie odzywając się do siebie ani słowem. Wtem Annie skręciła w ciemną, boczną uliczkę, instynktownie odnajdując drogę.

— Dokąd jedziesz? — zapytał Esteban.

— Niedaleko stąd jest mała lodziarnia.

— A więc jechaliśmy tyle czasu, aby kupić sobie lody? Do cholery, Annie, dlaczego zamiast tego nie możemy po prostu stoczyć porządnej walki?

— Już ci mówiłam — odparła. — Nie lubię walczyć. A to nie jest zwykła lodziarnia, tylko starodawny sklep kolonialny z lodami własnej roboty. Często po drodze do Simpson, zatrzymywaliśmy się tutaj z Pete'em.

— Aha — cicho westchnął Esteban. Annie spojrzała na niego. Wciąż patrzył przez okno, lecz zmarszczki w kącikach jego oczu wyraźnie się pogłębiły. Przypomniła sobie z bólem, że pragnął niegdyś przyjechać do Simpson, lecz ona nigdy go nie zapraszała.

Skręciła w kierunku jarzącego się bladoczerwonego neonu. Reklamowe światła psuły przyjemny wystrój z dawnych lat. Postęp wdzierał się, jak wiadać, wszędzie, nawet do starego sklepu z lodami.

Gdy wjechali na parking, Annie zmarszczyła brwi. Esteban spojrzał na nią pytającym wzrokiem, ale nie doczekał się odpowiedzi. Annie wysiadła z samochodu i stanęła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Cholera! — mruknęła. — Zamienili moją lodziarnię na gabinet masażu.

Esteban patrzył z pochmurną miną na drewniany domek pomalowany różową farbą. Jaskrawy neon informował, że znajduje się tutaj zakład o nazwie „Aksamitna Rękawiczka”.

— Cholera — powtórnie zaklęła Annie i uderzyła pięścią w maskę samochodu. Poczowała narastającą wściekłość, więc kopnęła z całej siły w zderzak.

— A niech to diabli! — Odwróciła się do Estebana. Patrzył na nią, trzymając ręce w kieszeniach. — Zlikwidowali moją lodziarnię — powiedziała bardziej do siebie niż do niego. — Mogli tu chociaż postawić jakąś dużą cukiernię, nawet zupełnie nowoczesną... ale gabinet masażu! To jest... To jest...

— Zbezczeszczenie — dokończył za nią Esteban. — Zażartowali sobie z twoich wspomnień.

— Tak — odpowiedziała niemal bezgłośnie i łzy popłynęły jej z oczu. Nie lubiła płakać. Nienawidziła palącego uczucia w gardle i tego bolesnego napięcia w klatce piersiowej. A przede wszystkim było jej wstyd przed Estebanem. Przypomniła sobie, jak płakała po śmierci Pete'a, a potem tego dnia, kiedy dowiedziała się o uwięzieniu Estebana. Płakała jeszcze niegdyś pewnej nocy, gdy Esteban opuścił Chicago powiadomiwszy ich, że nie może przybyć na ślub. Znieruchomiła, czując na ramionach jego dłonie.

— Uspokój się, kochanie — powiedział tkliwie. — Wciąż jeszcze, jak widzę, odczuwasz ból po utracie Pete'a.

— Nie — wyszeptała przez łzy — tamto już dawno minęło. — Była pewna, że Esteban, zmęczony jej towarzyszeniem, wsiądzie do autobusu i pojedzie zaraz do domu. On jednak przytulił ją mocno do siebie. — Moje życie wciąż tak bardzo się zmienia — załkała. Łzy spływały jej po policzkach, zraszając jego koszulę. — Wszystko odchodzi w przeszłość. Pete, stara lodziarnia, dawni przyjaciele. Taka jest kolej rzeczy...

— Jakich rzeczy? — zapytał łagodnie i pogłaskał ją po włosach. Wzruszyła ramionami.

— Czasy, kiedy chodziliśmy razem do szkoły, już nigdy nie wrócą. Wciąż myślę o tym, że nie przyjechałeś na nasz ślub... Potem trafiłeś do więzienia, a teraz wydaje ci się, że... Lecz naprawdę jesteś tylko wdzięczny za okazaną pomoc.

— Spójrz na mnie, Annie — powiedział miękkiem, głębokim głosem. Hiszpański akcent przydawał jego słowom pogodnej dźwięczności. Niechętnie podniosła wzrok. Gdy otarł jej łzy, uśmiechnęła się nieśmiało.

— Kocham cię, Annie. Czy o tym wiesz?

— Nie — potrząsnęła głową.

— Dlaczego moja mała *avita*, która jest najwspanialszą dziewczyną na świecie, wciąż uporczywie twierdzi, że mężczyzna nie mógłby pokochać jej dla niej samej? Wiem, kochanie, jak musiałaś się czuć, gdy byłaś dzieckiem, ale teraz... — Ujął jej twarz w dłonie. — Czy pamiętasz tę noc, kiedy z obawą oczekiwałaś na decyzję sądu? Bałaś się, że Spud nie otrzyma pozwolenia na adopcję. Pocieszałem cię wtedy, pamiętasz? — Annie skinęła głową. — Obecnie nic ci nie grozi, żaden sędzia nie ma prawa odebrać ci domu ani ludzi, których kochasz.

Annie omal powtórnie nie wybuchnęła płaczem. To on był przecież teraz jej sędzią. Czy zdawał sobie z tego sprawę? Mógł odejść od niej bez pożegnania, a ona by go nie zatrzymała.

— Co z tego, że mnie kochasz? — powiedziała cicho. — Przyjmijmy na chwilę, że tak właśnie jest. Czy to ma jakieś znaczenie? Nasze losy były dotąd zupełnie odmienne, nie pasujemy do siebie. Ty masz ochotę pojechać do Chicago, aby rozejrzeć się za jakąś pracą. Ja natomiast lubię Simpson. Chciałabym pozostać tutaj jeszcze kilka miesięcy. A gdybym nawet wróciła do Chicago, czy to coś zmieni? Ty jesteś przyzwyczajony do życia w pełnym biegu, podróże po świecie, kobiety, nocne rozrywki. Za bardzo różnimy się od siebie — zakończyła zrezygnowana.

Podniosła na niego wzrok. Zauważyła, jakie ma smutne i zmęczone oczy, ostatnie fizyczne piętno po ciężkim pobycie w więzieniu.

— Annie, nie chcę już żyć tak jak przedtem.

— Czyżby? — spytała z niedowierzaniem.

— To już minęło. Wszystko. — Delikatnie złożył dłonie na jej ramionach. — Moim rodzicom poprzedni rząd zabrał kopalnię srebra i zmusił ich do emigracji, a brat gdzieś zaginął. Nie mam do czego wracać.

— Co więc zamierzasz robić? — spytała przejęta jego słowami.

— No, cóż — odparł z wymuszonym uśmiechem. — Wiem jedno. Chciałbym znaleźć pracę, która w jakiś sposób będzie wiązała się z Ameryką Południową. Poza tym z przyjemnością uczyłbym dzieciaki w szkole.

— Och, Esteban — szepnęła Annie. — Tyle się w naszym życiu zmieniło.

— Wiem — odrzekł. — Ale musimy patrzeć w przyszłość.

Drzwi od gabinetu masażu uchyliły się nieco i na zewnątrz wyjrzała kobieta ubrana w szkarłatną nocną koszulę. Jasno-czerwone włosy opadały jej kosmykami na twarz.

— Hej, proszę pana! Stamtąd nie może pan odczytać jadłospisu. Proszę podejść bliżej, mój drogi. Wygląda pan na przystojnego młodzieńca.

— Powiedział pajak do muchy — mruknęła Annie.

— Chodź — uśmiechnął się Esteban i wziął Annie pod rękę.

— Dokąd?

Niewinnie podniósł do góry brwi.

— Czyżbyś nie miała ochoty na masaż? — zapytał z udanym zdziwieniem.

— Esteban! — syknęła tak głośno, jak mogła, nie chcąc przy tym być podsłuchana przez „masażystkę”. Popchnęła go w stronę samochodu.

— Chodźmy tam, Annie — opierał się Esteban, z trudem tłumiąc śmiech. — Delikatny masaż na pewno przyniesie ci ulgę. Zapomnisz o kłopotach.

— Wsiadaj natychmiast do samochodu, jeśli nie chcesz ode mnie obe-
rwać! — krzyknęła Annie.

— Hej, kochaneczku! — kolejna skapo odziana kobieta wychyliła się zza drzwi. — Dzisiaj można za pół normalnej stawki.

— Widzisz, Annie? — uśmiechnął się Esteban, gdy wepchnęła go wresz-
cie do auta. — Możemy zaoszczędzić sporo forsy.

— Jeśli zależy ci na tym, aby oszczędzić swoją skórę — -powiedziała,
wyjeżdżając na szosę — nigdy więcej nie przypominaj mi o gabinecie masa-
żu.

Esteban zachichotał i po drodze do domu wciąż wybuchał śmiechem. Gdy skręcali na podjazd wiodący ku ścieżce, odkaszlnął, jakby zamierzał coś jej wyznać.

— Zapomniałem o czymś, Annie — zaczął niepewnie. — Jest pewna ma-
ła sprawa, o której musisz wiedzieć.

Z tonu jego głosu Annie odgadła, że ta „mała sprawa” okaże się czymś
gorszym od gabinetu masażu. Zawsze lubił sprawiać jej niespodzianki, czy
był to różany ogród, czy też piknik nad rzeką.

— Słucham? — szepnęła zaniepokojona.

— Mam babcię, Annie.

— To rzeczywiście wielki cud — odparła oschle. — Czy jej również
przychodzą do głowy zwariowane pomysły?

— Można by tak powiedzieć.

— Esteban, o co ci właściwie chodzi? — spytała Annie, rzucając mu po-
dejrzliwe spojrzenie.

— To jest tak — zaczął, drapiąc się po nosie. — Babcia od lat mieszka w
Kalifornii. Możesz sobie wyobrazić, jak musiała się czuć, kiedy trafiłem do
więzienia. Chciałaby się teraz ze mną zobaczyć... — urwał i otworzył
drzwiczki samochodu. — Za kilka dni będziemy ją tutaj gościć — dokończył
i wysiadł, zanim Annie zdążyła coś odpowiedzieć.

Annie przez chwilę siedziała nieruchomo za kierownicą, a kiedy wreszcie nieco ochłonęła, wyskoczyła z wozu.

— Czy ona ma zamiar tu przyjechać? — wykrzyknęła. Esteban przyłożył palec do ust.

— Bądź cicho — szepnął. — Pobudzisz wszystkich sąsiadów.

— Mam ciebie serdecznie dosyć! — wrzasnęła zdesperowana.

Esteban wszedł do domu, nie zwracając na nią uwagi. Annie wybiegła za nim, trzasnęła drzwiami i zacisnąwszy pięści, udała się do drugiego pokoju.

Esteban siedział w fotelu, a Georgia spoczywała mu na kolanach i przyjaźnie merdała ogonem.

— Zdrajczyń! — rzuciła krótko Annie.

— Co tu się dzieje? — zawołał gromko Spud, gdy wraz z Elmirą weszli przez tylne drzwi do domu. — Boże miłosierny, waszą kłótnię słyhać z odległości kilometra.

— Jego babcia przyjeżdża do nas w odwiedziny — oświadczyła chłodnym tonem Annie.

— I cóż w tym złego, kochanie? — uspokoiła ją Elmira. — Na pewno martwi się o Estebana.

— Znakomicie! — krzyknął Spud. — Wniesiemy połowe łóżko Gracie do tego małego pokoiku, w którym stoi maszyna do szycia, a twoja babcia, Ramie, zajmie sypialnię Annie.

— To chyba dla was duży kłopot — rzekł Esteban nieco zawstydzony.

— Wręcz przeciwnie, mój synu! Elmira i ja zawsze chcieliśmy mieć liczną rodzinę. Dopóki nie zjawiała się Annie, żyliśmy jak dwa samotne groszki w strączku. Im więcej osób, tym będzie weselej!

— Muszę jednak was ostrzec — podjął Esteban z nieśmiałym uśmiechem. — Moja babcia bardzo lubi gotować.

— Hmm — mruknął Spud i głęboko się zamyślił. — No cóż — rzekł po chwili — na pewno znajdziemy jakieś kompromisowe rozwiązanie. A teraz wy, dzieciaki, usiądźcie tu sami i odpocznijcie sobie. Ja i Elmira idziemy na mały spacer przy świetle księżyca, taki, jak za dawnych czasów — mówiąc to, Spud dał żonie lekkiego klapsa w pośladek.

Elmira spojrzała na niego z przyganą.

— Stary dureń! — powiedziała, udając, że jest obrażona, lecz w jej głosie kryło się więcej czułości niż poirytowania.

Po ich wyjściu Esteban posadził Georgię na podłodze i otrzepał spodnie.
— Chodź do mnie, Annie — szepnął.

Annie spojrzała na niego nieufnie, ale pragnienie, aby się znaleźć w jego ramionach, było zbyt silną pokusą. Usiadła mu na kolanach, a on chwycił jej dłoń.

— Tak jest dobrze — powiedział.

W milczeniu złożyła głowę na jego piersi. Pachniał męskością i ciepłym letnim powietrzem. Przymknęła oczy i poczuła, jak jej przepelnione pożądaniem serce uderza coraz szybciej. Objęła go, a on delikatnie musnął nosem jej usta.

— Annie?

— Słucham? — spytała rozmarzona.

— Co do mojej babci...

— Znowu? — jęknęła. — Czyżby wiozła tu ze sobą zespół argentyńskich muzykantów?

Esteban uśmiechnął się.

— Ona jest trochę staroświecka — wyjaśnił. Annie spojrzała mu w oczy.

— Nie rozumiem — odparła. — Co to znaczy: staroświecka?

— Może być zgorszona, kiedy zobaczy, że kobieta i mężczyzna, nie będąc małżeństwem, mieszkają w jednym domu.

— Kobieta i mężczyzna to my, o ile dobrze cię zrozumiałam.

Esteban skinął głową.

— Zatem — podjęła Annie — będziesz musiał się stąd wyprowadzić na czas jej wizyty.

Esteban podrapał się w czoło.

— Jest jednak pewien sposób, aby uniknąć nietaktownej sytuacji. Zaraz ci to wyjaśnię, ale pozwól, Annie, dusisz mnie swoim ramieniem!

— Więc mów szybko, o co ci chodzi, dopóki jeszcze możesz oddychać!
— ponagliła go z groźbą w głosie.

— Wszystko będzie w porządku, jeśli babcia zostanie poinformowana, że kobieta i mężczyzna są zaręczeni — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Annie momentalnie rozluźniła uścisk.

— Coś ty powiedział? — krzyknęła.

— Uspokój się, kochanie. — Wziął ją za ręce i roześmiał się, widząc jej minę. — Nie przypuszczałem, że zareagujesz tak gwałtownie na wiadomość o naszych zaręczynach.

— Ależ my nie jesteśmy zaręczeni!

Georgia pisnęła cicho u ich stóp i z ciekawością zastrzygła uszami.

— Widzisz? — rzucił wesoło Esteban. — Nawet piesek się z tego cieszy. Już dobrze, kochanie — dodał. — Nie denerwuj się. To po prostu dla mojej babci.

Annie pragnęła wyzwolić się z jego objęć, lecz on mocno ją przytrzymał i próbował pocałować. Po krótkiej szarpaninie dała za wygraną.

— Esteban? — szepnęła, gdy złapała oddech po namiętym pocałunku.

— Słucham, kochanie?

— Chciałabym cię o coś poprosić.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — zapewnił ją żarliwie.

Annie spuściła wzrok.

— Błagam, nie mów babci o „nagich damach” dobrze? Są przecież jakieś granice tego, co ona może zrozumieć.

Esteban zaniósł się śmiechem, a Georgia, zaaferowana ogólnym poruszeniem, podskakiwała na podłodze, prosząc o to, aby ktoś ją wziął na ręce. „O Boże — pomyślała Annie — ja chyba tutaj zwariuję. Ciekawe, co on jeszcze wymyśli”.

Rozdział 9

— *Patata*, teraz nalej trochę oleju do rozgrzanej brytfanny — poinstruowała Spuda Lola. — Poco! Wlej więcej!

Spud jęknął i nachmurzył się.

— Pieczona kura, do diabła — mruknął pod nosem.

— Ciach, ciach, ciach! — wykrzykiwała Lola, wymachując w powietrzu nożem. — Pokażemy temu *patata*, jak się przyrządza kurczaka, hę? — zaśmiała się, kiwając wesoło głową w kierunku Estebana i Annie. — Posłuchaj, *hombrecillo* — znowu zwróciła się do Spuda. — Ty się — *como se dice?* — ty się zabujasz w mojej pieczonej kurze.

— Zakochasz, *abuelita* — Esteban delikatnie poprawił swoją babcie.

— *Si, si*, wszystko jedno — wymruczała, odwracając się w stronę kuchni.

Spud odciągnął Estebana na bok.

— Słuchaj, Ramie, jest jedna rzecz, której nie rozumiem — powiedział zniżonym głosem i z zakłopotaniem podrapał się po brodzie. — Odkąd przybyła tutaj twoja babcia, nazywa mnie wszystkim, tylko nie moim imieniem. Wy tłumacz mi, co właściwie znaczy „*patata*”?

— W porządku, Spud, wyjaśnię ci — odpowiedział Esteban, niepewnie się uśmiechając.

— Sądzę, że może mieć to coś wspólnego z tym meksykańskim rewolucjonistą, jakże on się nazywał? Chyba Zapata — powiedział Spud poufnym tonem.

— Hmm. Tak, mniej więcej o to chodzi — odparł wymijająco Esteban, poklepując Spuda po plecach. — Babcia używa tego słowa, gdyż darzy cię szacunkiem.

— Cóż, w takim razie wszystko w porządku — powiedział wyraźnie uspokojony Spud. Wyprostował ramiona i odwrócił się w stronę kuchni. — Lola, kochanie, jakim sosem polejemy naszą kurę?

Annie zaciągnęła Estebana w kąt kuchni, gdzie Spud i Lola nie mogli ich usłyszeć.

— A teraz powiesz mi, co naprawdę znaczy „*patata*” — zapytała. Esteban zmieszał się.

— No, rozumiesz, próbowałem wyjaśnić mojej babci, co znaczy słowo „Spud”, ale zdaje się, że potraktowała to zbyt dosłownie. „*Patata*” to po hiszpańsku ziemniak.

Annie jęknęła.

— *A hombrecillo?*

— Człowieczek — powiedział, żałośnie unosząc brwi. — Lola myśli, że twój ojczym zwany jest Spudem, gdyż wygląda jak ziemniaczek.

— Och, wspaniale — westchnęła. — A jakby tego było jeszcze mało, dzisiaj rano walczyli ze sobą na rondle o władzę w kuchni.

— Może więc wspólnie ugotują coś smacznego — powiedział Esteban z nadzieją w głosie.

Annie zerknęła na krzątającą się po kuchni babcię. Lola była niziutką kościstą kobietką o żywych brązowych oczach i długich siwych włosach, które nosiła upięte w kok. W tej chwili kłóciła się ze Spudem o to, ile należy użyć sosu tabasco do przyprawienia kury.

— Jedna rzecz wypadła naprawdę dobrze — stwierdził Esteban.

— Niby jaka?

— Myślę o serdeczności, z jaką przywitała cię w swojej rodzinie babcia. Ona naprawdę jest tobą zachwycona, wierz mi — leciutko się uśmiechnął.

— A co powiedziała wtedy do ciebie po hiszpańsku? Teraz Esteban roześmiał się od ucha do ucha.

— Stwierdziła, że powinnaś trochę przytyć, *avita*. Annie uszczypnęła go w ramię.

— Będiesz wyglądała jak anielica — powiedziała wzruszona Lola i otarła z oczu łzy.

Znajdowały się w małym pokoiku, do którego Annie przeniosła się na czas jej wizyty. Lola drapowała właśnie wokół głowy Annie koronkę. Babcia zapukała do drzwi, kiedy Annie jeszcze spała i teraz ledwo rozbudzona stała przed lustrem w samej nocnej koszuli i z osłupieniem przyglądała się zwiewnemu tiulowi. Był piękny, ale nie całkiem rozumiała, dlaczego Lola go jej założyła.

— Co to jest? — zapytała sennie.

— Twój welon. Na ślub — dodała Lola, widząc zdumioną minę Annie.

— Będiesz wspaniałą panną młodą. *Si* — powiedziała, kiwając z uznaniem głową. — *Muy bella*. Uszyję go dla ciebie.

Zaniepokojona Annie splotła dłonie.

— Naprawdę, Lola, nie musisz się trudzić.

— Nie, nie, nie! Zrobię to dla nowej wnuczki. *Si!*

— Annie? — odezwał się z drugiej strony drzwi Esteban. — Co wy tam wyrabiacie? — Drzwi uchylły się odrobinę. Esteban wetknął głowę do środka i uśmiechnął się na widok Annie przybranej w koronkowy welon. — Hej, jakie to ładne.

— Idź sobie — krzyknęła Lola, próbując wyrzucić go z pokoju.

— Ależ, babuniu — bronił się żartobliwie. — Może już nigdy nie będę miał okazji widzieć Annie w czymś takim.

Lola potrząsnęła głową.

— Poszedł, poszedł! — Zamknęła stanowczym ruchem drzwi, nie zwracając najmniejszej uwagi na słabe „Auu!”, które dobiegło, zanim Esteban zdążył cofnąć stopę. Lola odwróciła się do Annie. — Mój Esteban jest *amartelado*. — Uszczypnęła ją wesoło w policzek. — Będiesz dobra dla niego. — Wyszła z pokoju, podśpiewując coś pod nosem, a Annie natychmiast ściągnęła z głowy welon i zaczęła go uważnie oglądać.

Annie i Esteban siedzieli ramię w ramię na najwyższym stopniu schodów wiodących na werandę.

— Ten dom wygląda ostatnio jak mrowisko — narzekał Esteban. — Albo moja babcia zamyka się z tobą w pokoju i przymierza jedną rzecz po drugiej. Bywa też, że ciągnie cię do kuchni, aby pokazać, jak przyrządza się *paella*, czy też co chwila odbywają się tu spotkania kółka gospodyń domowych. Prawie nigdy cię nie widzę.

Annie westchnęła i przycisnęła się do niego całym ciałem, pozwalając, aby obudziło się w niej pożądanie. Minęły już dwa tygodnie, odkąd przybyła Lola, i od tamtej pory ani przez chwilę nie byli sami.

— Co znaczy to słowo? — zapytała nagle Annie. — Za każdym razem, gdy Lola cię spotyka, mówi coś jak *amart*...

— *Amartelado* — dokończył za nią, uśmiechając się żałośnie. — To znaczy: „usychający z miłości”

Wtem otworzyły się za nimi drzwi.

— Już mi ze schodów! Sio! Sio! — krzyknęła Lola. — Wkrótce przyjdą tu panie. Esteban, idź i przynieś mi trochę kawy ze sklepu. A ty, Annie, chodź ze mną. Czeka nas polerowanie sreber.

— Sreber? — zapytała Annie, spoglądając ze zdumieniem na Estebana. — Mam tylko sześć pogiętych widelców, parę noży i łyżeczkę do herbaty, którą w celach reklamowych umieszczono w kupionym przeze mnie pudełku płatków owsianych.

— Musimy je wyczyścić — Lola była stanowcza. — Panie z kółka gospodyń domowych nie mogą pomyśleć, że jesteśmy flejtuchami. No już, ruszajcie się. Dzisiaj Spud piecze ciasta i damy zamierzają go uczynić honorowym członkiem kółka.

Annie jęknęła, gdy drzwi zamknęły się z hukiem.

— O Boże, Spud w kółku gospodyń domowych. A najgorsze, że on to uwielbia i Elmira mówi, że bawi się lepiej niż kiedykolwiek. Esteban, sądzę, że oni niedługo będą chcieli zaadoptować twoją *abuelitę*.

Esteban westchnął ciężko.

— Boże, potrafię sobie to dokładnie wyobrazić. Już do końca życia nie będziemy ani przez chwilę sami.

— *Amartelado* — dobiegł ich przez otwarte okno rozbawiony głos Loli, a następnie jej perlisty śmiech.

— Nie jestem złośliwa! — krzyknęła Annie do Estebana i postawiła na stole filiżankę mrożonej herbaty.

— A kto dzisiaj rano nawrzeszczał na mnie, gdy zmywałem naczynia po śniadaniu?

— A kto zużył całą gorącą wodę, podczas gdy ja próbowałam wziąć prysznic? — odparła.

— Cóż, muszę powiedzieć — rzekł, opierając się plecami o krzesło i uśmiechając się uwodzicielsko — że wyglądałaś dość zabawnie, gdy wyskoczyłaś z łazienki owinięta tylko ręcznikiem. Przypominałaś mi przemoczonego kurczaka.

— Chcesz mokre kurczę, to ci je pokażę! — zapewniła go i chwytając z tacy kostkę lodu, zbliżyła się ku niemu. — Zaraz zobaczymy, kto tu będzie mokry.

Esteban zerwał się od stołu i śmiejąc się uciekał przed Annie.

— Twój łód się rozpuści, zanim mnie złapiesz — zakpił, pozostając cały czas poza zasięgiem jej rąk. — Zawrzyjmy rozejm, Annie — zaproponował, widząc jej zawziętą minę.

— Nigdy! — odparła.

Zaciekawiona hałasem Georgia wtoczyła się do kuchni i od razu podbiegła do Estebana i uczepiła się nogawki jego spodni, szarpiąc nią na wszystkie strony.

— To nie fair! — krzyknął Esteban. — Dwie na jednego!

— Dopadłam cię wreszcie, Ramirez — rzekła triumfalnie Annie, chwytając go za rękaw koszuli.

— Posłuchaj, Annie! — krzyknął, próbując chwycić dłońmi jej nadgarstki i zaśmiał się, kiedy Georgia nagle odpadła od nogawki i fiknęła do tyłu parę koziołków.

— Ta kostka lodu zaraz znajdzie się pod twoją koszulą, Esteban — poinformowała go Annie.

Z roztopionego lodu ściekała po ich dłoniach chłodna woda, ale Annie czuła ogarniający ją żar, którego nawet lód nie mógł ugasić. Pragnęła się przytulić do Estebana nawet teraz, gdy była całkowicie zdecydowana wrzucić mu lód za koszulę w rewanżu za jego wcześniejsze złośliwości. Mimo że przez ostatnie kilka dni bardzo zbliżyła się do niego, nadal nie była w stanie go dotknąć i to doprowadzało ją do szaleństwa, które przybierało postać takich właśnie wybuchów irytacji.

— Co wy tutaj wyczyniacie? — zażądał odpowiedzi Spud, kiedy kręcąc z dezaprobatą głową wszedł do kuchni.

— Przysięgam, że z wami czuję się tak, jakbym przebywał w domu pełnym uczniów. A ty, Annie, robisz się rozdrażniona jak osa. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak rozbrykaliście. — Przerwał, zmarszczył czoło i leniwie podrapał się po swej szczeciniastej brodzie. — Cóż, teraz może powinienem... Czy wiecie, za czym powinniśmy się rozejrzeć? — Spoglądał to na jedno, to na drugie i nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi poza gardłowym wyciem Georgii, pokiwał głową. — Trochę agrestu — oto czego potrzebujemy. Założę się, że babcia Ramie'ego w życiu nie widziała placka agrestowego. No, ruszcie się w końcu! Myślę, że znajdziecie krzaki gdzieś na wzgórzu. — Ponagląco machnął ręką w kierunku drzwi. — Idźcie już i nie wracajcie bez agrestu — nawet jeśli mielibyście zbierać go do wieczora! — Ostatnie słowa podkreślił mrugnięciem oka i Annie spojrzała na niego z oburzeniem.

— O co ci chodzi, Spud? — zapytała stanowczo.

— Nie, nic takiego — odpowiedział i schylając się podniósł z podłogi Georgię, czym odwrócił jej uwagę.

— Przypuszczam, że nie zaznam spokoju, dopóki nie przyniesiemy ci tego agrestu — westchnęła, wrzuciła lód do zlewu i wyjęła z szafki garnek.

Wyszła z Estebanem z domu. Po chwili wyprzedziła go i rozpoczęła wspinaczkę w górę, a letnie słońce mocno przypiekało jej twarz i nagie ramiona.

— Annie, zwolnij! — krzyknął z tyłu Esteban. — Po co ten pośpiech?

— Chcę jak najszybciej nazbierać tego cholernego agrestu, żeby Spud wreszcie się odczepił — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

— Annie, Annie — droczył się z nią, wyraźnie niezadowolony, że przyjęła taką postawę. — Jest przepiękny dzień, czemuż więc nie mielibyśmy się nim cieszyć?

— Przestań mi mówić, co powinnam robić — odparła poirytowana, przedzierając się przez dzikie krzewy rosnące powyżej ogrodu. — Ty i twoja babcia przewróciliście moje życie do góry nogami.

— Och, do licha, Annie, co masz jej do zarzucenia? Rozchyliła gąszcz wysokich, gęstych zarośli, wśliznęła się przez szczelinę na polanę i podążyła w stronę dębowego gaju. Wokół drzew rosło sporo rozproszonych krzaków agrestu. Annie cisnęła na ziemię garnek i zaczęła zrywać owoce.

— Nie tylko szyje dla mnie welon, Esteban — wyjaśniła — ale przywiozła też ze sobą bieliznę, którą, według niej, powinnam włożyć pod suknię ślubną. I chce, abym podczas uroczystości ślubnej miała na palcu jej pierścionek z opalem.

Esteban przykucnął obok niej.

— Ten pierścionek jest w rodzinie od pokoleń. Babcia uważa cię za kogoś bardzo ważnego, Annie.

— Nic nie rozumiesz! — wstała i podeszła do następnego krzaka tylko dlatego, że nie chciała być tak blisko niego. — Ona przygotowuje wszystkie te rzeczy na ślub, który przecież się nie odbędzie. O ile mi wiadomo, przed ołtarzem stają panny młode, a nie babcie.

— Więc może my weźmiemy ślub — powiedział, rozkładając szeroko ręce.

— Nie, nie weźmiemy! — odparła.

— Na miłość boską, Annie, czy nie możesz tego pojąć, że chcę się z tobą ożenić?

— Patrzcie, patrzcie. To chyba najbardziej romantyczne oświadczyzny, jakie kiedykolwiek słyszałam!

— Jak mogę należycie oświadczyć się kobiecie, która ciągle mnie beszta. Przestań uciekać i chodź tu wreszcie!

— Dlaczego?

— Ponieważ, kobieto, kiedy mężczyzna się oświadcza, pragnie pocałować swą wybrankę!

— Nie jestem pewna, czy chcę, żebyś mnie pocałował — upierała się.

— No to po prostu wspaniale — stwierdził Esteban i opuścił z rezygnacją rękę. — To małżeństwo będzie piekłem — mruknął.

— Esteban — zaczęła cicho, w końcu pozwalając, aby zbliżył się do niej. Oboje usiedli na trawie. — Czy... No, czy czujesz się już całkiem w porządku?

Westchnął.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że jestem obłąkany dlatego, iż pragnę cię poślubić?

— Wiesz, co mam na myśli — stwierdziła z naciskiem.

— Więzienie — rzekł miękko, patrząc w ziemię, i Annie skinęła potakująco głową. — Jest ciągle we mnie, Annie, gdzieś tutaj. — Położył dłoń na swej piersi. — Ale ty również jesteś w moim sercu. I dlatego potrafię żyć z tym, co się wydarzyło.

Siedzieli w milczeniu przez chwilę, słuchając brzęczenia pszczoł i ci-chutkiego szmeru liści, poruszanych gorącym leniwym wietrzykiem. Annie czuła łzy napływające jej do oczu i nagle przylgnęła do piersi Estebana. Objęła go tak mocno, że niemal stracił oddech.

— Uff — stęknął i otoczył ją ramionami. — Co to ma znaczyć?

— Nienawidzę, kiedy cierpisz — powiedziała z pasją. — Nienawidzę świadomości, że wstajesz w środku nocy i musisz o tym myśleć. A już najbardziej nienawidzę tego, że nie potrafię zrobić niczego, aby ci pomóc.

— Ależ bez ciebie nie poradziłbym sobie — wyszeptał. — Jak sądzisz, dlaczego przyjechałem tutaj? Ponieważ jesteś jedyną osobą, która może ukoić mój ból. Ty, Annie, tylko ty.

Wyszeptała jego imię i uniosła w niemym błaganiu twarz, chcąc czuć jego smak i zapach. Z westchnieniem rozchyliła wargi i z lubością poddała się jego drapieżnemu pocałunkowi. Nigdy nie przestanie pożądać tego mężczyzny.

— Annie — szepnął, ciężko oddychając, i oboje potoczyli się po trawiastej murawie. Wydawało się, że nigdy nie zdoła się nią nasycić.

Łapczywe usta Estebana wędrowały po całej jej twarzy i szyi, a dłonie niecierpliwie starały się odsunąć na bok ramiączka jej bluzki. Jak krople let-

niego deszczu pocałunki spadały na nagie ramiona Annie, paliły jej piersi i podbrzusze. Objął ją ramieniem, uniósł szybko z ziemi i zdjął z niej bluzkę. Obnażone piersi błysnęły bielą w prześwitującym przez liście świetle słonecznym i Esteban natychmiast zaczął je obsypywać pocałunkami, doprowadzając Annie do szaleństwa. Cichutko jęknęła i wygięła się w łuk, czerpiąc niewysłowioną rozkosz z jego dotyku.

Zdjęła z Estebana koszulkę i z zapartym tchem podziwiała jego płaski brzuch i pierś porośniętą czarnymi, gęstymi włosami. Kładąc na niej dłonie, wyczuła bicie jego serca, co jeszcze bardziej spotęgowało jej pożądanie.

Esteban uśmiechnął się leciutko.

— Czy jest dzisiaj aż tak gorąco, czy tylko ja mam takie wrażenie — zapytał niskim gardłowym głosem i Annie zachichotała.

— Sierpień zawsze jest upalny — wymruczała. „Dżinsy mają już to do siebie, że stawiają duży opór, kiedy człowiek stara się je szybko ściągnąć” — pomyślała Annie, próbując drżącymi dłońmi wyciągnąć pasek ze spodni Estebana. On ze swej strony dokładał również wszelkich starań, aby uporać się z jej garderobą, i wtem Annie usłyszała głośny trzask odrywanego guzika.

— Przepraszam — wymamrotał i zrobił żalostną minę. Słońce wspięło się już wysoko nad horyzontem, gdy leżeli nadzy na trawie. Annie czerpała przyjemność z patrzenia na jego ciało. Szczupły i umięśniony, był wspaniałym mężczyzną. Blizny na żebrach zniknęły już niemal całkowicie, zwłaszcza że przykryła je opalenizna, którą zdobył, pracując na dworze. Wydawał się wyrastać z ziemi, kiedy uniósł się nad nią i było to jak pierwotne wezwanie, na które musiała odpowiedzieć. Gdy ich ramiona się splotły, usta zaczęły pożerać się nawzajem. W głębi jego oczu dostrzegła pożądanie. Jej kochanek, jej wspaniały mężczyzna. Ziemia zdawała się wolniej kręcić, jakby chciała ofiarować kochankom nieskończenie długi, złocisty letni dzień.

— Annie, kocham cię — wyszeptał Esteban, całując jej nagie ciało. — Moja piękna *avita*. — Schodził coraz niżej, miłośnie całując jej biodra i uda. Annie jęknęła i podniecona do granic wytrzymałości, zapragnęła, by posiadał ją do końca. Złapała jego okrutne, nieczułe dłonie, przycisnęła je do swych ust i poczęła całować każdy palec osobno, podczas gdy jej nogi owinęły się dookoła jego bioder i podciągnęły go ku górze.

— Weź mnie — wyszeptała.

Esteban jęknął, kiedy zetknęli się i mocno przycisnęli do siebie. Patrzyli sobie w oczy zachwyceni siłą napiętności, która zburzyła między nimi granice. Esteban powoli ujął ją za dłonie, ułożył je za głową dziewczyny z tyłu i oparł się na nich.

— Czekałem na ciebie tak długo — wyszeptał rwącym się głosem, zanim wszedł w nią. — Tak długo, słodka Annie.

Poruszała się wraz z nim, jej biodra unosiły się na spotkanie jego bioder we wspólnym rytmie. Stanowili jedność z ziemią, słońcem i wiatrem. Szybowali w powietrzu jak ulatujące w niebo ptaki. Światło i cień mieszały się w duszy Annie niczym radość i smutek, spowodowane miłością do Estebana i w końcu przyciągnęła go z całej siły do siebie.

Rytm ich ciał stał się pieśnią zmierzającą ku crescendo, muzyką, w której brały udział ptaki i drzewa oraz kręcąca się pod nimi Ziemia. Wpiła się wargami w szyję Estebana, rozkoszując się smakiem i zapachem jego skóry. Słuchała, w jaki sposób wymawiał jej imię. Czuła się tak, jakby wszystkie promienie słońca skupiły się tylko na niej i doprowadzały do gorączki każdą cząstkę jej nagiej skóry. I wtem słońce eksplodowało i rozpadło się na milion odłamków rozkoszy, które przygniotły ją niczym fale uderzające o brzeg.

Padła wyczerpana w jego ramiona. Nie było żadnego innego miejsca na świecie, w którym chciałyby być. Nie teraz. Nigdy.

— Annie? — wymruczał cicho.

— Hmm?

Zdejmował źdźbła trawy z jej bioder.

— Muszę jechać do Chicago w sprawie pracy. Otworzyła oczy i oparła się na ramieniu.

— Kiedy?

— Jutro. — Usiadł i pogłaskał ją po piersiach dębowym listkiem. — Annie, chyba już czas, abyśmy zrobili jakieś plany na przyszłość. Jedź ze mną.

Coś sprzeciwiało się w niej, aby podążyć za nim, przyjmując to, co jej proponował. Pragnęła móc powiedzieć „tak” bez żadnych zastrzeżeń, ale ciągle czuła obecność więzienia...

I Natividad.

— Jeszcze nie teraz — powiedziała cicho, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Patrzył przez dłuższą chwilę w jej oczy, a potem westchnął.

— W porządku, Annie — rzekł. — Mogę jeszcze trochę poczekać. Ale tylko trochę, kochanie. Po roku spędzonym w więzieniu stałem się bardzo niecierpliwy.

— I wiesz jeszcze jaki? — wyszeptała.

— Nie?

— Lubieżny, Ramirez! — Pogłaskała go po brzuchu i natychmiast poczuła, że pod wpływem tego zmysłowego dotyku jej podniecenie znowu wzrasta.

— Czyżby, Maguire? Chyba więc będę musiał coś z tym zrobić — powiedział zmartwionym głosem i mocniej przytulił ją do siebie.

— Czy ktoś się uskarża? — wyszeptała mu do ucha. Słońce powoli chyliło się już ku zachodowi, kiedy Annie i Esteban wzięli na wpół wypełniony agrestem garnek i skierowali się z powrotem do domu.

Spud uniósł brwi, gdy zobaczył efekt ich pracy. Zrobił chytrą minę.

— Sporo czasu jak na taką garstkę agrestu — powiedział zamyślonym głosem i podrapał się po podbródku. Spoglądał to na jedno, to na drugie i kiedy dostrzegł we włosach Annie źdźbło trawy, usilnie starał się ukryć uśmiech.

— Cóż, wygląda na to — powiedziała Annie — że niezbyt dobry urodzaj w tym roku.

— Z pewnością masz rację — odparł Spud i pochrzäkując odwrócił się w stronę kuchenki.

Minął zaledwie tydzień, odkąd Esteban wyjechał do Chicago, lecz Annie wydawało się to niemal wiecznością. Upływała siódma noc, a ona ciągle śniła, że Esteban leży koło niej w łóżku. Właśnie wyobrażała sobie, że oplótła go ramionami i nogami, przyciągając mocno do siebie, gdy zadzwonił telefon. Obraz Estebana w jej ramionach rozwiął się, otworzyła oczy i jęknęła z rozczarowania. Wstała z łóżka i udała się do kuchni.

— Halo — wymruczała, podnosząc słuchawkę. — Kimkolwiek byś nie był, twoje życie jest w poważnym niebezpieczeństwie.

— Tak jak i moje zdrowie — dobiegł z oddali głos Estebana. — Tęsknię za tobą.

— Właśnie mi się śniłeś — wymruczała zmysłowo.

— Hmm? Co robiłem w twoim śnie?

— Rumienię się, gdy sobie przypominam, Ramirez — uśmiechnęła się do słuchawki i oparła plecami o ścianę.

— Miejże litość, Maguire, nie zostawiaj mnie tak. Powiedz to, co chcę usłyszeć.

— Och, naprawdę nie było do nic wielkiego. Zwyczajna erotyczna fantazja wygłodniałej seksualnie wdowy. Wiesz, o co chodzi; ty i ja nadzy, beczka bitej śmietany, pokój pełen luster. Ach, zapomniałabym, oczywiście, jeszcze olbrzymi bukiet „nagich dam”. — Nie potrafiła powstrzymać się od zakpienia z jego ogrodowych eksperymentów.

— Och, do licha, Maguire. To mnie zabija. Opowiedz coś więcej o bitej śmietanie.

Annie parsknęła śmiechem i poczuła ogromną potrzebę przytulenia się do Estebana. Zaciśnęła mocniej palce wokół słuchawki, jakby było to jego ciało, którego tak bardzo pożałowała i które pragnęła odkrywać wciąż na nowo, całując, pieszcząc, dotykając...

— W życiu nie widziałam większej góry bitej śmietany, Esteban — wymruczała kuszącym głosem.

— Jeszcze minuta, a udławię się własnym oddechem. — Oboje wybuchnęli gromkim śmiechem, a potem zaległa przyjemna cisza.

— Hej, Annie — powiedział miękko po chwili. — Przyjdź do mnie.

— Nie mogę. Przecież jeszcze śpię. Ta rozmowa to tylko sen.

— W takim razie posłuchaj: kiedy się obudzisz, wskocz do samochodu i przyjeżdżaj prosto tutaj. Błagam — dodał żartobliwie.

Nie udawała nawet, że się opiera.

— Dobra. Przyjadę jutro rano.

— Naprawdę?

Uśmiechnęła się, słysząc entuzjazm w jego głosie.

— Tak, naprawdę. I przywiozę ze sobą bitą śmietanę.

— Tylko nie zapomnij, Maguire. Wiesz, oczywiście, że nie zmrużę już oka tej nocy i będę do rana myślał o wszystkich tych rzeczach, które będziemy robić.

Chłopięca tęsknota, która zabrzmiała w tych słowach, spowodowała, że Annie wybuchnęła śmiechem.

— Odwieszam słuchawkę, Ramirez. I wracam do łóżka. Zobaczymy się rano.

— W porządku.

Ale żadne z nich nie rozłączyło się, jak gdyby nie mogli wyrzec się tej namiastki obcowania ze sobą.

— Dobranoc, Esteban — wyszeptała po chwili.

— Dobranoc, kochanie.

Annie w drodze do Chicago raz jeszcze zatrzymała się przed gabinetem masażu. W świetle dziennym nie wyglądał wstętnie, a jedynie smutno. Neon wyłączono — najwidoczniej usługi skąpo odzianych pańienek nie cieszyły się zbyt dużym powodzeniem.

Lola upierała się tego ranka, aby Annie przymierzyła znowu welon i dokonała kolejnych drobnych poprawek koronki, podczas gdy Annie stała cierpliwie, zagubiona w marzeniach. Lola zachichotała, kiedy spostrzegła, że Annie jest obecna przy niej tylko ciałem.

— *Muy bella* — powiedziała dobrze znanym już tonem.

Annie wyjrzała przez okno samochodu i zaczęła wspominać czasy, gdy wraz z Pete'em zatrzymywali się tutaj na lody. Teraz wydawało to się już tak odległe. Żałowała, że Pete nigdy nie czuł się dobrze w Simpson. Zawsze tęsknił za bogatym w wydarzenia miejskim życiem.

Annie dobrze pamiętała pierwsze dni po śmierci Pete'a, kiedy marzyła, że leży obok niej w łóżku, tak blisko, że prawie czuła jego oddech. Prawie... Potem budził ją nagle przejmujący ból i łzy płynęły strumieniami po jej policzkach. Tak samo tęskniła za Estebanem, odkąd wyjechał do Chicago. Teraz już wiedziała, że nawet wtedy, gdy była z Pete'em, kochała również jego. Uczyniła wybór i poślubiła Pete'a, ale teraz nadszedł czas na miłość, czas na otwarcie serca przed Estebanem. Jeszcze nie mówiła mu, że go kocha i teraz czuła, że nie dojedzie do Chicago tak szybko, jak szybko chciałaby mu to powiedzieć.

Uruchomiła samochód i pojechała na północ, a droga odmierzana migającymi za oknem drzewami i jej łzami zbliżała ją do mężczyzny, którego kochała. Nie martwiła się o przyszłość. Nie mogła przecież spędzić reszty życia na roztrząsaniu, czy Esteban kocha ją naprawdę, czy żywi do niej tylko wdzięczność. Pragnął ją poślubić, a ona miała zamiar powiedzieć „tak”.

Rozdział 10

Wynajął mieszkanie w starym, ceglanym budynku w zachodniej dzielnicy, i kiedy Annie zatrzymała swój samochód na skraju trzypasmowej jezdni, zobaczyła, że czekał na nią na podeście przed drzwiami. Natychmiast podszedł do samochodu i oparł się łokciami o otwarte okno od strony pasażera.

— Dzień dobry — powiedział poważnym głosem. — Szukasz kogoś?

— Uhm. Wysokiego mężczyzny, ciemnego, mówiącego z lekkim hiszpańskim akcentem.

— Był tu taki. Ale zabrali go wczesnym rankiem.

— Och!

— Taak. Całkowicie obłąkany szaleniec. Nikt nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi. Powtarzał w kółko „Annie, Annie”! jeszcze coś o bitej śmietanie. Szkoda go. Wyglądał na sympatycznego faceta.

Powstrzymała się od śmiechu.

— Cóż — powiedziała zrezygnowanym tonem. — Przypuszczam, że w takim razie jestem skazana na ciebie.

— Na to wygląda — odparł z nadzieją.

— Pewnie też będę musiała ciebie poślubić zamiast niego — wysiadła z samochodu i ukradkiem zerknęła na Estebana.

Uśmiechnął się szeroko.

— Sądzę, że ktoś to zaaranżował. — Wyjął walizkę z bagażnika, ujął Annie pod ramię i poprowadził do budynku.

Weszli tonącymi w półmroku schodami na pierwsze piętro i zatrzymali się przed pomalowanymi na biało drzwiami. Esteban otworzył je pchnięciem dłoni i odsunął się na bok, chcąc, aby Annie pierwsza weszła do środka.

Widząc, że czeka na jej reakcję, rozglądała się uważnie dookoła. Mieszkanie było małe, ale czyste. Podłogę wyłożono parkietem, a przed kanapą leżał rozwinięty dywanik. Na wprost siebie widziała kuchnię, która, choć zbyt mała, by umieścić w niej stół, miała jednak przytulny śniadaniowy kącik ze wspinałym oknem wychodzącym na pokój.

— Jest małe — powiedział, stojąc za nią. — Annie? Odwróciła się i widząc, że Esteban z niepokojem wypatruje w jej twarzy oznak aprobaty, uśmiechnęła się rozbawiona.

— Jest urocze, Esteban. Odetchnął z wyraźną ulgą.

— Nie stać mnie na razie na nic lepszego, Annie. Dostałem pół etatu na uczelni. Będę zajmował się tłumaczeniami i obiecano mi, że wkrótce obejmę asystenturę. Powinienem zrobić specjalizację w półtora roku. Do tego czasu... tak sądziłem, że nie byłoby źle zamieszkać tutaj. Moglibyśmy jeździć do Simpson na weekendy, nawet na każdy, jeśli będziesz chciała. A później, kiedy już zdobędę odpowiednie kwalifikacje, zostanę nauczycielem. Niedaleko Simpson znajdują się aż trzy szkoły.

Ciągle trzymał jej walizkę i Annie otoczyła go niezręcznie ramionami.

— Czy wiesz, że cię kocham? — wyszeptwała. — Tak ogromnie.

Wybuchnął śmiechem.

— Naprawdę? Hej! To świetnie!

Walizka głucho uderzyła o podłogę i Esteban uniósł Annie w górę, obejmując ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

— O Boże, jesteś, słodka Annie! Kiedy poczuła znowu oparcie pod stopami, rozejrzała się wokół i spostrzegła, że znajdują się teraz w sypialni. Spojrzała mu w twarz, a on natychmiast zaczął komicznie poruszać brwiami.

Annie zaśmiała się. Oboje bardzo siebie pragnęli, a gorliwość, z jaką przywiódł ją tutaj, wywołała jeszcze żywsze bicie jej serca. Kochała go bezgranicznie. Powoli jej uśmiech zbladł.

— Esteban? — zapytała z wahaniem.

— Co się stało, wróbelku? Wbiła wzrok w podłogę.

— Nigdy nie mówiłeś mi o Natividad, o... no, czy odnalazłeś ją, czy nie.

— Czy właśnie to cię martwi? — zapytał, spoglądając jej w twarz. Skinęła głową i Esteban ujął ją za rękę i poprowadził do łóżka. — Usiądź i postaraj się posłuchać mnie przez moment.

Nie była wcale pewna, co zamierzał powiedzieć i bała się, że nie zniesie tego, jeśli okaże się, iż Esteban ciągle kocha Natividad, choć ta zniknęła bez śladu. Annie zachowywała się jak okropna egoistka i wiedziała o tym, ale pragnęła go mieć tylko dla siebie. Siedziała na brzegu łóżka i nieśmiało wygładzała ręką prześcieradło. Dopiero po długiej chwili zauważyła, że Esteban umieścił jej zdjęcie na szafce, zdjęcie zrobione jeszcze zanim wyszła za Pete'a.

Usiadł koło niej i delikatnie pogłaskał ją po ramieniu, chcąc, aby spojrzała mu w oczy.

— Odnalazłem Natividad, Annie.

Nie potrafiła odwrócić wzroku bez względu na to, jak bardzo ranił ją widok jego zastygłej w ponurym grymasie twarzy. Esteban zgarbił się, jak gdyby umęczony i przygnębiony ciężarem tajemnicy, którą nosił cały czas w sercu. Pogłaskała go po dłoni i mocno zacisnęła na niej palce.

— Co się wydarzyło?

— To było tak cholernie ironiczne — powiedział. — Miałem pretensjonalny pomysł, że wyciągnę ją z Maragua dlatego, że kiedyś się przyjaźniliśmy. — Ściągnął lekko brwi.

— Wiedziałem, że nadchodzi rewolucja. Nie mogło się stać inaczej, gdy tak ogromna rzesza ludzi uzależniła swój byt od uprawy roli, a tylko połowa z nich miała własną ziemię i wiodła w miarę przyzwoite życie. Reszta zaś pracowała od świtu do nocy na kawałek chleba. W końcu w małych miasteczkach i wsiach zaczęły się organizować tajne grupy, które spotykały się co wieczór. Na ulicach słyszało się ciągle przekleństwa pod adresem rządu. Więc kiedy odszukałem Natividad, zaproponowałem, że znajdę dla niej pracę w Stanach i wtedy dostanie od władz paszport i zgodę na wyjazd.

— Westchnął i przesunął dłonią po twarzy. — Wyśmiała mnie — powiedział.

— Nie wierzyła, że wybuchnie rewolucja?

— Gorzej. Sama należała do jej przywódców.

— Och, nie. — Annie zaczynała powoli wszystko rozumieć.

Esteban pokiwał głową.

— Wiedziałem, że muszę w takim razie natychmiast opuścić Maragua, ale zanim zdążyłem to zrobić, nastąpiło trzęsienie ziemi, a zaraz potem uderzyli oni. Natividad oddała mnie w ręce miejscowej rady rewolucyjnej. Nazywali sami siebie „*patulea*”. Jest to obelżywa nazwa nadana im przez dowódcę wojsk rządowych. Rebelianci zachowali ją, aby symbolizowała ich jedność. Postawiono mnie przed trybunałem i wypytywano o moje kontakty w Stanach. Uważali mnie chyba za szpiega CIA. Chcieli także wiedzieć, gdzie przebywa obecnie mój brat. Nie odpowiedziałem na żadne pytanie, więc wtrącono mnie do więzienia. — Poczula, że mocno zacisnęła palce na jej dłoni. — Dostałem bezterminowy wyrok. Tylko od ich kaprysu zależało, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzę światło dzienne.

— Esteban — powiedziała cicho, zmartwiona. — Co się stało z twoim bratem?

— Nie wiem, Annie — wyszeptał, potrząsając głową. — Zniknął jeszcze przed rewolucją.

— Tak mi przykro. — Oparła głowę na ramieniu Estebana, uniosła jego dłoń do ust i pocałowała ją. Powoli nachylił się ku niej i Annie spojrzała mu w oczy. Nadal czaił się w nich ból.

— Och, Annie — wyszeptał, gorącym oddechem owiewając jej usta. — Potrzebuję cię. Chcę, abyś została ze mną na zawsze.

— Na zawsze — zawtórowała cicho, zatracając się w namiętym pocałunku. Nigdy więcej nie opuści jej tak jak kiedyś — nigdy. Nie zniosłaby kolejnego roku spędzonego bez Ramireza, nie wiedząc, jak on się czuje, i wyobrażając sobie, że katują go w więzieniu. Nie mogło już być mowy o tym, że przywiodła go do niej wdzięczność, te obawy należały już do przeszłości. Teraz Esteban był jej.

Oddała mu się, błędząc ustami i dłońmi po całym jego ciele, pokazując jak bardzo potrzebuje, aby odwzajemniał te pieczyoty. Zaczęli rozpinać guziki i zatrzaski, co było o tyle trudne, że na ułamek sekundy nie chcieli przestać na siebie patrzeć. Wreszcie ubrania poddały się wysiłkom szarpiących je dłoni. Annie miała dzisiaj na sobie białą, prześwitującą spódniczkę, ponieważ wiedziała, że świetnie w niej wygląda, „Cóż, może wyglądam lepiej bez niej” — poprawiła się, gdy spostrzegła, że Esteban z niekłamanym podziwem pożera wzrokiem każdy kawałek jej ciała.

— Uwielbiam nagie damy — wyszeptał i uśmiechnął się tak uwodzicielsko, że jej serce niemal wyrwało się z piersi.

— W takim razie będę musiała zasadzić ich trochę więcej — stwierdziła kpiąco, ostatnie słowo obracając w pisk, gdyż Esteban rzucił się na nią i przewrócił pchnięciem na łóżko. Żartobliwe skubnięcia wargami zmieniły się w ogniste pocałunki, kiedy pożądanie ogarnęło ich z siłą huraganu. Ich oddechy stawały się coraz szybsze, usta pożerały się nawzajem, a gorące ciała zdawały się płonąć ogniem namiętności. Nawet nie opuścili żaluzji...

Esteban wszedł w nią szybkim pchnięciem, zatrzymując się, gdy jej oddech przeszedł w jęk. Pokręciła szybko głową.

— Nie, nie. Chcę, chcę czuć cię mocno w środku. Tak, o tak. Właśnie tak.

Żałowała, że nie posiada tysiąca ust, gdyż wtedy mogłaby całować go jednocześnie wszędzie. Zaczęła kołysać biodrami, wchodząc w rytm miłosnych pchnięć Estebana. Kiedy przyspieszył, myślała, że oszaleje z rozkoszy.

— Och, Esteban — wymruczała — kocham cię.

Gdy osiągnęli szczyt, oboje krzyknęli i przywarli kurczowo do siebie. Wyczerpany położył się obok niej i laskotał jej szyję gorącym oddechem, ciągle szepcząc słowa miłości i podziękowania. Zasnęli splątani ze sobą, a ich rozgrzane i spocone ciała stopniowo chłodziły w rześkim powietrzu poranka.

Przez następne dni, trzymając się za ręce, spacerowali razem po mieście, kupowali ciasteczka u ulicznego sprzedawcy, zwiedzali muzea i chodzili po zoo, gdzie zmęczona Annie siadała na ławce i śmiała się, kiedy Esteban porozumiewał się z orłem w ptasim języku, skrzecząc i piszcząc, jak gdyby próbował go o coś przekonać.

Noce należały do kochanków, i oboje odkrywali się nawzajem wciąż na nowo i na nowo, pożądając się zawsze z siłą, która zdumiewała ich samych.

Żyli jak w raju. Annie odkryła, że chociaż nie może wrócić na swoje dawne miejsce pracy w firmie Devina O'Neill'a, ponieważ etat ten został zlikwidowany, to jednak potrzebują grafika w dziale reklamy, gdyż próbują teraz zdobyć nowe rynki zbytu na swoje towary. Ta idylla powinna była wzbudzić jej czujność. W dzieciństwie nigdy nie ufała takim wydarzeniom, zwykle bowiem obracały się w coś znacznie mniejszego, niż obiecywały, lecz miłość uśpiła jej obawy.

Gdy pewnego popołudnia weszła do mieszkania, zastała w środku Estebana rozmawiającego z jakimś mężczyzną. Włączony magnetofon rejestrował ich słowa. Annie skierowała się do kuchni, aby zjeść lunch.

Kiedy godzinę później usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi, stanęła w wejściu do kuchni i opierając się o futrynę, obserwowała Estebana. Ciągle siedział w fotelu z łokciami opartymi o kolana i twarzą ukrytą w dłoniach.

— Co się stało? — zapytała łagodnie. Powoli uniósł głowę i spojrzał w górę.

— To był dziennikarz. Chciał, żebym opowiedział mu o więzieniu i o sytuacji w Maraqua.

— I? — Czują, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

— Wczoraj dostał teleksem wiadomość o jakichś zbiegach, którzy uciekli łodzią do Kostaryki. Z opisu wynika, że jeden z nich przypomina wyglądem mojego brata.

— Esteban? — zawołała Annie, gdyż wiedziała, co miał zamiar teraz powiedzieć, i czuła, że chyba tego nie zniesie.

Spojrzał na nią w końcu, a w jego oczach znowu było widać dawny ból.

— Muszę tam jechać, Annie. Muszę.

— Nie! Nie musisz! — krzyknęła, stojąc bez ruchu w drzwiach. — Nie! Niech ktoś inny to zrobi.

— Annie — powiedział miękko. — Siedziałbym jeszcze w więzieniu, gdybyś komu innemu kazała zająć się moją sprawą.

— Ale ty nie możesz wrócić do Ameryki Południowej — upierała się. — Ryzykujesz utratą wolności, a nawet życia; Nie pozwolę ci na takie igranie z losem.

— Muszę to zrobić — powtórzył — jeśli jest choćby cień szansy, że potrafię pomóc mojemu bratu. Poza tym nie będę się narażał. Mam zamiar udać się jedynie do Kostaryki, to bezpieczne miejsce. Annie, tam jest demokracja. Nie chcę jechać do Maraqua.

— Ale mówiłeś, że mnie nigdy nie opuścisz — powiedziała Annie z desperacją w głosie. — Właśnie odnaleźliśmy się nawzajem, Esteban. Nie potrafię teraz już żyć bez ciebie.

— Obiecuję, że wrócę — odparł ze znużeniem. — Przysięgam.

Wstał, podszedł wolno do Annie, prawie że dotykając jej ramienia, oparł dłoń o futrynę. Gdyby pogłaskał teraz dziewczynę, być może umiałyby zrozumieć, znaleźć dość siły, aby pogodzić się z tym wyjazdem i udzielić mu błogosławieństwa na drogę. Ale nie zrobił tego i jej żal nie został ukojony.

— Annie, posłuchaj mnie. Znam cię. Zrobiłabyś to samo, gdybyś była na moim miejscu.

— Nie, nie zrobiłabym — odpowiedziała ostro. — Nie zostawiłabym cię w taki sposób. — Jej głos drżał. — Postępujesz tak samo jak ostatnim razem. Nie zostałeś na ślubie wtedy i nie zostaniesz na ślubie teraz. — Ruszając raptownie do sypialni, trąciła go ramieniem i zamarła przez ułamek sekundy, widząc znajome cienie w jego oczach.

— Nie chcę cię stracić — powiedział żarliwie, stojąc nad nią, gdy wrzucała ubrania do walizki.

— Więc dlaczego wyjeżdżasz? — zapytała z uporem, nie patrząc na niego. — Wydaje mi się, że chcesz dwóch zupełnie różnych rzeczy, Esteban. Ale nie można mieć ich jednocześnie. Być może ty i ja nie powinniśmy myśleć o wspólnym życiu. Małe miasteczko i metropolia, spokojny dom i wielka przygoda. Zawsze pragnęliśmy przeciwnych rzeczy.

— Annie, jedyną rzeczą, jakiej kiedykolwiek pragnąłem, jesteś ty.

— Nie — odparła, ledwo powstrzymując się od płaczu. — Nie, byłam po prostu kolejną twoją przygodą. — Zamknęła z trzaskiem walizkę i ruszyła do drzwi. — Żegnaj, Esteban — powiedziała, oglądając się przez ramię. — I niech Bóg cię prowadzi.

Rozdział 11

Kupiła dziennik, w którym opublikowano wywiad z Estebanem, ale nie zabrała się do czytania. Cisnęła go na łóżko, a potem usiadła i rozplakała się tak, że gazeta wkrótce została całkowicie przemoczona. Później rozprostowała ją na stoliku i tak zostawiwszy, wyszła z sypialni.

Lola wróciła do Kalifornii, zabierając ze sobą koronkowy welon i obiecała, że przywiezie go z powrotem na ślub. Annie nie miała serca powiedzieć jej, że nie będzie żadnego ślubu. Spud i Elmira pojechali do swojego domu w Chicago, ale zauważyli zmianę w zachowaniu Annie, melancholię, z jaką spoglądała przez okno na różany ogród. Spud poklepał ją po ramieniu i z zakłopotaniem powiedział, że jeśli będzie chciała porozmawiać z kimś, to wraz z Elmirą zawsze jej wysłuchają. Annie nie wiedziała, co im powiedzieć.

Pewnego wieczoru odwiedziła ją Gracie, przynosząc ze sobą rabarbarowe ciasto i wino domowej roboty. Kiedy weszła do domu, Annie siedziała przed kominkiem i w zamyśleniu głaskała Georgię. Właśnie nadszedł pierwszy wrześnieowy chłód i Annie rozpałała ogień.

— Jesteś nieszczęsnym dzieciakiem, Annie Maguire -powiedziała Gracie, uważnie się jej przyglądając. — Byle idiota mógłby zauważyć, że usychasz z tęsknoty za Estebanem, lecz coś was rozłączyło. Nie mam pojęcia, czemu sie-

dzisz teraz przed tym kominkiem i pozwalasz, żeby zżerała cię samotność, podczas gdy on przebywa zupełnie gdzie indziej. Uważam jednak, że to, co robisz, jest cholernie głupie, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

— Wyjechał do Kostaryki — powiedziała cicho Annie.

— Więc czemu nie udałaś się tam wraz z nim? — zapytała surowo Gracie. — Podejrzewam, że masz dość oleju w głowie, aby zarezerwować bilet na samolot i zabrać ze sobą kartę kredytową.

— Uczynił swój wybór — w głosie Annie nie było przekonania do tego, co mówi. Więc dlaczego właściwie nie pojechała z nim? Rozpoznała w swym zachowaniu ślad małej dziewczynki, która boi się miłości, gdyż któregoś dnia uczucie może przeminąć, a ona zostanie sama.

— Annie, Annie — powiedziała Gracie, kiwając głową. — Kiedy byłam młodzieńką dziewczyną i Spud przywiózł cię tutaj pierwszy raz, mieliśmy starego kota, który od razu zapalał do ciebie miłością. Bez przerwy ocierał się o twoje nogi i chciał, abyś go głaskała. A ty krzyknęłaś do niego „a kysz” choć każdy, kto miał dwoje oczu, widział, że pragnęłaś porwać go na ręce i kochać aż do śmierci. Byłaś tak nieszczęśliwa, próbując nie dotykać kota, że wieczorem prawie się popłakałaś. — Gracie wyciągnęła palec w stronę Annie. — Tego się nie da zwalczyć, dziecko. Rozłaka rani bardziej niż wszystko inne.

— Jestem taka zmęczona — westchnęła Annie.

— Wiem, dziecko, wiem. Spróbuj teraz odpocząć i, na Boga, przestań się zadrećcać.

Kiedy Gracie wróciła do siebie, Annie ze skrzyżowanymi nogami usiadła na podłodze w sypialni i otworzyła dziennik z wywiadem Estebana. Czytała powoli i uważnie, wyobrażając sobie jego głos, wygląd i zapach...

Jedno zdanie uderzyło ją szczególnie: „Bez Annie, nie sądzę, że znajdę dość odwagi, aby kontynuować poszukiwania mojego brata. Dzięki niej w ogóle jeszcze żyję i zachowałem najlepszą część swojej osobowości”. Dalej czytała już przez łzy. Najlepsza część jego osobowości. Dokładnie to Esteban jej ofiarował. A teraz zaprzepaściła wszystko. O Boże, jakże za nim tęskniła. A po słowach, które mu cisnęła w twarz, na temat jego ucieczki przed małżeństwem, nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek wróci do niej.

Październik był chłodny i wietrzny. Któregoś ranka obudziło Annie ujadanie Georgii, która po całonocnej włóczędce chciała wrócić do ciepłego domu. Annie wstała z łóżka, podeszła do okna i zobaczyła, że róże w ogrodzie obsypane są białymi pyłkami mrozu. Pies niecierpliwie drapał łapą w drzwi, więc szybko ubrała się i wybiegła na dwór. Postanowiła pobiec nad rzekę, a niezmordowana Georgia, widząc żwawo poruszającą się panią, postanowiła dotrzymać jej towarzystwa.

Znad stalowoszarej wody powoli unosiła się mgła. Niebo miało kolor spranej bieli, a liście wyglądały jak klejnoty, piękne i kolorowe, lecz zimne.

Annie skuliła się w sobie i zatarła zgrabiąle z zimna dłonie. Wiatr smagał mocniej i mroźny podmuch, wdzierający się pod jej cienki czerwony sweter, przejął ją dreszczem. Georgia co chwilę wtykała swój nos w jakieś dziury i gonila za unoszącymi się w powietrzu liśćmi, próbując zatrzymać je pazurami na ziemi. W pewnym momencie warknęła cicho, a potem zapiszczała.

— Ćśśś, uspokój się — powiedziała zamyślona Annie. Ale Georgia zaprezentowała swój najlepszy gardłowy skowyt i puściła się pędem przed siebie, zostawiając Annie z tyłu. Georgia słynęła z tego, że nigdy nie dawała spokoju wiewiórkom, i Annie zdecydowała, że tym razem nie będzie się wtrącała.

Skowyczenie nie ustawało i w końcu Annie odwróciła się. Georgia wisiała u nogawki spodni jakiegoś mężczyzny i z determinacją starała się ją urwać. Esteban! To był on. Wrócił.

— Widzę, że nauczyłaś Georgię przynosić zguby — powiedział z niepewnym uśmiechem, który jednak zniknął z jego twarzy, niemalże zanim się pojawił.

— O, tak. — Skinęła głową. — Ona jest znakomitym tropicielem. Doskonale wie, jak pachnie rzecz, którą zgubiłam.

Tym razem uśmiechnął się szeroko.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Spojrzała mu z bólem prosto w oczy. — Och, Esteban, tak bardzo tęskniłam za tobą. — Ruszyła ku niemu, ale po dwóch krokach nagle zatrzymała się, czując, że kłębią się w niej sprzeczne emocje. Ciągle nie była pewna, czy jej pragnie.

— Mogłeś chociaż zadzwonić czy napisać! — żaliła się. Rozchorowałam się ze zmartwienia! — Chwilę później przypomniała sobie, jaki był główny

powód jego wyjazdu. — Twój brat? — zapytała z niepokojem. — Odnalazłeś go?

Skinał głową.

— Podążanie jego śladem nie było łatwe, ale w końcu zlokalizowałem go w górach. Nie mógł od razu wrócić ze mną, gdyż nie miał odpowiednich dokumentów. Ale już wkrótce tu będzie — odrzekł. Uśmiechnął się do niej promiennie. — Czy będziesz jeszcze na mnie wrzeszczała? — zapytał z żartobliwą nutką w głosie.

— Tak! Nie! Och, nie w tej chwili. — Rzuciła się na niego całym ciężarem ciała. Przygnieciony Esteban jęknął i chichocząc, natychmiast otoczył ją ramionami. Wtulona w jego pierś wsłuchiwała się w mocno bijące serce. Nie potrafiła już dłużej oszukiwać samej siebie — pragnęła go. Kochała tego człowieka tak bardzo, że nie umiała już bez niego żyć.

— Esteban — wyszeptała. — Przepraszam za to, co powiedziałam... zanim wyjechałeś.

— Nie gniewam się, Annie. Rozumiem cię. Poczulaś się po raz kolejny zraniona.

— Jednak nie powinnam tego mówić — upierała się, kręcąc głową. — To było takie złośliwe.

Bez słowa przycisnął swe dłonie do jej pleców i pogłaskał ją, chcąc, aby uwierzyła, że naprawdę nie musi wyrzucać sobie swojego zachowania. Stopniowo przesuwał ręce ku górze, a potem delikatnie uniósł jej podbródek.

— Co do ślubu, Annie... Kiedy wychodziłaś za Pete'a...

— Nie, nie będziemy mówić o tym.

— Musimy, kochanie. Jeszcze ci nie powiedziałem, dlaczego zabrakło mnie wtedy wśród waszych gości.

Poczula bolesny skurcz w gardle.

— Tamtego wieczoru, kiedy ty i Pete postanowiliście się pobrać, a ja przyszedłem cię odwiedzić, nawet mi się nie śniło o podróży do Maragua.

Annie nie zrozumiała.

— W takim razie dlaczego...?

— Miałem zupełnie inny powód, aby cię wtedy zobaczyć — powiedział. Była coraz bardziej zdumiona jego zakłopotaniem. — Przyszedłem, żeby prosić cię o rękę.

— Co? — wytrzeszczyła oczy, jakby chciała przebić go wzrokiem na wy-
lot.

Esteban zamknął oczy na moment, a potem znowu na nią spojrzął.

— Dopiero kiedy powiedziałaś mi, że macie zamiar się pobrać, postanowiłem wyjechać. Nie potrafiłbym przyglądać się waszemu małżeństwu, Annie. — Uśmiechnął się żałośnie. — Nie jestem z żelaza. Nie zniósłbym widoku innego faceta, który bierze z tobą ślub, nawet jeśli był to mój najlepszy przyjaciel. A poza tym Pete zorientowałby się w końcu, że jestem zakochany w tobie, gdybym ciągle kręcił się po Chicago. Znał mnie zbyt dobrze.

— Esteban, nigdy bym nie przypuszczała — powiedziała łagodnie, przepełniona czułością do tego mężczyzny, który odszedł, gdy ona poślubiła jego przyjaciela. — Pete również nic nie wiedział.

— Mógłby się domyślić, gdybym został wtedy. Do licha, na weselu powinna płakać matka panny młodej, a nie najlepszy przyjaciel pana młodego.

Zaśmiała się cichutko, słysząc te słowa, i Esteban ujął jej twarz w swe dłonie.

— Annie, czy wyjdiesz za mnie teraz? — zapytał miękkim tonem, niezbyt pewny siebie. — Wiesz, na co byś się zdecydowała. Na dotkniętego ubóstwem asystenta w college'u i jego nadgorliwą babcię.

— Niewiarygodna okazja — odpowiedziała cicho, nachylając się, aby ją pocałował. — Cieszę się, że wróciłeś — wyszeptła, gdy musnął wargami jej usta. — Te cholerne rzepy, które zasadziłeś latem, właśnie wyrosły. Przypominają mi raczej dynie. Mam zawaloną nimi całą kuchnię.

Wybuchnął śmiechem i przyciągnął ją znowu do siebie. Jego wargi dotknęły ust Annie z żarliwością kogoś, kto sięga po swoją upragnioną zdobycz, i nagle poczuła, że lato znów gości w jej ciele. Georgia ciągle szarpała nogawkę spodni Estebana i wtem oboje usłyszeli trzaśnięcie odrywanego materiału.

— Jeszcze chwila, a w ogóle pozbędę się spodni — powiedział rozeźlony.

Annie zachichotała.

— Mam nadzieję, że nie potrwa to dłużej niż minutę — odparła żarliwie. — Nadzy dżentelmeni podobają mi się znacznie bardziej niż nagie damy.